

JOSEPH CONRAD

SMUGA CIENIA
WYZNANIE

PRZEŁOŻYŁA: JADWIGA KORNIŁOWICZOWA
TYTUŁ ORYGINAŁU: THE SHADOW LINE

SCAN-DAL

Worthy of my undying regard

*Borysowi i jego rówieśnikom,
którzy w zaraniu swej młodości
przekroczyli smugę cienia,
utwór ten z miłością
poświęcam*

OD AUTORA

Opowieść ta, którą mimo swojej zwięzłości pozwalam sobie uznać za naprawdę skomplikowany utwór, nie miała poruszać spraw nadprzyrodzonych. Jednakże niejedni krytycy skłonni byli tak ją rozumieć, dopatrując się w niej skłonności autora do puszczenia wodzy wyobraźni przez przeniesienie akcji poza granice żyjącej i cierpiącej ludzkości. Lecz prawdę powiedziawszy, wyobraźnia moja nie jest tworzywem tak elastycznym. Sądzę, że gdybym usiłował nadać memu opowiadaniu koloryt nadnaturalności, rzecz chybiłaby paskudnie, ukazując jakąś nieprzyjemną rysę. Ale nigdy nie mogłem się o to starać, ponieważ całe moje duchowe i umysłowe jestestwo przenika niezłomne przeświadczenie, że cokolwiek podlega władzy naszych zmysłów, musi być naturalne i, jakkolwiek wyjątkowe, nie może się różnić w swej istocie od wszystkich innych przejawów widzialnego i dotykającego świata, którego jesteśmy świadomą częścią. Świat żyjących zawiera dość cudów i tajemnic sam w sobie; cudów i tajemnic działających na nasze czucie i inteligencję w sposób tak niewytłumaczalny, że może to prawie usprawiedliwić koncepcję życia jako jakiegoś zaczarowanego stanu. Nie, jestem zbyt przeświadczony o istnieniu w świecie czegoś zdumiewającego, by dać się kiedykolwiek zafascynować czymś nadnaturalnym, co (przyjmijcie to, jak chcecie) jest tylko jakimś sztucznym tworzywem, produktem umysłów niewrażliwych na głęboką subtelność naszego stosunku do żywych i umarłych w jej niezliczonych przejawach; jest jakąś profanacją naszych najtkliwszych wspomnień, jakimś pogwałceniem naszej godności.

Jakakolwiek byłaby moja przyrodzona skromność, nigdy nie upadłem tak nisko, żeby zasilać wyobraźnię tymi pustymi wyobrażeniami, zwykłymi dla każdego wieku, które już same przez się napełniają wszystkich miłośników rodzaju ludzkiego niewypowiedzianym smutkiem. Wstrząs intelektualny i duchowy, jaki te sprawy wywierają w umyśle prostego człowieka, jest już całkiem uprawnionym przedmiotem badań i opisów. Istota duchowa pana Burnsa doznała takiego właśnie groźnego wstrząsu w stosunkach z ostatnim kapitanem, co w czasie jego choroby przekształciło się w prawie zabobonne urojenie oparte na strachu i niechęci. Fakt ten jest jednym z czynników opowieści, lecz nie ma w nim nic nadnaturalnego, nic — żeby tak powiedzieć — spoza kręgu tego świata, który z całą świadomością rzeczy zawiera w sobie dość tajemnic i grozy.

Prawdopodobnie gdybym opublikował tę opowieść, którą długo w sobie nosiłem, pod tytułem „Pierwsze dowództwo”, ani bezstronny czytelnik, ani nikt inny nie odniósłby

wrażenia, że jest w tym coś nadnaturalnego. Nie chcę tu rozważać momentu rodzenia się uczucia, w jakim obecny tytuł: Smuga cienia, przyszedł mi na myśl. Pierwotnie celem tego utworu było przedstawienie pewnych faktów, które z pewnością były związane ze zmianami zachodzącymi w człowieku, kiedy młodość, beztroska i żarliwa, przekształca się w bardziej świadomą i dojmującą fazę dojrzałego życia. Nie ulega wątpliwości, że w obliczu największej próby całego pokolenia miałem żywą świadomość, jak błahe i bez znaczenia są moje własne nie znane nikomu przeżycia. Nie mogło tu być mowy o żadnym porównaniu. Ta myśl nigdy nie po stała mi w głowie. Lecz miałem poczucie samego siebie, chociaż w niezmiernie różnej skali — jak jedna kropla przeciw burzliwemu ogromowi gorzkiego oceanu. I to też było bardzo naturalne. Bo kiedy zaczynamy rozmyślać nad znaczeniem naszej własnej przeszłości, zdaje się ona wypełniać cały głęboki i niezmierny świat. Książkę tą napisałem w ciągu ostatnich trzech miesięcy roku 1916. Ze wszystkich tematów, które pisarz mniej lub więcej w sobie wyczuwa, ten jest jedyny, jaki wydał mi się możliwy do podjęcia w tym czasie. Głębię i charakter nastroju, w jakim dokonałem tej pracy, najlepiej chyba wyraża dedykacja, która uderza mnie teraz swoją wielką dysproporcją — jako inny przykład wszechogarniającej wielkości naszego uczucia w stosunku do samych siebie.

Powiedziawszy to wszystko, mogę teraz przejść do kilku uwag o samym przedmiocie opowieści. Jeśli chodzi o środowisko, to należy ono do tej części mórz Wschodu, z której wyniosłem dla swego pisarstwa najwięcej pomysłów. Z mojego stwierdzenia, że przez długi czas myślałem o tej historii pod tytułem „Pierwsze dowództwo”, czytelnik może wnosić, że jest ono związane z moim osobistym przeżyciem. I w gruncie rzeczy jest to osobiste przeżycie, widziane z oddalenia oczyma duszy. Jest ono zabarwione uczuciem, którego nie można nie odczuwać, dla tych wydarzeń własnego życia, jakich nie ma powodu się wstydić; a uczucie to jest tak samo intensywne (odwołuję się tutaj do przeżyć w sensie ogólnym) jak wstyd i prawie udręka, towarzysząca niefortunnym posunięciom — nawet tak drobnym jak potknięcia w mowie — popełnionym w przeszłości. Oddalenie w czasie sprawia, że rzeczy stają się bardziej wyraźne, bo ich istota oddziela się od otaczających je mało ważnych codziennych wydarzeń, które naturalnym biegiem rzeczy ulatują z pamięci. Wspominam z przyjemnością ten okres swojego życia na morzu, bo jakkolwiek zaczęty niepomyślnie, z osobistego punktu widzenia stał się w końcu dla mnie sukcesem, pozostawiając namacalny tego dowód w słowach listu właścicieli statku, napisanych do mnie w dwa lata po mojej rezygnacji z dowództwa, kiedy to postanowiłem wrócić do domu. Rezygnacja ta znaczyła początek innej fazy mojego marynarskiego żywota, jego końcową fazę — jeśli można tak powiedzieć — która na swój sposób zabarwiła inną część mojego pisarstwa. Nie wiedziałem

wówczas, jak bliski jest koniec mojego życia na morzu, i dlatego nie czułem smutku, chyba tylko rozstając się ze statkiem. Przykro mi było również zrywać stosunki z firmą, której statek był własnością, a która tak po przyjacielsku i z takim zaufaniem przyjęła do służby człowieka, znalezionego przypadkowo i w bardzo nieprzychylnych okolicznościach. Nie uwłaczając powadze sytuacji, podejrzewam teraz, że szczęśliwy traf przyczynił się niemało do położonego we mnie zaufania. Nie można powstrzymać miłych wspomnień o czasach, w których najcenniejsze wysiłki zostały uwiecznione powodzeniem.

Słowa: „Godni mojej nieprzemijającej czci”, wybrane przeze mnie jako motto na stronie tytułowej, są cytatem z samej książki; i chociaż jeden z moich krytyków podejrzewał, że odnoszą się do statku, jest rzeczą oczywistą, iż są umieszczone w tym miejscu po to, by wskazywać, że dotyczą ludzi z jego otoczenia: ludzi tak zupełnie obcych nowemu kapitanowi, a jednak wspierających go tak skutecznie w ciągu tamtych dwudziestu dni, które wydają się być przeżyte na krawędzi powolnego i dręczącego unicestwienia. I to jest właśnie najwspanialsze wspomnienie o wszystkich! Bo z pewnością jest to wspaniała rzecz dowodzić garścią ludzi „godnych mojej nieprzemijającej czci”.

J. C.

1920

ROZDZIAŁ PIERWSZY

*...D'autres fois, calme plat, gravid miroir
De mon desespoir...¹*

Baudelaire

Tylko młodzi miewają takie chwile. Nie mówię o bardzo młodych. Ci w ogóle nie dostrzegają poszczególnych chwil. Przywilejem wczesnej młodości jest sięganie poza terażniejszość — cudowna ciągłość nadziei, nie znającej przerw ani zagłębiania się w siebie.

Ledwo zawrzesz za sobą furtkę dzielącą cię od wieku chłopięcego, a już wkraczasz w zaczarowany ogród. Nawet cienie jarzą się tu od obietnic. Każdy zakręt drogi pociąga inną ponętą. Nie dlatego, aby to w twoim mniemaniu był ładnie odkryty, przeciwnie, wiesz dobrze, że cała ludzkość kroczyła tą drogą. To, co ogarnia cię niewysłowionym urokiem, to właśnie zetknięcie się z powszechnym doświadczeniem, od którego oczekujesz jakichś szczególnych lub zupełnie osobistych wrażeń — odrobiny czegoś własnego.

Idziesz przed siebie przyglądając się ciekawie drogowskazom wytkniętym przez poprzedników, idziesz w podnieceniu, przyjmując z, jednakowym rozmachem złą i dobrą dolę — kułaki i miedziaki, jak mówi przysłowie — idziesz na spotkanie losu mieniającego się barwami, a kryjącego w zanadrzu nieprzebrany zasób możliwości. Komu dostaną się one w udziale? Czy tym, co na nie zasłużył, czy może szczęśliwym wybrańcom? — Mniejsza. Postępujesz naprzód, a twoim śladem nieodstępnie i niepostrzeżenie posuwa się czas. Aż przychodzi chwila, w której spostrzegasz przed sobą smugę cienia ostrzegającą cię, że dzień pierwszej młodości dobiegł już do końca.

W tym to właśnie okresie nawiedzają człowieka dziwne chwile, o których mówić zamierzam. Chwile znużenia, przesyty, niezadowolenia z siebie. Chwile niezrozumiałego uporu. Człowiek jeszcze względnie młody dopuszcza się wtedy najnierozważniejszych czynów — żeni się bez namysłu lub porzuca swój zawód bez jakiegokolwiek przyczyny.

Opowiadanie moje nie będzie historią małżeńską. Nie, tak źle ze mną nie było. Mój postępek, jakkolwiek nierozważny, miał raczej cechę rozwodu, jeśli nie zwykłej dezercji. Bez żadnej przyczyny, która by potrafiła usprawiedliwić moje postanowienie w oczach rozsądnego człowieka, opuściłem stanowisko, rozbiłem swoją przystań, innymi słowy —

¹ ...kiedyindziej spokojne, płaskie, ogromne zwierciadło mojej rozpaczy... (La Musique).

porzuciłem służbę na statku, któremu żadnej niedoskonałości nie mogłem zarzucić. Chyba to jedno, że był statkiem parowym, a parowiec nie budzi nigdy w marynarzu tego ślepego przywiązania, które każe mu czasami... Ale dość!... Lepiej nie usprawiedliwiać wybryku, który nawet w owym czasie robił na mnie wrażenie zwykłego kaprysu.

Działo się to w jednym z portów na Dalekim Wschodzie. Nasz statek, jako przynależny do tego portu, zaliczał się do statków wschodnich. Żeglował pomiędzy ciemnymi wyspami po błękitnym morzu poprzerzynanym pręgami raf; znad jego rufy powiewała czerwona bandera, z masztu zaś — bandera firmowa, również czerwona, tylko ozdobiona białym półksiężycem i zielonym szlakiem. Statek należał bowiem do Araba pochodzącego z rodu Seidów — tym się tłumaczy zielona obwódka flagi.

Właściciel naszego statku był kierownikiem wielkiej firmy arabskiej, co nie przeszkadzało mu być wiernym poddanym brytyjskiego imperium, jednym z najlojalniejszych, jakich zdarzyło mi się spotkać na wschód od Kanału Sueskiego. Polityka światowa nie zajmowała go wcale, posiadał natomiast jakąś niezwykłą, niewytłumaczoną władzę nad swymi współwyznawcami.

Osoba właściciela była dla załogi rzeczą obojętną. Do służby okrętowej musiał on z konieczności zaciągać białych, lecz wielu z tych, którzy mu służyli, nie widziało go nigdy na oczy. Ja widziałem go raz jeden, przelotnie, na pomoście w przystani: pozostał mi w pamięci jako drobny, stary człowieczek z ciemną twarzą i jednym tylko okiem, przybrany w śnieżnobiałą szatę i żółte pantofle. Otaczał go tłum pielgrzymów malajskich całujących go zapamiętałe po rękach za jakieś doznane dobrodziejstwa — datki w pieniądzech czy w naturze. Miłosierdzie jego miało być nieprzebrane i rozciągało się na cały prawie Archipelag. Czyż nie powiedziano bowiem, iż człek miłosierny jest „przyjacielem Allacha”?

Mieliśmy w osobie tego malowniczego Araba nieocenionego zwierzchnika, którym nikt nie potrzebował zaprzętać sobie głowy, statek zaś, znakomity parowiec szkockiego typu (o czym świadczyła cała jego konstrukcja od kilu po maszt), był jak by wymarzony dla morskich podróży. Łatwy do utrzymania, łatwy do kierowania, zasługiwał — mimo maszyny w kadłubie — na podziw i przywiązanie każdego marynarza. Do dziś dnia żywię głęboki szacunek dla jego pamięci. Rodzaj handlu, do jakiego służył nasz statek, oraz stosunki koleżeńskie dogadzały mi również w zupełności. Nie mógłbym dobrać sobie odpowiedniejszego życia i otoczenia, gdybym miał na swoje skinienie życzliwego czarodzieja.

A jednak porzuciłem to wszystko. Porzuciłem w sposób tak nagły i niewytłumaczony, jak ptak, który sfruwa z gałęzi. Zupełnie jak bym znienacka usłyszał czyjś szept tajemniczy

lub ujrzał jakiś znak nie pojmując, o co chodzi. Kto wie? — może i tak?... Poprzedniego dnia czułem się jak najlepiej, a nazajutrz wszystko się rozwiało: urok życia, zamiłowanie do pracy, zadowolenie z siebie, wszystko, czym dotąd żyłem. Była to jedna z tych fatalnych chwil, o których wspominałem poprzednio. Rozstrój towarzyszący zwykle schyłkowi młodości zawładnął mną i uniósł — przynajmniej z pokładu tego statku.

Załoga jego składała się z czterech białych, dwóch podrzędnych oficerów mała jakich i licznej obsługi kelasich.²

Kapitan wytrzeszczył na mnie oczy nie pojmując, co mi się mogło stać. Był jednak marynarzem, pamiętał też może własną młodość. Więc po chwili uśmiechnął się pod szczeciniastym, stalowosiwym wąsem i powiedział, że oczywiście me ma zamiaru zatrzymać mnie przemocą, skoro tak nieodwołalnie postanowiłem odejść. Stała między nami umowa, na mocy której miano mi nazajutrz rano wypłacić pobory. Gdy opuszczałem kabinę nawigacyjną, kapitan odwołał mnie raz jeszcze i rzekł z powagą, iż szczerze mi życzy, abym znalazł to, czego szukam. Łagodny, utajony nacisk, z jakim te słowa były wypowiedziane, przeszył mnie jak diament. Jestem przekonany, że ten człowiek zrozumiał mój stan wewnętrzny.

Natomiast drugi mechanik przyjął tę wiadomość zupełnie inaczej. Był to zadzierzysty młody Szkot z gładko wygoloną twarzą i jasnymi oczami. Z kajuty mechaników wyłoniła się naprzód jego poczciwa, czerwona fizjonomia, a w ślad za nią reszta krzepkiej postaci z zakasanyimi rękawami. Wycierał szmatą muskularne ramiona, co czynił niezmiernie powoli, przy czym jasne jego oczy spoglądały na mnie z taką goryczą i niesmakiem, jak by nasza przyjaźń rozsypywała się w proch... Wreszcie wyrzekł znacząco:

— Ha! Pora ci już, pora rozejrzeć się za jaką głupią panną...

Było rzeczą powszechnie wiadomą, że John Nieven jest nieprzejednanym wrogiem kobiet, toteż nedorzeczne jego wystąpienie dowodziło chęci dokuczenia mi do żywego — nie mógł, w swoim mniemaniu, znaleźć bardziej obelżywych słów. Roześmiałem się, ale jakoś pokornie, jak bym pragnął przebłagać przyjaciela. Tylko prawdziwy przyjaciel mógł się do tego stopnia unieść. Ogarnęło mnie przygnębienie.

Nasz pierwszy mechanik przyjął wiadomość o moim wybryku trochę łaskawiej, jakkolwiek wytłumaczył go sobie także w charakterystyczny sposób. Był to człowiek jeszcze młody, ogromnie chudy, z niespokojną twarzą okoloną puszystym, ciemnym zarostem. Bez względu na to, czy statek znajdował się na morzu, czy w przystani, widywano pana inżyniera biegnącego od rana do nocy po tylnym pokładzie: twarz jego wyrażała zawsze niezmierne

² Kelasi (mal.) — tubylczy marynarz.

natężenie i napięcie duchowe, które powstawało z powodu niemiłych sensacji fizycznych wynikających z wewnętrznych zaburzeń. Biedak cierpiał bowiem ustawicznie na złą przemianę materii. Jego pogląd na moją sprawę był bardzo prosty: zawyrokował — oczywiście! — że muszę być bardzo chory na wątrobę. Radził mi, abym odbył na statku jeszcze jedną podróż okrężną i przez ten czas zażywał pewien opatentowany środek, w którego skuteczność wierzył niezachwianie.

— Wiem już, jak będzie. Kupię ci z własnej kieszeni dwie butelki tego lekarstwa. Cóż więcej mógłbym zrobić dla ciebie?

Nie wątpię, że byłby popełnił to szlachetne okrucieństwo przy najmniejszym objawie ustępliwości z mojej strony. Ale ja czułem się w owej chwili bardziej zgnębiony, bardziej zrażony do życia niż kiedykolwiek. Półtoraroczna służba na statku, podczas której wzbogaciłem się o tyle nowych i różnorodnych doświadczeń, wydała mi się teraz jałową, pospolitą stratą czasu. Czułem — jak by to wyrazić? — że z tego otoczenia nie wykrzeszę dla siebie prawdy.

Gdyby mnie spytano, o jaką prawdę mi chodzi, nie umiałbym dać na to odpowiedzi. Przyciśnięty do muru, byłbym się prawdopodobnie rozpląkał. Byłem jeszcze dość młody, by się czegoś podobnego dopuścić.

Nazajutrz udaliśmy się z kapitanem do urzędu portowego dla załatwienia formalności związanych z moją dymisją. Kapitanat portu mieścił się w wysokiej, chłodnej, białej sali, którą wypełniało pogodne światło dnia sączącego się poprzez zasłony. Wszyscy obecni — zarówno urzędnicy, jak przybysze — ubrani byli również białą, tylko ciężką, politurowaną biurką, ustawioną rzędem pośrodku sali, odcinały się ciemno na jasnym tle. Leżały na nich rozrzucone papiery niebieskiej barwy. Olbrzymie punkah³, umieszczone u sufitu, wywoływały łagodny powiew, który ochładzał ten niepokalany przybytek, muskając nasze spocone głowy.

Urzędnik siedzący za biurkiem uśmiechnął się uprzejmie i zachował ten uśmiech do chwili, w której na niedbałe zapytanie: — Czy umowa ma być unieważniona i spisana na nowo? — otrzymał odpowiedź kapitana: — Nie. Zupełnie skreślona. — Wtedy uśmiech jego zniknął, a twarz przyoblekła się w uroczystą powagę. Nie spojrzał już w moją stronę aż do chwili, w której podał mi moje papiery z wyrazem tak głębokiego ubolewania, jak by co najmniej doręczał mi paszport do Hadesu.

Podczas gdy układałem papiery, zadał półgłosem jakieś pytanie memu

3 Punkah (mal.) — rodzaj ogromnego, prostokątnego wachlarza, wiszącego zwykle nad stołem w jadalniach i biurach w krajach podzwrotnikowych.

zwierzchnikowi. Ten odpowiedział dobrodusznie:

— Nie. Opuszcza nas, by powrócić do kraju.

— Ach tak! — westchnął urzędnik kiwając głową nad żalonym stanem mego umysłu.

Jakkolwiek nie widywałem go dotąd nigdy poza biurem, pochylił się teraz ku mnie i uściskał moją rękę z takim współczuciem, jak by zegnał skazańca idącego na szubienicę, ja zaś odegrałem swoją rolę niewdzięcznie, zachowując się w sposób szorstki, godny zatwardziałego przestępcy.

Żaden statek nie odpływał w najbliższych dniach do kraju. Zważywszy, że byłem teraz żeglarzem bez statku, człowiekiem, który na jakiś czas zerwał dobrowolnie z morzem i zeszedł do roli przeciętnego turysty, powinienem być może zatrzymać się w hotelu. Miałem hotel wprost przed sobą, naprzeciwko kapitanatu portu: niski budynek o białych filarach, zbudowany w pałacowym stylu i otoczony wzorowo utrzymanym trawnikiem. Czułbym się tam istotnie turystą! Rzuciwszy w stronę hotelu niechętnie spojrzenie, skierowałem się w przeciwną stronę, do klubu oficerów marynarki.

Szedłem zrazu w słońcu, lekceważąc sobie spiekotę, potem pod osłoną wielkich drzew esplanady, nie odczuwając przyjemności cienia. Podzwrotnikowy upał przesączał się przez gęste liście i poprzez mój lekki przyodziewek, ogarniając mnie całego, przenikał aż do mego buntowniczego mózgu, odejmując mi nawet swobodę myślenia.

Klub oficerski mieścił się w wielkim domostwie z dużą werandą i ogródkiem pełnym krzewów, przypominającym ogródki podmiejskie. Kilka drzew dzieliło go od ulicy. Instytucja ta, pomimo że była klubem, miała pewien posmak urzędowy, podlegała bowiem administracji kapitanatu portu. Zarządzającemu klubem oficerskim przysługiwał tytuł naczelnego kierownika. Był to nieszczęsny, zasuszony człowieczek, który wyglądałby okazowe w kostiumie dżokeja. Nie ulegało wątpliwości, że w jakimś okresie swego życia musiał on w tej lub innej roli mieć bliższą znajomość z morzem; ale łatwo było odgadnąć, że w tym kontakcie z żywiołem doznawał, biedak, samych niepowodzeń.

Zdawało się, jakoby rodzaj jego zajęcia należał do bardzo łatwych, tymczasem ten dziwny człowiek twierdził uporczywie, że zawód gospodarza klubu przyprawi go o śmierć prędzej czy później. Brzmiało to dosyć tajemniczo. Może wszystko było ponad jego siły. Jedno nie ulega wątpliwości, że do gości klubowych usposobiony był po prostu wrogo.

Wchodząc do lokalu klubowego pomyślałem sobie, że tym razem nasz gospodarz musi być zadowolony. Panowała tu bowiem grabowa cisza. Pokoje wydawały się zupełnie niezamieszkałe, a i weranda była prawie pusta, tylko na przeciwległym jej końcu jakiś jegomość drzemał na leżaku. Zbudzony odgłosem moich kroków, otworzył jedno oko,

przerazająco podobne do oka ryby. Widząc, że to ktoś nieznajomy, wycofałem się z werandy i minąwszy salę jadalną, wielki, pusty pokój z nieruchomym punkah zawieszonym nad środkiem stołu, zapukałem do najbliższych drzwi, na których czarnymi literami wypisane były słowa: „Naczelnny kierownik klubu”.

W odpowiedzi usłyszałem podrażniony, żalony jęk:

— Ach, Boże, Boże, któż tam znowu? — wszedłem więc bez wahania.

Pokój, w którym się znalazłem, był dziwnym przybytkiem, zwłaszcza jak na tropikalny klimat. Panował tu półmrok i zaduch. Gospodarz porozwieszał na oknach wielkie, tanie firanki, teraz zakurzone, okna zaś były szczelnie zamknięte. Stosy kartonowych pudeł, jakich używają w Europie modniarki i krawcowe, piętrzyły się pod ścianami. Umeblowanie pokoju przypominało drobnomieszczańskie salony z londyńskiego East-End — kanapa wyściełana włosiem i odpowiednie fotele. Meble, pokryte brudnymi pokrowcami, były tak przerażającej brzydoty, że trudno było odgadnąć, jaki tajemniczy przypadek, fantazja lub potrzeba kierowały człowiekiem, który je tu nagromadził. Gospodarz, bez kurtki, ubrany tylko w białe spodnie i cienką koszulę z krótkimi rękawami, zajęty był szperaniem po kątach. Zauważyłem spiczastość jego łokci.

Dowiedziawszy się, że zamierzam wprowadzić się do ‘klubu, wydał okrzyk zgrozy, nie mógł jednakże zaprzeczyć, że wolnych pokoi jest mnóstwo.

— Doskonale. Czy może mi pan dać pokój, który zajmowałem poprzednio?

Cichy jęk odpowiedział mi spoza stosu kartonowych pudełek nagromadzonych pośrodku stołu. Co, u licha, mogły zawierać te pudełka? Krawaty, rękawiczki czy chustki do nosa? Pokój, a raczej nora mego gospodarza przesycona była wschodnim zapachem kurzu, okazów zoologicznych i rozkładających się koralu. Spoza poręczy krzesła wyglądało tylko jego czoło i dwoje oczu wzniesionych ku mnie z wyrazem głębokiej bolesti.

— Zabawię tu najwyżej parę dni — rzekłem chcąc go udobruchać.

— Może by pan zechciał z góry zapłacić? — zapytał skwapliwie.

Oniemiałem z oburzenia. Po czym wybuchnąłem:

— Ani mi w głowie! Niestychana rzecz! Uważam to za największą bezczelność...

Chwycił się za czoło obiema rękami ruchem tak rozpaczliwym, że pohamowałem się w gniewie.

— Na miłość boską, niechże pan tak nie krzyczy! Ja każdego proszę o to samo...

— Nie wierzę — przerwałem mu ostro.

No, to będę prosił każdego. Gdyby panowie wszyscy zgodzili się płacić z góry, to mógłbym wymóc to samo na panu Hamiltonie. On na ląd zawsze wraca zupełnie splukany, a

nawet gdy ma pieniądze, nie chce regulował swoich rachunków. Nie wiem, co z nim robić. Wymyśli mi przy każdej sposobności i powtarza, że nie mam prawa wyrzucić białego na bruk. Gdyby pan mógł...

Byłem zdumiony. Udzieloną mi wiadomość przyjąłem niedowierzająco. Podejrzywałem gospodarza o bezczelne kłamstwo. Oświadczyłem mu więc z naciskiem, że prędzej on ze swoim Hamiltonem zawisnie na szubienicy, niż ja mu wypłacę zadatek, i bez żadnych dalszych ceregieli kazałem prowadzić się do pokoju. Wyciągnął wtedy skądś jakiś klucz i rzuciwszy na mnie jadowne spojrzenie, wyprowadził wreszcie ze swej nory.

— Czy mieszka teraz w klubie ktoś z moich znajomych? — spytałem go, zanim opuścił mój pokój.

Nieszczęsny człowieczek odpowiedział mi swoim zwykłym, płacząco podrażnionym głosem, że bawi tu kapitan Giles, w powrocie z podróży po Morzu Sulu, a także dwaj inni panowie. Zamilkł, po czym dodał:

— I pan Hamilton, oczywiście...

— Ach, tak, Hamilton — powtórzyłem niedbale. Mój gospodarz wyniósł się wreszcie, wydawszy jeszcze jeden cichy jęk na pożegnanie.

Widoczne było, że nie ochłonął ze wzburzenia, gdy zeszedłem do sali jadalnej na drugie śniadanie, czyli tak zwany tiffin. Stał pod ścianą dozorując usługujących Chińczyków. Śniadanie zastawione było na jednym końcu długiego stołu, a punkach poruszało się leniwie nad samym jego środkiem, rozpraszając gorące powietrze w pustej przestrzeni ponad politurowaną powierzchnią stołowego blatu. Dookoła stołu zasiadło nas czterech. Jednym był gość z leżaka, który teraz do połowy podniósł obie powieki, ale zdawał się nie widzieć nic dookoła siebie. Jadł w pozycji niemal leżącej. Drugim biesiadnikiem, krótkimi bokobrodami i starannie wygolonym podbródkiem był oczywiście Hamilton. Nie widziałem nigdy człowieka, który by z taką godnością i namaszczeniem odgrywał rolę wyznaczoną mu przez Opatrzność. Wiedziałem skądinąd, że na mnie spogląda jako na intruza nie należącego do fachu”. Na odgłos poruszonego krzesła dał wyraz swemu zgorszeniu podnosząc do góry nie tylko oczy, ale i brwi.

Kapitan Giles siedział za stołem na naczelnym miejscu. Powitałem go paru słowami i zająłem miejsce po jego lewej stronie. Błady i nalany, z lśniąco kopułą tysej czaszki i wypukłymi, brunatnymi oczyma, nie wyglądał ani trochę na marynarza. Można by go w najlepszym razie wziąć za architekta, mnie zaś wydawał się zawsze podobny do kościelnego (choć rozumiem całą niedorzeczność tego porównania). Robił wrażenie tego typu człowieka, którego podejrzewa się o posiadanie „zasad” i gotowość udzielania rozsądnych wskazówek,

przeważnie dosyć płytkich, lecz wygłaszanych z dobrą wiarą, bez chęci imponowania bliźniemu.

Jakkolwiek znany i wysoko ceniony w sferach marynarskich, kapitan Giles nie miał stałego zajęcia. Nie szukał go wcale. Posiadał bowiem stanowisko zupełnie wyjątkowe. Był rzeczoznawcą. Rzeczoznawcą — jak by tu powiedzieć — w dziedzinie niebezpiecznej żeglugi. Mówiono, iż nikt z żyjących ludzi nie zna tak dokładnie odległych części Archipelagu, niedostatecznie opracowanych przez kartografię. Mózg tego człowieka musiał być rodzajem kalejdoskopu, w którym przesuwały się skały podwodne i sylwetki przylądków, miejsca statków i ich pelangi⁴, zarysy nieznanymi wybrzeży i nieprzeliczonych wysp, zaludnionych i bezludnych. Każdy statek odpływający w stronę Palawanu lub w inne niezbadane okolice musiał mieć na pokładzie kapitana Gilesa, czy to w roli tymczasowego komendanta, czy doradcy komendanta statku. Podobno pobierał za te usługi stałą pensję od pewnej bogatej firmy należącej do chińskich właścicieli parostatków. Poza tym był zawsze gotów zastąpić każdego oficera, który pragnął na jakiś czas otrzymać urlop. Nie słyszano nigdy, aby jakikolwiek właściciel statku sprzeciwił się takiemu układowi. Ustaliła się bowiem w porcie opinia, iż kapitan Giles dorównywa najbieglejszym, a nawet ich przewyższa. Jedynie w oczach Hamiltona był człowiekiem „niefachowym”. Przypuszczam, że Hamilton obejmował tym mianem nas wszystkich, jakkolwiek musiał w swym umyśle rozróżniać stopnie naszej niekompetencji.

Nie próbowałem nawiązywać rozmowy z kapitanem Gilesem, którego poprzednio widziałem dwa razy w życiu. Ale on, oczywiście, wiedział, kim jestem. Po niejakej chwili pochylił ku mnie swą wielką, lśniąca głowę i zagadnął przyjaźnie:

— Korzysta pan zapewne z urlopu i zamierza spędzić go na lądzie?

Kapitan mówił cichym, niskim głosem. Odpowiedziałem cokolwiek głośniejszym:

— Nie, panie kapitanie, porzuciłem zupełnie dotychczasową służbę.

— I stał się pan na jakiś czas wolnym człowiekiem — dorzucił w formie komentarza.

— Rzeczywiście, od godziny jedenastej mogę nazwać się wolnym — odrzekłem.

Hamilton przestał jeść słysząc nasze rozmowę. Odłożył spokojnie nóż i widelec, wstał od stołu i mruknąwszy coś pod nosem o „piekielnym upale, który odbiera człowiekowi apetyt”, wyszedł z pokoju. W chwilę później słyszeliśmy jego kroki oddalające się po stopniach werandy.

Kapitan Giles zauważył niedbale, że Hamilton poszedł z pewnością starać się o objęcie mojej dawnej posady. Na to gospodarz klubu, który dotąd stał wsparty o ścianę,

⁴ peleng — kierunek kompasowy przedmiotu widzianego ze statku.

zbliżył do stołu swoją kozią głowę i począł zwierzać się nam żałośnie. Czuł widać potrzebę ulżenia sobie przez wyrzekanie na wszystkie krzywdy, których doznał od Hamiltona. Ten człowiek trzymał go na rozżarzonych węglach, uniemożliwiając mu przedłożenie rachunków w kapitanacie portu. Toteż życzył sobie najgoręcej, by Hamilton otrzymał moją dawną posadę, chociaż prawdę mówiąc, nie rozwiązałyby to kwestii. Chwilowa ulga, nic więcej!

— Niech się pan nie łudzi — wtrąciłem. — Hamilton nie dostanie tej posady. Mój zastępca już jest na pokładzie.

Zdziwił się, i zdaje mi się, że mu się twarz wydłużyła. Kapitan Giles roześmiał się łagodnie. Wstaliśmy od stołu i przeszliśmy na werandę pozostawiając niedołęznego współbiesiadnika staraniom Chińczyków. W chwili gdyśmy się oddalali, postawili przed nim talerz z płatkami ananasa i cofnęli się o parę kroków, przypatrując się, co z tego wyniknie. Eksperyment okazał się chybiony. Gość siedział bez ruchu, nieczuły na wszystkie zabiegi.

Kapitan Giles objaśnił mnie cichym głosem, że osobnik ten jest oficerem z załogi jachtu należącego do jednego z radzów. Jacht zawinął właśnie do naszego portu, gdzie ma być remontowany w suchym doku.

— Ten jegomość musiał ubiegłej nocy bawić się w poznawanie życia — zauważył kapitan marszcząc nos w sposób tajemniczy i poufny, który mnie ogromnie ubawił. Cnota kapitana Gilesa miała bowiem ustaloną opinię. Przypisywano mu zadziwiające przygody i jakiś tajemniczy dramat życiowy, ale nikt nie ośmielił się nigdy powiedzieć o nim złego słowa. On zaś ciągnął dalej:

— Pamiętam jego pierwszy przyjazd w te strony. Ładny był chłopak. Sporo lat minęło od tej pory, a wydaje się, że to było wczoraj. Ach, ci ładni chłopcy!

Tym razem roześmiałem się na cały głos. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, po czym sam się roześmiał.

— Nie, nie. Co innego miałem na myśli — rzekł. — Chciałem powiedzieć, że wielu z nich szybko się „rozkleja” w tutejszych warunkach.

Napomknąłem żartobliwie, że główną tego przyczyną jest piekielny upał. Ale kapitan Giles okazał się głębszym filozofem. Jego zdaniem, biały znajdował na Dalekim Wschodzie wszelkie możliwe ułatwienia, które mu się zresztą należały. Cała trudność polegała na utrzymaniu się w pewnych granicach, których białemu przekraczać nie wolno, a niestety, „ładni chłopcy” nie zawsze o tym pamiętali. Tu spojrzął na mnie badawczo i po chwili spytał obcesowo, tonem niezgrabnie życzliwego wujaszka:

— Dlaczego pan właściwie porzucił swoją posadę?

Ogarnęła mnie wściekłość. Cóż może bardziej rozjątrzyć człowieka, który sam sobie

nie umie wytłumaczyć swego postępku? W myśli postanawiałem zamknąć usta temu moraliście, a głośno powiedziałem tylko z wyzywającą uprzejmością:

— Czy pan uważa, że postąpiłem niewłaściwie?

Zmieszał się i bąknął niewyraźnie:

— Ja? Nie. Tylko tak, w ogóle... — po czym mnie poniechał. Dla upozorowania odwrotu dorzucił jeszcze w sposób niezgrabnie żartobliwy, że o tej porze dnia on także czuje się rozklejony i ma zwyczaj, o ile jest na lądzie, udawać się na poobiednią drzemkę.

— Brzydkie przyzwyczajenie. Bardzo brzydkie przyzwyczajenie.

Prostota kapitana była tak rozbrajająca, że mogła udobruchać najdrażliwszego człowieka, chociażby był młodzieńcem. Toteż gdy nazajutrz przy stole pochylił ku mnie swoją łysą czaszkę i powiedział półgłosem, że wczorajszy wieczór spędził w towarzystwie mego dawnego kapitana, który nie może odżałować rozstania ze mną, nie miał bowiem, jak żyje, tak doskonałego oficera — odpowiedziałem mu z powagą i zupełnie szczerze:

— Ja także, odkąd jestem marynarzem, nie miałem odpowiedniejszych warunków pracy i miłszego zwierzchnika.

— A więc?...

— Mówiłem już panu, panie kapitanie, że zamierzam wrócić do kraju.

— Ach, tak — mruknął dobrodusznie. — Słyszałem takie bajki już nieraz.

— Cóż z tego?... — wykrzyknąłem z furją. Wydał mi się w tej chwili najbardziej tępym, najbardziej pozbawionym wyobraźni człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Nie wiem, co bym był jeszcze powiedział, gdyby nie wejście spóźnionego Hamiltona, który zajął swoje zwykłe miejsce obok kapitana. Mruknąłem tylko:

— No, więc tym razem przekona się pan, że to nie bajki.

Hamilton, prześlicznie wygolony, skinął głową kapitanowi Gilesowi, lecz w moją stronę nie raczył nawet spojrzeć. Po chwili zwrócił się do gospodarza z wyrzutem, że potrawa, którą mu podano, jest wprost niejadalna. Zagadnięty przez niego człowieczek nie zdobył się nawet na westchnienie. Wzniósł tylko oczy do sufitu i na tym poprzestał.

Kapitan Giles i ja wstaliśmy od stołu, a sąsiad Hamiltona poszedł za naszym przykładem, z trudnością utrzymując się na nogach. Biedak, jakkolwiek z pewnością nie miał apetytu, usiłował przymusić się do jedzenia, by choć trochę zrehabilitować się we własnych oczach. Ale upuściwszy dwukrotnie widelec na ziemię i przekonawszy się o bezowocności swoich wysiłków, dał spokój dalszym próbom i siedział spokojnie, z wyrazem niezmiernej udreki w szklanych, nieruchomych źrenicach. Obaj z kapitanem staraliśmy się nie spoglądać w jego stronę.

Teraz zatrzymał się pośrodku werandy po to, by podzielić się z nami jakąś wiadomością, z której nie rozumiałem ani słowa. Zdawało mi się, że słyszę wyrazy jakiegoś okropnego, niezrozumiałego języka. Gdy kapitan Giles po chwili zastanowienia odpowiedział mu przyjaźnie: „O, ma się rozumieć, zupełnie słuszna uwaga”, jąkała wydał się bardzo zadowolony i odszedł krokiem niemal równym w stronę leżaka.

— Co on chciał powiedzieć? — zapytałem z niesmakiem.

— Nie mam pojęcia. Nie można jednak postponować człowieka. Samopoczucie jego musi być paskudne, upewniam pana, a jutro będzie się czuł jeszcze gorzej.

To przypuszczenie wydało mi się nieprawdopodobne. Gorzej nie mógł już wyglądać. Zastanawiałem się, jaki to niewiarogodny rodzaj rozpusty doprowadził go do tego stanu. Dobrotliwość kapitana Gillesa trąciła nadmierną pobłażliwością, która niezupełnie mi się podobała. Rzekłem z przekąsem:

— Znajdzie w każdym razie opiekuna w pańskiej osobie, panie kapitanie.

Uczył nieokreślony ruch, który zdawał się wyrażać prośbę o poniechanie, po czym wziął gazetę do ręki i zasiadł do czytania. Poszedłem za jego przykładem. Gazety były stare i mało zajmujące, wypełnione przeważnie nudnymi opisami uroczystości jubileuszowych królowej Wiktorii. Prawdopodobnie bylibyśmy zapadli w tropikalno–popołudniową drzemkę, gdyby nie podniesiony głos Hamiltona, który dochodził nas z sali jadalnej. Wielkie podwójne drzwi były szeroko otwarte, a nasze krzesła stały tuż pod drzwiami, o czym Hamilton nie mógł wiedzieć. Donośnym, butnym głosem odpowiadał na jakąś uwagę, którą ośmielił się zrobić mu gospodarz.

— Nie pozwolę przynaglać się do działania. Będzie to i tak niespodziewany dla nich zaszczyt, że zgłoszę swoją kandydaturę. Nie ma pośpiechu!

Po tych słowach rozległ się znowu głośny szept gospodarza, po czym Hamilton wybuchnął jeszcze opryskliwiej:

— Co? Ten młody osioł, któremu się zdaje, że był przez parę lat prawą ręką Kenta?... Niepodobna.

Kapitan Giles i ja spojrzeliśmy na siebie. Ponieważ mój dawny zwierzchnik nazywał się Kent, więc dyskretna uwaga kapitana: „Mówią o panu”, wydała mi się co najmniej zbyteczna. Nasz gospodarz upierał się widocznie przy swoim, bo usłyszeliśmy znowu głos Hamiltona, jeszcze pewniejszy siebie i jeszcze dobitniejszy.

— Bzdury, bzdury, mój pocziwcze! Pierwszy z brzegu przybędą nie będzie moim współzawodnikiem. Powtarzam, że czasu jest dość.

Rozległ się odgłos przesuwanych krzesel i kroków w przyległym pokoju, przy

akompaniamencie płacznego głosu gospodarza, który zapewne szedł ślad w ślad za Hamiltonem, odprowadzając go aż za drzwi wychodzące na ulicę.

— To jest bezczelna figura — zauważył kapitan Giles całkiem, według mnie, zbyt. — Po prostu bezczelna. Wszak pan nie obraził go niczym, o ile wiem?

— Nigdy w życiu nie zamieniłem z nim dwóch słów — odburknąłem. — Nie pojmuję, co on nazywa współzawodnictwem. Starał się o posadę, którą opuściłem, i nie otrzymał jej. Ale to nie czyni nas jeszcze współzawodnikami.

Kapitan Giles potrząsnął swoją pocziwą wielką głową:

— Ha, nie otrzymał jej — powtórzył w zamyśleniu. — Oczywiście. Kent nie wzięby takiego człowieka. On nie może odżalować, że pan go opuścił. Mówi o panu jako o doskonałym marynarzu.

Cisnąłem gazetę, którą trzymałem w ręku. Uniosłem się na krześle i uderzyłem dłonią w stół. Chciałem nareszcie wiedzieć, dlaczego kapitan powraca ustawicznie do tej sprawy, która jest, u licha! moją prywatną sprawą. Przecież to może człowieka wyprowadzić z równowagi.

Kapitan Giles zamknął mi usta niewzruszonym spokojem swego wzroku.

— Nie ma tu żadnego powodu do irytacji — rzekł z widocznym zamiarem uśmierzenia mego dziecinnego, gniewu. Wyglądał przy tym tak nieszkodliwie, że począłem się przed nim usprawiedliwiać. Powiedziałem mu, że nie chcę nic wiedzieć o tym, co było, a już przestało dla mnie istnieć. Póki trwała moja służba na statku, czułem się szczęśliwy, dziś, gdy się skończyła, wolę nie mówić i nie myśleć o niej. Zamierzam wrócić do kraju.

— Mówił mi pan już o tym zamiarze. A czy ma pan tam coś na widoku?

Zamiast powiedzieć mu po prostu, że go to nic nie obchodzi, odrzekłem ponuro:

— Jak dotąd, nie.

W gruncie rzeczy zdawałem sobie sprawę z niewyraźnej sytuacji, jaką wytworzyłem dla siebie porzucając tak korzystną posadę, i nie byłem ze swego postępku zadowolony. O mało nie powiedziałem kapitanowi, że moje czyny, jako nie mające nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, wcale nie zasługują na jego uwagę. Ale spojrzawszy na pocziwca, który z wyrazem dobrodusznej tępoty ssał fajeczkę, pomyślałem sobie, że nie należy mącić jego spokoju ani prawdą, ani sarkazmem.

Kapitan Giles wypuścił kłęb dymu i zaskoczył mnie niespodzianym pytaniem:

— Czy pan już opłacił powrotną drogę?

Pokonany bezczelnym uporem tego człowieka, któremu niepodobna było nawymyślać, odrzekłem z cokolwiek przesadną uprzejmością, że jeszcze nie opłaciłem

przejazdu, bo będzie na to aż nadto czasu jutro.

I już zamierzałem się wycofać chcąc oszczędzić sobie dalszych, bezcelowych indagacji, gdy mój prześladowca odłożywszy nagle fajkę pochylił się ku mnie poprzez stół i w sposób niezmiernie znaczący, jak by nadeszła jakaś krytyczna, przełomowa chwila, rzekł zniżając głos tajemniczo:

— A... nie opłacił pan jeszcze przejazdu? W takim razie powinienem pana uprzedzić, że się tu coś niezwykłego dzieje.

Nigdy nie czułem się tak oderwany od świata i ludzi. Pomimo chwilowego rozstania z morzem zachowałem właściwe marynarzom poczucie całkowitej niezależności od ziemskich spraw. Cóż mnie one mogły obchodzić? Zachowanie się Gilesa wzbudziło we mnie lekceważenie raczej niż ciekawość.

Na jego wstępne zapytanie: „Czy gospodarz klubu rozmawiał ze mną dzisiaj?”, odpowiedziałem, że nie rozmawiał, a gdyby nawet zdradzał do tego ochotę, nie spotkałby zachęty z mojej strony, nie życzę sobie bowiem żadnych stosunków z tym człowiekiem.

Nie zrażony moją opryskliwością kapitan Giles zaczął opowiadać mi drobiazgowo, z miną przenikliwego mędrca, historię o jakimś gońcu z urzędu portowego. Rzecz wydawała mi się bez znaczenia. Widziano przed południem gońca wchodzącego z listem w rękę na werandę. Pismo było w urzędowej kopercie. Goniec, wedle zwyczaju tubylców, zwrócił się do pierwszego białego, którego napotkał, a mianowicie do naszego sąsiada z leżaka. Ten, jak łatwo się domyślić, nie był w stanie udzielić mu jakichkolwiek wskazówek i skinieniem ręki odprawił natręta. Goniec błąkał się po werandzie, aż natknął się na kapitana Gilesa, który niezwykłym zbiegiem okoliczności znalazł się na jego drodze...

Tu kapitan urwał utkwivszy we mnie głębokie spojrzenie.

— Pismo — ciągnął dalej — zaadresowane było do kierownika klubu. Otóż w jakiej sprawie mógł kapitan Ellis, naczelny inspektor marynarki, pisać do naszego gospodarza? Przecież ten udawał się co rano do kapitanatu, aby złożyć raport i odebrać rozkazy. Dziś chodził tam jak zwykle, a nie upłynęło nawet godziny od jego powrotu, gdy już goniec szukał go z listem po całym klubie. Cóż by to mogło oznaczać?

Tu kapitan Giles począł rozważać. Nie chodziło z pewnością o to ani o tamto... Trzecią możliwość odrzucał również jako niedopuszczalną.

Niedorzeczność tych rozważań zupełnie mnie oszołomiła. Gdyby kapitan Giles nie był skądinąd sympatyczną postacią, uważałbym jego zachowanie się za ubliżające dla siebie. Ale ten poczciwiec budził więcej współczucia niż urazy. Niezwykła powaga jego spojrzenia powstrzymywała mnie zarówno od śmiechu, jak od ziewania. Patrzyłem tylko na niego z

prawdziwym zdumieniem.

Głos kapitana stawał się coraz bardziej tajemniczy. — Z chwilą — objaśnił mnie — gdy ten człowiek (to znaczy gospodarz) przeczytał pismo wręczone mu przez gońca, chwycił za kapelusz i wybiegł czym prędzej na miasto. Nie był jednak na pewno wezwany do urzędu, bo nieobecność jego trwała zaledwie parę minut. Wrócił, cisnął kapelusz i począł biegać po sali tam i z powrotem, jęcząc i uderzając się w czoło. Kapitan Giles, który miał sposobność zaobserwowania tych objawów, zastanawiał się teraz nieustannie nad ich znaczeniem.

Zrobiło mi się naprawdę żal zacnego kapitana.

— Cieszę się niezmiernie, że pan znalazł sobie jakąś rozrywkę — wtrąciłem uprzejmie, starając się nadać swemu głosowi poważne brzmienie.

Był rzeczywiście rozbijający. W prostocie ducha począł teraz unosić się nad szczególnym zbiegiem okoliczności, który zatrzymał go do południa w domu. Miał przeciw zwyczaj wychodzić co rano do miasta bądź w sprawach urzędowych, bądź dla odwiedzenia przyjaciół. A dziś właśnie, dziwnym zrządzeniem losu, czuł się przy wstawaniu cokolwiek niezdrów... Błache to niedomaganie wystarczyło, by odjąć mu zwykłą ochotę do przechadzki.

Badawczy wzrok, jakim przeszywał mnie ten pocziwiec, w połączeniu z jałowością jego wywodów sprawiał wrażenie łagodnego obłędu. Gdy pochyliwszy się na krześle zniżył głos do tajemniczego szeptu, pomyślałem ze smutkiem, że sława znakomitego żeglarza niekoniecznie chodzi w parze ze zdrowym rozsądkiem. (Nie przychodziło mi wtedy do głowy, że nikt właściwie nie wie, na czym ów sławetny rozsądek polega i jak dalece bywa kruchy i bezsilny.) Nie chcąc urazić starego maniaka, mrugnąłem z udanym zaciekawieniem. Poczytał to prawdopodobnie za zachętę, bo rozpoczął na nowo drobiazgowo śledztwo wypytując mnie, czy pamiętam, co zaszło przed chwilą pomiędzy gospodarzem a „tamnym osobnikiem”. Mruknąłem cierpko, że tak, i odwróciłem głowę.

— Hmm... Zapamiętał pan każde słowo? — nalegał z uporczywym natręctwem.

— A czy ja wiem! Nic mnie to wszystko nie obchodzi, życzę im tylko obu, aby nigdy nie wyrzeli z piekła! — krzyknąłem w najwyższej pasji, postanawiając sobie raz skończyć z tą głupią historią. Ale kapitana nic już nie mogło powstrzymać. Wpatrując się we mnie zamyślonym wzrokiem, uporczywie powracał do twierdzenia, iż moja osoba grała główną rolę w sporze gospodarza z Hamiltonem. Podniecony moją niewrażliwością, stawał się wprost okrutny: „Czy słyszałem, co mówił ten człowiek? Tak? Cóż tedy sądzę o jego zachowaniu się?” Czekał mojej odpowiedzi.

Dość było spojrzeć na kapitana Gilesa, by się upewnić, że nie żywi względem mej osoby złośliwych zamiarów. Doszedłem przeto do wniosku, że mam do czynienia z

najgruboskórnijszym idiotą pod słońcem, i począłem gardzić własną słabością, która nie pozwalała mi przerwać tej nieznośnej rozmowy. Powiedziałem mu, że nie myślę zajmować się osobą Hamiltona, który nie jest wart chwili zastanowienia. Przyzwoity człowiek nie powinien zwracać najmniejszej uwagi na słowa takiej bezczelnej figury... („Bezczelnej, bezczelnej, niezawodnie!” — wtrącił kapitan Giles) nie zamierzam przeto wyciągać konsekwencji z zasłyszanej rozmowy.

Wydawało mi się to tak słuszne i oczywiste, że byłem naprawdę zdumiony widząc, iż kapitan Giles nie podziela mego stanowiska. Tępość posunięta do takich granic stawała się niemal zajmująca.

— Jakże, pańskim zdaniem powinienem był postąpić? — zapytałem śmiejąc się nerwowo. — Nie mogę przecie wszczynać awantury z powodu opinii, jaką sobie pan Hamilton o mnie wytworzył. Oczywiście, zauważyłem pogardliwy ton, jakim mówił o mojej osobie, ale nie zwracał się do mnie bezpośrednio, nie wiedział nawet z pewnością, że słyszymy jego słowa. Naraziłbym się na śmieszność, nic więcej.

Mój beznadziejny prześladowca gryzł fajeczkę z widocznym zniecierpliwieniem. Nagle jak by się udobruchał.

— Zdaje mi się, że pan zupełnie nie rozumiał, o co chodzi.

— Nie rozumiałem? Ha, tym lepiej — mruknąłem.

Z wzrastającym ożywieniem począł mi tłumaczyć, że zaszło między nami najzupełniejsze nieporozumienie. On, kapitan Giles, przywykł zastanawiać się nad każdym drobiazgiem, i z tego powodu nic nie uchodzi jego uwagi. Spostrzegawczość tudzież głęboka znajomość życia i ludzi naprowadza go zawsze na tory właściwe.

Ten odcień samochwalstwa zestrajał się znakomicie z czężą paplaniną, której słuchałem już od południa. Utwierdziła mnie ona w przekonaniu, że życie jest bezmyślnym zabijaniem czasu i że po to tylko porzuciłem dogodną pracę w gronie życzliwych przyjaciół, by uciekając od pustki życiowej odnaleźć ją w postaci o wiele dotkliwszej na pierwszym zakręcie drogi. Wszakże człowiek, którego miałem przed sobą, zażywał powszechnie opinii tęgiej głowy i tęgiego charakteru, a w bliższym zetknięciu okazał się płaskim, pospolitym gadułą. To samo musiało być wszędzie, od zachodu na wschód, od północy na południe, na każdym szczeblu drabiny społecznej.

Ogarnęło mnie wielkie zniechęcenie, jak gdyby senność duchowa. Słuchając łagodnego głosu kapitana doznawałem wrażenia, że w jego tonie przebija powszechna płytkość pojęć. Gniewu już w sobie nie czułem. Bo i po cóż się gniewać, skoro inaczej być nie może? Świat na pewno nie zawiera w sobie nic oryginalnego, nic zdumiewającego, nic

pouczającego. Nie ma w nim wiedzy do nabycia ni radości do przeżycia, ni wielkich wydarzeń dających człowiekowi możliwość stwierdzenia własnej wartości. Wszystko jest nedorzeczne, płaskie i przecenione jak sam kapitan Giles. Niechże będzie tak i nadal.

Nazwisko Hamiltona, wymówione po raz nie wiadomo który, zadźwięczało mi w uchu, wrywając z głębokiej zadumy.

— Zdawało mi się, że wyczerpaliśmy ten przedmiot — rzekłem z najwyższym niesmakiem.

— Tak. Ale po tym, cośmy tu usłyszeli, sądzę, że nie powinien pan zwlekać ani chwili.

— Zwlekać? — krzyknąłem w osłupieniu. — A cóż tu jest do zrobienia?

Kapitan Giles zmierzył mnie oczyma ze zdumieniem.

— To, co panu doradzam. Spróbować nigdy nie zawadzi. Pójdzie pan do gospodarza i spyta go, co zawierało urzędowe pismo. Prosto z mostu, bez ogródek.

Oniemiałem na dobrą chwilę. Tu było przynajmniej coś nieprzewidzianego, coś zakrawającego na zagadkę.

Mruknąłem zdziwiony:

— Ależ sądziłem, że chodzi o Hamiltona...

— Właśnie. Do tego nie można dopuścić. Proszę zrobić, jak doradzam. Niech pan przyciśnie gospodarza do muru, a ręczę, że podskoczy ze strachu — nalegał kapitan Giles, znacząco potrząsając fajeczką przed moimi oczyma. Po czym zaciągnął się chciwie dymem trzy razy z rzędu.

Nie potrafię opisać wyrazu triumfu, jaki malował się na jego twarzy. Z tym wszystkim miał w sobie coś dziwnie pociągającego. Cała jego postać promieniała śmieszna, łagodna, niemal natrętną życzliwością. Było to jednocześnie sympatyczne i drażniące. Odpowiedziałem mu dość oschle, jak człowiek stojący wobec nierozwiązalnej zagadki, że nie widzę żadnej przyczyny narażania się na impertynencję ze strony gospodarza. Uważam go za lichego kierownika klubu i za dość nikczemną figurę, ale to mnie jeszcze nie zachęca do ucierania mu nosa.

— Do ucierania mu nosa? — powtórzył kapitan Giles tonem niezmiernie zgorzonym. — Rzeczywiście! Dużo by panu z tego przyszło.

Ta uwaga była tak niespodziana, że nie znalazłem na nią odpowiedzi. Potęgujące się we mnie uczucie wkraczania w dziedzinę absurdu wzięło w końcu górę nad wahaniem. Powiedziałem sobie, że trzeba za wszelką cenę zamknąć temu człowiekowi usta. Podniosłem się przeto i oświadczyłem jak najuprzejmiej, że jego wywody są dla mnie za mądre.

Zanim jednak zdążyłem się oddalić, kapitan dorzucił tonem uporczywej perswazji, zaciągając się nerwowo dymem z fajki:

— No, w każdym razie nie mamy do czynienia z manekinem. Niech go pan przyciśnie do muru, o nic więcej nie proszę.

Ten nowy zwrot zaciekał mnie, a raczej zastanowił. Zdrowy rozsądek wziął jednakże górę i opuściłem werandę zegnając mego towarzysza bladym uśmiechem. Wszedłem do sali jadalnej, obecnie wyprzątanej i pustej. Różnorodne myśli przelatywały mi przez głowę: zapytywałem siebie, czy kapitan Giles zdrwił sobie ze mnie, czy rzeczywiście wyglądam na takiego głupca, czy też brak doświadczenia czyni mnie przesadnie podejrzliwym.

Ku memu zdziwieniu otworzyły się nagle drzwi wychodzące z pokoju gospodarza na salę jadalną. „Naczelnym kierownikiem klubu” wysunął się ze swej cuchnącej nory i właściwym sobie krokiem ściganego zwierza kierował się ku drzwiom ogrodowym.

Do dziś dnia nie wiem, co mnie wtedy zniewoliło do zawołania: „Za przeproszeniem, panie gospodarzu!” Czy działałem pod wpływem tajemniczych nakazów kapitana, czy pod wpływem jadowitego spojrzenia, jakim obrzucił mnie kierownik klubu przemykając się przez salę, pozostanie dla mnie tajemnicą. Był to bądź co bądź odruch, jakiś przejaw tych głęboko ukrytych sił, które działają poza naszą świadomością, nadając nieraz życiu naszemu zgoła nieprzewidywany kierunek. Gdyby nie te słowa, wyrzeczone bez udziału woli, dalsze moje losy, aczkolwiek niewątpliwie nadal związane z morzem, byłyby się potoczyły odmiennymi drogami, których dziś nawet wyobrazić sobie nie umiem. Tak, stwierdzam z całą stanowczością, że moja wola nie brała w tym udziału. Skoro tylko padły te rozstrzygające słowa, pożałowałem ich natychmiast. Gdyby gospodarz był przystanął i zapytał, o co chodzi, znalazłbym się w niezmiernie kłopotliwym położeniu, nie miałem bowiem wcale zamiaru przedłużać idiotycznej farsy zainscenizowanej przez kapitana Gilesa.

I oto niespodzianie przyszedł mi z pomocą pierwotny instynkt myśliwski, tkwiący widocznie w naturze każdego człowieka. Gospodarz udał, że nie słyszy, ja zaś bez zastanowienia obiegłem dookoła stół i zastąpiłem mu drogę.

— Czemu pan nie odpowiada, gdy mówią do pana? — zagadnąłem ostro. Zatoczył się i oparł o obramienie drzwi. Wyraz okropnego przygnębienia malował się w całej jego postaci. Miałem wtedy sposobność stwierdzenia niemiłej prawdy, że w naturze ludzkiej tkwią pierwiastki dość nikczemne. Poczulem w sobie mianowicie nagły przypływ gniewu, a jedyną przyczyną tego gniewu był przeblysł strachu dostrzeżony w oczach przeciwnika. Ach, nędzny, obmierzły tchórz!

Wpadłem na niego z góry: — Dowiaduję się, że przyszło tu dziś pismo z kapitanatu portu. Czy tak?

Zamiast odpowiedzieć mi, że wtrącam się w nie swoje rzeczy, do czego miał zupełnie prawo, nieszczęsny gospodarz zaczął jęczeć i wyklamywać się bezczelnie. Nie mógł mnie nigdzie odszukać... Niepodobieństwem było przecie posyłać za mną gońców...

— A któż pana o to prosił? — krzyknąłem. I w tej chwili dopiero otworzyły mi się oczy na ukryty sens poszczególnych słów i wydarzeń, które dotychczas wydawały mi się bez znaczenia.

Zażądałem ostro od gospodarza, by wyjawiał mi treść urzędowego pisma. Moja bezwzględność była tylko na wpół udana. Zdarzają się bowiem chwile w życiu ludzkim, kiedy ciekawość dochodzi do takiego napięcia, że graniczy z namiętnością. Szukając dla siebie ratunku gospodarz przybrał postawę wprost zaczepną. Pismo nie dotyczyło mnie wcale. Powiedziałem mu przecież, że zamierzam wracać do kraju, a 'skoro ja sam mu to oświadczyłem, nie miał żadnego obowiązku... etc., etc.

To, co mówił, było tak niepoważne, że wyglądało po prostu na drwiny, a przynajmniej na lekceważenie osoby przeciwnika.

W okresie dzielącym pierwszą młodość od wieku dojrzałego (a wtedy właśnie przeżywałem ten okres) człowiek bywa niezmiernie wrażliwy na każdy objaw lekceważenia. Nie ukrywam, że zachowanie się moje wobec gospodarza stało się wręcz brutalne. Nieszczęsny człeczyna (może na skutek nałogowego pijaństwa, któremu oddawał się w samotności od szeregu lat) okazał się niezdolny do jakiegokolwiek oporu. Gdy uniósłszy się do ostatecznych granic sponiewierałem go jak psa, rozkleił się zupełnie i uderzył w płacziwą nutę.

Nie był to głośny wybuch, ale żalсна w swym cynizmie spowiedź, żalсна i bezsilna... Trudno było i teraz połapać się w tym, co mówił, mimo to zrozumiałem nareszcie, o co chodzi, i oniemiałem z oburzenia. Odwracając oczy od nędznika dostrzegłem we drzwiach werandy kapitana Gilesa, który spokojnie śledził przebieg sceny będącej jego dziełem. Żarząca się czarna fajeczka odcinała się wyraźnie od jego wielkiej, prawdziwie ojcowskiej pięści. Silnie też połyskiwał ciężki, złoty łańcuszek na tle białej kamizelki. Cała jego postać tchnęła cnotliwą przenikliwością i zdawała się obiecywać pomoc uciśnionym. Skoczyłem ku niemu.

— Czy pan uwierzy? Przyszło zawiadomienie z kapitanatu, że wakuje miejsce kapitana statku. Chodzi niezawodnie o wskazanie kandydata, a ta bestia wsadziła rozkaz do kieszeni!

Gospodarz jęknął rozpaczliwie: — Pan mnie wpędzi do grobu! — i uderzył się w czoło, aż się rozległo. Gdy zwróciłem się ku niemu, już go nie było w pokoju. To nagłe zniknięcie rozśmieszyło mnie mimo woli.

Uważałem sprawę za ostatecznie załatwioną, ale innego zdania był kapitan Giles. Wpatrując się we drzwi, za którymi znikł nasz gospodarz, dopóty szarpał swój złoty łańcuszek, dopóki z kieszonki nie wyłonił się potężny zegarek, jak prawda z głębokiej czeluści.

Wsunąwszy go z powrotem na miejsce przemówił z namaszczeniem:

— Trzecia. Zdąży pan jeszcze, nie tracąc oczywiście ani chwili.

— Dokądże mam iść? — spytałem.

— Dokąd? Boże święty! Do kapitanatu portu. Ta sprawa musi być wyjaśniona.

Prawdę powiedziawszy, miał zupełną słuszność. Ale ja nie czułem w sobie powołania na sędziego śledczego; niemiłe mi były wszelkie dochodzenia, skargi i tym podobne zabiegi, aczkolwiek uznawałem ich konieczność ze względów społecznych. W tym wypadku cała moja uwaga skupiła się na „ustronie moralnej” zagadnienia, z przeoczeniem jego „strony praktycznej”. Uważałem, że skoro już koniecznie trzeba wpędzić gospodarza do grobu, to niechże zajmie się tym kapitan Giles, jako starszy stanowiskiem i wiekiem, a przy tym stały mieszkaniec klubu. W porównaniu z nim byłem tu przelotnym ptakiem, a w oczach ludzi „wycofanym” marynarzem, człowiekiem bez stosunków... Rzekłem tedy wymijająco, że nie widzę powodu wtrącania się do sprawy, która mnie w gruncie rzeczy nie obchodzi.

— Jak to nie obchodzi?! — krzyknął kapitan Giles nie kryjąc już oburzenia, które zresztą przejawiało się u niego w sposób opanowany i spokojny. — Kent miał słuszność uprzedzając mnie o pańskim dziwactwie. Może pan także powie, że stanowisko kapitana niewarte jest zabiegów? Szkoda, doprawdy, moich wysiłków!

— Wysiłków? — mruknąłem zdziwiony. — Jakich wysiłków? — Nudził mnie przez godzinę niezrozumiałą rozmową — czyżby to nazywał wysiłkiem?

Postać Gilesa promieniała błogim zadowoleniem z siebie, które byłoby odrażające w każdym innym człowieku. Nie spuszczał mnie przy tym z oka. I oto nagle, nie wiadomo skąd, rozjaśniło mi się w głowie. Zupełnie jak by czyjaś ręka odwróciła przede mną kartę książki odsłaniając utajony napis, którego daremnie szukałem. Cała sprawa ukazała mi się teraz we właściwym świetle — przestała być wyłącznie moralnym zagadnieniem...

Mimo to nie ruszyłem się z miejsca. Kapitan Giles poczynał tracić cierpliwość. Pykał gniewnie ze swej fajeczki, wreszcie, oburzony mym brakiem decyzji, odwrócił się do mnie plecami.

Z mojej strony nie było już właściwie wahania. Poprzednio czułem się, że tak powiem, duchowo „wytracony z zawiasów”. Z chwilą jednak, gdy okoliczności przekonały mnie, że na tym stęchłym i obmierzłym świecie istnieje możliwość zdobycia władzy (i to jakiej władzy! — kapitana statku), od razu odzyskałem utraconą sprężystość.

Z naszego klubu do urzędu portowego jest porządny kawał drogi, ale czarodziejska moc zawarta w słowie „komenda” poniosła mnie jak na skrzydłach. W parę minut znalazłem się na wybrzeżu przed okazałą fasadą z białego kamienia, do której prowadziły wygodne, białe schody.

Wszystko zdawało się sunąć ku mnie z szybkością wprost zawrotną. Ledwo mignęła mi w oczach zatoka olśniewająca błękitem, gdy już pochłonęło mnie mroczne, chłodne wnętrze pałacowej sieni. Tu dopiero przez kontrast uświadomiłem sobie spiekotę, jaka panowała na zewnątrz — dotychczas nie odczuwałem jej wcale.

Szerokie schody wewnętrzne same wskazały mi drogę. „Komenda” ma jednak głęboki urok! Od chwili kiedy straciłem z oczu godną postać kapitana Gilesa (a właściwie jego plecy), tak byłem pochłonięty tą jedną myślą, że nie widziałem nikogo dokoła siebie. Pierwszą istotą ludzką, którą teraz dostrzegłem, był motorniczy szalupy portowej, Malajczyk, przechadzający się po korytarzu przed wejściem do urzędowej sali. Wejście zasłonięte było kotarą.

Tu dopiero opuścił mnie niefrasobliwy nastrój. Atmosfera urzędowości działa zabójczo na wszystko, co żyje: ludzkie porywy, nadzieje i trwogi gasną przy pierwszym zetknięciu z nieubłagany regulatorem życia, jakim jest urzędowe pióro. Ociężałym krokiem minąłem kotarę, którą rozsunął przede mną usłużny Malajczyk. W biurze nie było nikogo oprócz urzędników gorliwie „odrabiających kawałki” przy dwóch rzędach stołów. Sekretarz kapitanatu, siedzący w głębi na podwyższeniu, zerwał się na mój widok i wybiegł ku mnie aż na środek sali wysłanej grubą matą.

Nazwisko tego pana zdradzało szkockie pochodzenie, mimo to miał cerę oliwkową, zarost niespospolicie czarny i równie czarne oczy o powłóczystym spojrzeniu. Zapytał mnie poufnie:

— Czy pan „jego” chce widzieć?

Ponieważ odwaga ducha i ciała opuściła mnie z chwilą przekroczenia urzędowych progów, obrzuciłem przeto sekretarza spojrzeniem dość bezbarwnym i spytałem zmęczonym głosem:

— Jak pan sądzi? Czy warto?

— Czy warto? Mój Boże! Sam zapytywał o pana, zapytywał dwa razy!

„On sam” był najwyższą władzą w tym urzędzie, naczelnym inspektorem marynarki i

kapitanem portu, bardzo wielką figurą w oczach urzędowych gryzipiórków. Jednakże mniemanie, jakie mieli o jego wielkości, niczym było w porównaniu z opinią, jaką żywił sam o sobie kapitan Ellis. Poczytywał siebie, zdaje się, za następcę i zastępcę bogów pogańskich, za rodzaj Neptuna, przynajmniej na obszarze okolicznych mórz. Nie mogąc narzucać swej woli wiatrom i morzu, narzucał ją wszystkim tym śmiertelnikom, których los zagnał w te strony falom na igraszkę.

Wysokie wyobrażenie o sobie czyniło go bezwzględny, a że miał przy tym temperament dość gwałtowny, więc szerzył wśród ludzi istny postrach. Bano się kapitana Ellisa nie tyle z powodu stanowiska, które zajmował, ile z powodu praw, które sobie rościł. Ja nie miałem z nim dotychczas do czynienia ani razu.

— Hm... Pytał o mnie dwukrotnie? — rzekłem. — To może trzeba się do niego zgłosić?

— Ależ koniecznie, koniecznie!

Sekretarz przeprowadził mnie tanecznym krokiem przez salę zręcznie wymijając pulpity, po czym otworzył przede mną okazałe drzwi wiodące do gabinetu zwierzchnika.

Wszedł pierwszy (trzymając za klamkę) i rozejrzawszy się z uszanowaniem po pokoju milcząco skinął mi głową. Skoro tylko wszedłem, wysunął się dyskretnie, zamykając za sobą drzwi bardzo cichutko.

Znalazłem się naprzeciwko trzech wyniosłych okien wychodzących na przystań. Widziało się przez nie ciemnobłękitne, roziskrzane morze i blade niebo przepojone światłem. Oczy moje dostrzegły gdzieś, wśród tych błękitów, białe plamki żagli. Pomyślałem sobie, że to okręt z kraju dobijający do przystani po dziewięćdziesięciu dniach podróży... Jest coś szczególnie wzruszającego w widoku żaglowca, który powraca z pełnego morza i jak zmęczony ptak opuszcza na spoczynek swoje białe skrzydła.

Wzrok mój przeniósł się teraz na srebrną czuprynę kapitana Ellisa i na jego purpurowe oblicze, które mogłoby nasuwać obawę apopleksji, gdyby nie przeczyła temu młodzieńcza czerstwość całej jego postaci.

Nasz zastępca Neptuna nie nosił klasycznej brody, nie dostrzegłem również nigdzie w pobliżu klasycznego trójzębu, chociaż szukałem go oczyma po kątach jak parasola. Trójzęb zastępowało mu pióro — urzędowe pióro — groźniejsze od miecza, jedno bowiem pociągnięcie tego pióra decydowało o karierze lub upadku zwykłych jak ja śmiertelników.

Kapitan Ellis spoglądał na mnie poprzez ramię, dopóki nie znalazłem się w polu jego widzenia. Wówczas zagadnął mnie ostro:

— Gdzież się pan obracał do tej pory?

Uważając, że go to wcale nie obchodzi, puściłem jego słowa mimo uszu. Powiedziałem mu natomiast z całą prostotą, że dowiedziawszy się o wakującej posadzie kapitana przyszedłem zgłosić swą kandydaturę sądząc, że jako zawodowy marynarz, potrafię sprostać...

Dygnitarz przerwał mi gwałtownie:

— Wiadoma rzecz, u licha! Nie znam odpowiedniejszego człowieka na to stanowisko i dałbym panu pierwszeństwo przed dwudziestu innymi! Ale nie zgłasza się nikt. Boją się — ot, co jest. Był bardzo rozdrażniony.

— Boją się, panie kapitanie? A czego — spytałem niewinnie.

— Czego? — wybuchnął. — Żagli. Białej załogi. Kłopotów, nade wszystko zaś pracy. Już za długo, gagatki, tu siedzą. Chce im się łatwego życia i wygodnych foteli na pokładzie. Konsul generalny telegraf uje do mnie, abym mu natychmiast kogoś przysłał, a jedyny człowiek odpowiedni nie raczy się nawet pokazać. Myślałem, żeś i pan stchórzył...

— Zdaje się, że stawiłem się na czas, panie kapitanie — odrzekłem ze spokojem.

— A trzeba panu wiedzieć, że tutaj masz reputację dobrego marynarza! — ryknął groźnie, nie spoglądając w moją stronę.

— Bardzo mi miło słyszeć to z ust pana kapitana.

— Myślę. Ale nie stawił się pan na wezwanie. No, no, wiemy, że tak było. Gospodarz klubu nie ośmieliłby się nigdy lekceważyć polecenia wydanego przez urząd. Gdzież, u licha, obracałeś się pan przez pół dnia?

W odpowiedzi uśmiechnąłem się dobrotliwie, a on opamiętał się widać, bo uprzejmie wskazał mi krzesło. W dalszym ciągu rozmowy objaśnił mnie, że w Bangkoku zmarł ostatnimi czasy kapitan angielskiego statku i konsul generalny telegrafował do tutejszego urzędu z żądaniem, by przysłano mu natychmiast odpowiedniego następcę.

Przypuszczam, że kapitan Ellis upatrzył sobie od razu moją osobę, jakkolwiek zawiadomienie przesłane do klubu oficerów było, o ile wiem, zredagowane w ogólnikowej formie. Kontrakt był już napisany. Dał mi go do przeczytania, a gdy zwróciłem mu dokument wyrażając zgodę, podpisał go i przypieczętował własną dostojną ręką, po czym, złożywszy we czworo tę niepozorną ćwiartkę niebieskiego papieru, oddał ją z powrotem w moje ręce. Wyznaję, że gdym ją wsuwał do kieszeni, zakręciło mi się w głowie.

— Oto jest dyplom — rzekł kapitan z powagą. — Urzędowy kontrakt, obowiązujący zarówno pana, jak właścicieli statku. Kiedyż pan będzie gotów do drogi?

Odpowiedziałem, że mogę jechać choćby dziś. Pochwycił mnie skwapliwie za słowo. Parowiec „Melita” ma właśnie dzisiaj o godzinie siódmej wieczorem odpłynąć do Bangkoku.

Kapitan tego statku otrzyma więc zlecenie, aby odłożył wyjazd do godziny dziesiątej i zabrał mnie na pokład.

Po tych słowach zastępca Neptuna powstał ze swego urzędowego fotelu, a ja poszedłem za jego przykładem. Kręciło mi się w głowie nie na żarty, czułem przy tym taką ociążałość członków, jak by kończyny moje nagle stały się grubsze. Złożyłem kapitanowi głęboki ukłon.

W zachowaniu dygnitarza zaszła niedostrzegalna zmiana — można by sądzić, że odłożył na bok swój trójząb Neptuna. W rzeczywistości wypuścił tylko z ręki urzędowe pióro, aby odprowadzić mnie do drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Uściskał moją rękę:

— No, będzie pan teraz „na swoim”. A proszę pamiętać, że mianowałem pana na własną odpowiedzialność.

Towarzyszył mi aż do progu. Jakże długa wydawała mi się ta przestrzeń! Poruszałem się jak człowiek spętany. Naciskając klamkę miałem wrażenie, że i ta klamka, i wszystko, co mnie otacza, jest nierzeczywiste, że poruszam się we śnie. W ostatniej chwili uczucie koleżeństwa okazało się silniejsze od dzielących nas różnic stanowiska i wieku. Przejawiło się to w słowach kapitana wyrzeczonych niezwykle serdecznie:

— Do widzenia! I — szczęście Boże!

Pożegnałem go wdzięcznym spojrzeniem i opuściłem progi mego dobroczyńcy, którego nie miałem już nigdy zobaczyć. Uszedłszy parę kroków usłyszałem za sobą donośny, gniewny, rozkazujący głos — głos prawdziwego Neptuna.

To kapitan Ellis przemawiał do sekretarza, który po wprowadzeniu mnie do gabinetu przechadzał się prawdopodobnie cały czas przed drzwiami. i — Panie R., niech szalupa będzie gotowa na wpół do dziewiątej wieczorem. Odwiezie kapitana na pokład „Melity”.

Byłem zdziwiony skwapliwością, z jaką ten odpowiedział: — Słucham, panie naczelniku — i wyprzedzając mnie wybiegł na schody. Moja nowa godność tak słabo jeszcze trzymała się mej osoby, że w pierwszej chwili nie zrozumiałem, kto jest tym kapitanem, przedmiotem niezwykle łaskawości naczelnika. Zdawało mi się natomiast, że mam skrzydła u ramion i że moje stopy ledwo muskają powierzchnię froterowanej posadzki. Pan R. był widać pod wrażeniem tego, co zaszło. Zastałem go na schodach przy wyjściu z sali, rozmawiającego z Malajczykiem, motorniczym portowej szalupy. Nieruchome oczy Malajczyka patrzyły na mnie kamiennym wzrokiem, który zdawał się mówić: „Oto człowiek, dla którego cała załoga ma być przetrzymana na służbie do późnej nocy, oderwana od słodczych rodzinnych i zwykłych rozrywek!”

— No, no, prywatna łódź naczelnika! — wykrzyknął pan R. przypatrując mi się z podziwem. — Czymże go pan potrafił tak zjednać?

Wybąkałem zmieszany:

— Więc to dla mnie? Nie miałem najmniejszego pojęcia...

Potwierdził kilkakrotnie skinieniem głowy:

— A jakże, a jakże! Ostatnią osobą, która dostąpiła tego zaszczytu przed panem, był

autentyczny książę. No, czy to panu wystarcza?

Spodziewał się widać, że zemdleję. Ale mnie było zbyt pilno wydostać się na świat boży, by tracić czas na ujawnianie wzruszeń. W moich uczuciach panował już taki zamęt, że nawet ta wstrząsająca wiadomość zapadła we wrzący kocioł mego mózgu nie wywołując żadnego wrażenia.

Pożegnanie nasze z panem R. było krótkie, lecz wymowne.

Łaska możnych otacza szczęśliwych wybrańców aureolą, która zjednywa im wszystkie serca. Ten nieoceniony człowiek chciał koniecznie się dowiedzieć, w czym by mi jeszcze mógł usłużyć! A przecie znał mnie zaledwie od godziny i mógł przypuszczać, że nie zobaczymy się nigdy więcej.

Jako prawdziwy biuralista, musiał z nieopisaną wyższością spoglądać na całą naszą brać żeglarską, żyjącą poza obrębem uświęconych ścian „Urzędu”. Byliśmy dla niego materiałem do sporządzania aktów, rodzajem symbolów czy widm, pozbawionych mózgow, ciała i potrzeb życiowych. Nie odmawiał nam racji bytu i pewnej użyteczności, ale zaliczał stanowczo do stworzeń niższego rzędu.

I oto ten człowiek (poza godzinami biurowymi) ofiarowywał mi swoje usługi!

Powinienem był, prawdę powiedziawszy, czuć się wzruszony do łez. Tymczasem przeszło to bez wrażenia. Uprzejmość sekretarza była tylko jedną niespodzianką więcej w tym dniu cudownych i zdumiewających wydarzeń. Pożegnałem się z nim tak, jakby był symbolem, a nie żywym człowiekiem. Zbiegłem ze schodów i minąwszy okazały portal gmachu skierowałem się w stronę klubu.

Jeśli mówię „skierowałem się”, a nie „frunąłem” w stronę klubu, to dlatego iż mimo odzyskania młodzieńczego rozmachu potrafiłem, o ile się nie mylę, zachować spokój ruchów.

Oczom różnokolorowych przechodniów — białych, brunatnych i żółtych przedstawicieli ludzkości, których napotykałem po drodze — musiałem przedstawiać się jako człowiek świadomie i z rozwagą dążący do celu. Oderwanie się moje od zjawisk tego świata — kształtów czy barw — było absolutne. Nie widziałem, co się dookoła mnie dzieje.

A jednak w pewnej chwili dostrzegłem Hamiltona. Poznałem go bez wysiłku, bez zdziwienia czy wstrząsu. Szedł niedbałym krokiem w stronę kapitanatu, ze zwykłą sobie godnością i sztywną arogancją. Karmazynowe jego oblicze świeciło się z daleka, płonęło jak żagiew w półmroku ocienionej alei.

Spostrzegłem, iż poznał mnie także. Nie umiem sobie wytłumaczyć (chyba nadmiernym podnieceniem), co mnie w owej chwili skłoniło do pozdrowienia go ruchem ręki. Wykonałem ten wysoce niewłaściwy gest, zanim nawet zdążyłem sobie uświadomić, że

zdolny jestem do popełnienia podobnego nietaktu.

Moja beczelność podziałała na niego jak grom. Stanął i bodajże się zachwiał, jakkolwiek zdaje mi się, że nie stracił całkowicie równowagi. Minałem go pośpiesznie, nie odwracając już głowy, i w chwilę później nie pamiętałem o jego istnieniu.

Nie umiałbym wówczas powiedzieć, czy droga powrotna zajęła mi dziesięć minut, dziesięć wieków czy dziesięć sekund. Nie było we mnie żadnej świadomości. Gdyby dokoła mnie strzelały armaty, waliły się domy i ludzie padali jak muchy, nie byłbym nic o tym wiedział. Myślałem tylko o jednym: „Do krośset! Trzymam ją w garści!” Oczywiście władzę. Spadła na mnie w sposób całkowicie nieprzewidywany, w sposób, o którym nawet nie marzyłem w swoich skromnych snach o przyszłości.

Stwierdziłem, iż moja wyobraźnia chodziła dotąd utartymi drogami, a nadzieje moje obracały się w kole ciasnych uprzedzeń. Zdawało mi się bowiem, że „komenda” musi być wynikiem powolnych awansów, zdobywanych ciężką, długoletnią pracą na usługach jakiejś solidnej firmy handlowej, że może być tylko nagrodą za wierną służbę.

Otóż wiarna służba jest niezaprzeczenie piękną rzeczą. Skłania do niej człowieka poczucie osobistej godności, przywiązanie do statku, przywiązanie do obranego przez siebie zawodu, nie zaś nadzieja nagrody.

W samym pojęciu nagrody jest coś budzącego niesmak.

A teraz oto dyplom kapitana miałem w kieszeni — przyszedł do mnie sam, w sposób zupełnie niespodziewany i przerastający wszelkie rachuby, co więcej, stało się to na przekór jakimś niezrozumiałym machinacjom wymierzonym przeciwko mej osobie. Intryga była wprawdzie niedołączna, ale sam fakt jej istnienia dodawał sprawie uroku: zdawało mi się, że zostałem przeznaczony na komendanta nie znanego mi jeszcze statku przez jakąś nieznaną siłę, wyższą od wszelkich urzędów i agencji handlowych.

Radosne podniecenie ogarniało mnie coraz silniej. Gdyby ten zaszczyt spotkał mnie po dziesięciu latach pracy, nie odczuwałbym z pewnością nic podobnego. Przestraszyłem się własnej egzaltacji i powiedziałem sobie: — Przede wszystkim zdobądźmy się na spokój.

Pode drzwiami klubu oficerskiego dostrzegłem gospodarza, który biegał wzdłuż i wszerz kamiennych schodów, jak by przykuty do nich łańcuchem. Zdawał się czekać na mnie. Przypominał zbitego, nieszczęsnego kundla, któremu ze strachu tak zaschło w gardzieli, że nie stać go nawet na szczekanie.

Wyznaję ze wstydem, że zatrzymałem się na jego widok. Zaszedł jakiś przewrót w całym moim jestestwie. Gospodarz stał bez tchu, z otwartymi ustami, w oczekiwaniu tego, co powiem. Popatrzyłem na niego przez chwilę.

— I panu się zdawało, że mnie można odsunąć! — syknąłem ze wzgardą.

— Pan przecie mówił, że wraca do kraju! — zapiszczał żałośnie. — Pan sam mi to mówił!

— Ciekawym, jak kapitan Ellis przyjmie tę wymówkę — odrzekłem złowieszczo, podkreślając każdy wyraz.

Winowajcy trzęsła się broda, a głos jego przypominał beczenie chorej kozy.

— Pan mnie wydał? Pan mnie naprawdę wydał?

Ani jego rozpacz, ani nedorzeczność jego podejrzenia nie zdołały mnie rozbroić. Był pierwszym człowiekiem, który chciał mnie skrzywdzić, a przynajmniej pierwszym, którego na tym zamiarze przyłapałem. Zbyt byłem młody, zbyt pełen ufności do życia (którego nie przyćmiła jeszcze smuga cienia), by nie czuć się do głębi wzburzonym tego rodzaju odkryciem.

Patrzyłem na niego nieubłaganym wzrokiem. Niech cierpi, niech wije się nędznik! Uderzył się w czoło, ja zaś minąłem go obojętnie, ścigany rozdzierającym jękiem:

— Ach, wiedziałem, że mnie pan wpędzi do grobu!

Jęk mojej ofiary musiał być donośny, skoro poprzez salę jadalną dotarł na werandę i przyciągnął kapitana Gilesa. Postać jego ukazała się w progu, tchnąca, jak zwykle, cnotą, przenikliwością i rozsądkiem. Złoty łańcuszek lśnił na jego piersi, a ręka ścisnęła kopczą fajeczkę.

Powitałem go serdecznym uściskiem dłoni, czym zrazu wydał się nieco zaskoczony, ale już po chwili odwzajemnił mi się równą serdecznością. Na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia z własnej wszechwiedzy, który dotknął mnie niemile i przeciął jak nożem moją chęć wyrażenia mu wdzięczności za oddaną usługę. Nie wiem, czy wyjąkałem dwa słowa, to tylko pewne, że zaczerwieniłem się jak żak przyłapany na karygodnym uczynku. Chcąc czym prędzej zatrzeć to wrażenie zapytałem tonem jak najnaturalniejszym, w jaki sposób zdołał wyśledzić tę podziemną robotę. Odpowiedział mi z niewzruszoną uprzejmością, że zna ukryte sprężyny prawie wszystkich wydarzeń, które zachodzą w tym mieście. Dotyczyło to szczególnie klubu, gdzie przemieszkiwał prawie stale od dziesięciu lat. Nic się tu nie mogło ukryć przed jego doświadczonym okiem. To, co dla mnie uczynił, nie sprawiło mu żadnej trudności, absolutnie żadnej.

Po tym zapewnieniu zapytał mnie ze zwykłym spokojem, czy wniosłem zażalenie na naszego gospodarza. Odpowiedziałem mu, że nie, jakkolwiek sposobności mi nie brakło. Kapitan Ellis wpadł na mnie w najniedorzeczniejszy sposób, wymawiając mi, że nie stawiałem się na wezwanie.

— Zabawny starowina — wtrącił kapitan Giles. — Cóż mu pan na to powiedział?

— Powiedziałem tylko, że przychodzę natychmiast po otrzymaniu zawiadomienia. Więcej nic. Nie chciałem szkodzić gospodarzowi, bo wstyd by mi było pograżać takiego cherlaka. Nie, nie wniosłem skargi, ale on, zdaje się, myśli, że go wydałem. Niech sobie myśli. Popamięta długo ten strach, nie ulega bowiem wątpliwości, że kapitan Ellis wyrzuciłby go stąd na zbity łeb.

— Przepraszam, że oddalę się na chwilę — przerwał mi mój towarzysz wychodząc z pokoju. Czułem wielkie znużenie i mąciło mi się w głowie. Nim zdążyłem ochłonąć, kapitan Giles znowu zjawił się przede mną, tłumacząc, iż musiał pójść do gospodarza: „Niepodobna bowiem zostawiać człowieka w takiej niepewności.”

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Nie wzruszyła mnie jakoś wiadomość, że zastał gospodarza leżącego na kanapie twarzą do poduszki.

— Teraz się już uspokoił — oznajmił kapitan Giles.

— Nie umarłby ze strachu — zauważyłem pogardliwie.

— Zapewne nie. Ale ma tam bez liku najrozmaitszych flaszeczek, do których mógłby zajrzeć ze szkodą dla swego zdrowia. Próbował już kiedyś truć się, osioł zatracony. Przed kilku laty...

I ta wiadomość nie potrafiła mnie wzruszyć.

— Ach tak? Rzeczywiście nie wygląda na człowieka stworzonego do życia.

— O wielu ludziach dałoby się to samo powiedzieć.

— Cóż za przesada! — wykrzyknąłem śmiejąc się z podrażnieniem. — Ciekawi mnie jednak, co by się stało z tą częścią świata, gdyby pan przestał czuwać nad nią, panie kapitanie? W jedno popołudnie potrafił pan jednego człowieka obdarzyć dyplomem kapitańskim, a drugiemu uratować życie. Wyznaję, iż zupełnie nie mogę pojąć pobudek, które pana skłoniły do interweniowania w obydwu tych wypadkach.

Kapitan Giles milczał przez chwilę, po czym rzekł z powagą:

— On w gruncie rzeczy nie jest złym gospodarzem. Wcale umiejętnie dobiera sobie kucharzy, a co więcej, umie przywiązać ich do miejsca. Gdyby pan wiedział, jacy tu dawniej bywali partacze.

Musiałem jakimś gestem okazać zniecierpliwienie, gdyż poczciwiec urwał w połowie zdania i począł przeproszać mnie za zabieranie czasu przed samą podróżą, wymagającą zapewne przygotowań.

Odczuwałem istotnie ogromną potrzebę samotności. Mój pokój położony w nie zamieszkałej części domu, nadawał się do wypoczynku i spokojnych dumań. Nie mając

absolutnie nic do roboty (ponieważ rzeczy moje nie były rozpakowane), usiadłem na łóżku i począłem rozmyślać nad wszystkim, co mnie w ciągu dnia spotkało. Nieoczekiwane wrażenia, nieoczekiwane wypadki!

Zastanawiał mnie przede wszystkim stan własnego umysłu. Dlaczego nie byłem bardziej zdumiony? Dlaczego? Zostałem oto pasowany na kapitana w sposób iście czarodziejski, nie mający nic wspólnego ze zwykłym biegiem ludzkich wydarzeń. Powinno mnie to było wprawić w najwyższe zdumienie, tymczasem przyjmowałem to spokojnie jak bohater z bajki, którego nie wzruszają najfantastyczniejsze zjawiska. Wszakże Kopciuszek niczemu się nie dziwi: gdy ze zwykłej ogrodowej dyni wyłania się przepyszna karetka mająca zawieźć ją na bal, dziewczeczka nie waha się ani chwili, wsiada i jedzie najspokojniej na spotkanie losu.

Czyż kapitan Ellis, ten możny czarodziej, na którego skinienie wyskakiwały z szuflady gotowe dyplomy, nie był również postacią z bajki? Jeśli więc zdobycie dyplomu nie wydało mi się zrazu nadprzyrodzonym zdarzeniem, to dlatego że „dowództwo” jest pojęciem abstrakcyjnym. Cała cudowność sytuacji olśniła mnie dopiero wtedy, kiedy nagle zrozumiałem, że komenda pociąga za sobą istnienie statku.

Statek! Mój statek! Już był moim. Wkrótce miałem go objąć w posiadanie tak zupełne, o jakim nic na świecie nie daje wyobrażenia; zdany na moją odpowiedzialność, miał stać się odtąd wyłącznym przedmiotem mych trosk i poświęceń. Oto czeka już na mnie jak zaklęta królowa: nie może poruszyć się z miejsca, nie może zacząć żyć, dopóki ja nie przybędę! Zdawało mi się, że słyszę już jego wołanie z daleka, z daleka, jak by spoza chmur... A przecie nie przeczuwałem dotąd jego istnienia, nie wiedziałem, jak wygląda, ledwo pamiętałem jego nazwę. Mimo to byliśmy już nierozdzielnie ze sobą związani, jeśli nie na zawsze, to na jakiś niewiadomy okres naszego istnienia — związani na dół i niedołą, na życie i na śmierć.

Uczułem w żyłach poryw namiętnej niecierpliwości, a jednocześnie taką pełnię życia, jakiej nie doznałem nigdy przedtem ani potem. Ta krótka chwila przekonała mnie, że jestem marynarzem do szpiku kości, człowiekiem stworzonym do morza i okrętu, duszą i ciałem przystosowanym do żeglugi. Morze było dla mnie warunkiem istnienia, okręt zaś probierzem męskości, temperamentu i odwagi, przedmiotem miłostnego kultu. Przeżyłem cudowną, jedyną w życiu chwilę. Zerwawszy się z łóżka długo chodziłem po pokoju przemierzając go wzdłuż i wszerz. Gdy nadeszła pora zejścia na obiad, byłem już prawie zupełnie opanowany, nie mogłem się tylko przymusić do przełknięcia łyżki strawy.

Muszę oddać sprawiedliwość naszemu gospodarzowi, że sam wystarał mi się o

tragarzy do odniesienia rzeczy, postanowiłem bowiem udać się piechotą do przystani. Kolorowi tragarze ruszyli pierwsi, unosząc na długim drągu cały mój ziemski dobytek z wyjątkiem pieniędzy, które zachowałem przy sobie. Kapitan Giles ofiarował się odprowadzić mnie na miejsce.

Szliśmy ciemną aleją, ciągnącą się wzdłuż esplanady. Pod drzewami panował względny chłód. Milczenie przerwał kapitan Giles mówiąc żartobliwie:

— Wiem, kto dziś odetchnie po pańskim wyjeździe!

Domyśliłem się, że ma na myśli naszego gospodarza. Nieszczęsny człeczyna zachował wobec mnie do ostatka swoją na pół zastraszoną, półwyzywającą postawę. Powiedziałem kapitanowi, że nie umiem wytłumaczyć sobie pobudek, które skłoniły tego człowieka do spiskowania przeciwko mej osobie bez żadnej widocznej przyczyny.

— Czyż pan nie rozumie, że chodziło mu o Hamiltona?

Chciał wręcić go na posadę, którą pan teraz otrzymał, by tym sposobem pozbyć się niemiłego gościa.

— Nie może być! — krzyknąłem czując się niejako upokorzony samym przypuszczeniem kapitana. — A to osioł! Bo jakże? Taki bezczelny darmozjad komendantem statku! Nie, niepodobna... A jednak, Bóg raczy wiedzieć, jak by się było skończyło, bo kapitanat musiał przecież kogoś mianować...

— Nie inaczej. Głupcy w rodzaju naszego gospodarza bywają niebezpiecznymi ludźmi — oświadczył sentencjonalnie kapitan Giles. I zniżając głos ciągnął dalej pouczającym tonem: — Niebezpiecznymi właśnie z powodu swej głupoty. Bo proszę mi powiedzieć, czy człowiek o zdrowych zmysłach narażałby się na utratę ostatniej może posady, chroniącej go od śmierci głodowej, po to tylko, by usunąć z drogi drobną przeszkodę? No, tak czy nie?

— Oczywiście — przyznałem opanowując wesołość, bo rozśmieszył mnie poważny, niemal tajemniczy ton, jakim kapitan Giles wygłaszał swoje sentencje. Można by myśleć, że dzieli się ze mną owocem jakichś zakazanych dociekań.

— To musi być przy tym nienormalny osobnik — dodałem dla podtrzymania rozmowy.

— Nikt na tym świecie nie jest zupełnie normalny — odparł spokojnie mój towarzysz.

— Jak to? Nie dopuszcza pan żadnych wyjątków? — zapytałem po to tylko, by usłyszeć jego odpowiedź.

Milczał przez chwilę, po czym zaskoczył mnie niespodzianą uwagą:

— Cóż pan chce? Kent twierdzi, że i pan ma cokolwiek bzika.

Wezbrała we mnie gorycz przeciwko dawnemu zwierzchnikowi.

— Czy tak? Nie ma o tym żadnej wzmianki w świadectwie, które mi wystawił. Może przytaczał panu dowody mej anormalności?

Pocziwiec zaczął uspokajać mnie, że to była tylko przyjacielska uwaga ze strony Kenta, który nie mógł pogodzić się z faktem mojej niespodzianej dymisji.

— Ach, mojej dymisji... — mruknąłem z niechęcią i przyspieszyłem kroku. Giles dreptał obok mnie w głębokim mroku alei, dotrzymując mi towarzystwa tak sumiennie, jak by był strażnikiem eskortującym niebezpiecznego osobnika. Zasapał się przy tym, co powinno było mnie wzruszyć, ale byłem jeszcze tak wzburzony, że zmęczenie pocziwego kapitana sprawiło mi raczej złośliwą przyjemność. Dopiero po chwili udobruchałem się i rzekłem zwalniając kroku:

— Widzi pan, trzeba mi było koniecznie jakiejś zmiany. Czułem potrzebę czegoś zupełnie nowego. Czy to rzeczywiście dowód bzik?

Nie odpowiedział nic. Dochodziliśmy właśnie do wylotu alei. Na moście kanału zarysowała się w mroku jakaś postać zdająca się oczekiwać na coś lub na kogoś. Był to bosy malajski policjant przybrany w niebieski mundur. Srebrna opaska na jego okrągłej czapeczce połyskiwała blado w świetle ulicznej latarni. Wpatrywał się w nas z pewnym lękiem, a rozpoznawszy białych zawrócił z miejsca i pomaszerował w kierunku mola. Od wody dzieliła nas jeszcze kilkudziesięciometrowa przestrzeń. Dostrzegłem moich tragarzy siedzących w kucki na wybrzeżu, z drągiem na ramionach. Mój „ziemski dobytek”, zwisający z tego drąga, leżał pomiędzy tragarzami na ziemi. Na całym wybrzeżu, jak okiem sięgnąć, nie było żywej duszy prócz owego malajskiego policjanta, który oddał nam honory wojskowe.

Okazało się, że gorliwy strażnik bezpieczeństwa przytrzymał moich ludzi, nie chcąc puścić ich na molo jako podejrzanych włóczęgów. Dopiero na moje skinienie cofnął skwapliwie swój zakaz, a potulni chłopcy podnieśli się jak na komendę i postępując pod ciężarem ładunku skierowali się ku kładce.

Nadeszła teraz chwila pożegnania z kapitanem Gilesem. Stał przede mną w niepewnej postawie człowieka, który czuje, że spełnił już swoje posłannictwo. Pomyślałem, że wszystko, co mnie teraz spotka, jest jednak rzeczywiście jego dziełem. Podczas kiedy układałem w głowie dziękczynny frazes, on odezwał się pierwszy:

— Prawdopodobnie natrafi tam pan na duże trudności. Roboty panu nie zabraknie.

Zapytałem, na czym opiera to przypuszczenie.

— Na długoletnim doświadczeniu i znajomości miejscowych stosunków — odparł kapitan Giles. — Statek zbyt długo przebywa poza swoim portem, z właścicielami nie można

się porozumieć telegraficznie, a jedyny człowiek, który by mógł udzielić wyjaśnień, umarł, jak wiemy, i jest pogrzebion. Pan zaś jest poniekąd nowicjuszem — dodał tonem nie dopuszczającym repliki.

— Pamiętam o tym dobrze i pragnąłbym bardzo, aby mi pan mógł udzielić choć cząstki swego doświadczenia — odrzekłem. — Ponieważ jednak w ciągu dziesięciu minut niczego się nie dowiem, więc wolę o nic nie pytać. Szalupa już czeka na mnie. Przyznam się panu, że nie będę miał spokoju, dopóki nie wyprowadzę mego statku na Ocean Indyjski.

Zauważył mimochodem, iż od Bangkoku do Oceanu Indyjskiego jest opętany kawał drogi. Ta uwaga ukazała mi nagle, jak w błysku ślepej latarki, długi łańcuch wysp i skał podwodnych, odgradzających mój nieznaną statek (nieznany, ale już mój!) od swobodnej żeglugi po wielkich, głębokich wodach.

Nie czułem jednak obawy. Byłem już wtedy obeznany z Archipelagiem. Niezmierna cierpliwość i niezmierna ostrożność miały przeprowadzić mnie przez tę strefę poszarpanych wybrzeży, martwych wód i mdłego powietrza na pełny ocean, gdzie czekało nas kołysanie długich fal i szeroki podmuch stałych wiatrów, dających żeglarzowi poczucie pełniejszego, intensywniejszego życia. Droga miała być długa — długie są bowiem wszystkie drogi wiodące ku umiłowanemu celowi. Widziałem ją na mapie oczyma zawodowego żeglarza, widziałem wszystkie trudności, wszystkie komplikacje, a mimo to wydawała mi się prosta. Albo się jest marynarzem, albo się nim nie jest. Ja czułem się marynarzem w każdym calu.

Jedynym morzem całkowicie mi nie znanym była Zatoka Syjamska. Zwierzyłem się z tym kapitanowi. Nie dlatego, abym się tym szczególnie zajmował, wody te należały ostatecznie do tej samej strefy, której duszę i charakter przejrzałem na wylot w ciągu ostatnich miesięcy żeglugi.

— Zatoka Syjamska?... — syknął kapitan Giles — oj, to szczególniejsze bajorko...

Wyraz „szczególniejsze” wydał mi się podejrzany, cała zaś odpowiedź brzmiała wymijająco, jak opinia przezornego człowieka, który nie chce się narazić na zarzut oszczerstwa.

Nie prosiłem o wyjaśnienie, bo nie było rzeczywiście na to czasu. W ostatniej chwili kapitan Giles sam wystąpił z ostrzeżeniem:

— Niech pan w każdym razie trzyma się wschodniego wybrzeża Zatoki. Zachodnia strona jest o tej porze roku niebezpieczna. Nie trzeba się niczym dać skusić do przeprawy na zachodni brzeg, bo tam czekałyby was same nieprzyjemności.

Jakkolwiek nie rozumiałem, co by mnie mogło skłonić do wprowadzenia statku pomiędzy skały i wiry malajskiego wybrzeża, podziękowałem jednak za życzliwą radę.

Kapitan uściskał gorąco moją rękę wyciągniętą ku niemu. I nieoczekiwanie pożegnał mnie jednym krótkim „dobranoc”. Nie wiem, co bym był powiedział, gdyby zdziwienie nie odebrało mi głosu. Wykrztusiłem tylko z nerwowym pośpiechem: — Dobranoc, dobranoc, panie kapitanie!

Ruchy jego odznaczały się zawsze stanowczością, ale tym razem znikł mi z oczu w pustej alei, zanim się nawet zdążyłem opamiętać. Nie pozostawało mi nic innego, jak pójść za jego przykładem; wykonawszy tedy pół obrotu skierowałem się na molo.

Moje ruchy były o wiele mniej zdecydowane. Zbiegłem ze stopni i wskoczyłem do czekającej na mnie łodzi. Ledwo zdążyłem usadowić się na jej rufie, gdy zwinna szalupa odbiła od mola z nagłym zgrzytem śruby i parsaniem pary wydobywającej się kłębam z miedzianego komina. Komin umieszczony na śródkręciu połyskiwał w ciemnościach nocy.

Jedynym dźwiękiem, jaki dochodził do moich uszu, był cichy bełkot wody na tyłach łodzi. Wybrzeże pogrążone było w ciszy głębokiego snu. Patrzyłem na miasto niknące w mrokach upalnej nocy, gdy nagły okrzyk: „Baczność! Szalupa!”, odwrócił moje oczy w drugą stronę. Przed nami stał statek jak białe, fantastyczne widmo. Światła płonęły na pokładzie i w bramkach burt. Ten sam głos huknął znowu:

— Czy to nasz pasażer?

— Tak! — odpowiedziałem głośno.

Załoga była widać w pogotowiu, gdyż usłyszałem bieganie ludzi po pokładzie. Duch nowoczesnego tempa przejawiał się tu w krótkich a donośnych rozkazach:

„Ciągnij kabel! Spuść drabinę sznurową!”, i w zniecierpliwionych wykrzyknikach zwróconych w moją stronę:

— No, prędzej, prędzej! Trzy godziny opóźnienia mamy z pańskiej winy! Powinniśmy byli wyruszyć o siódmej...

— Nic o tym nie wiedziałem — rzekłem wstępując na pokład.

Wcieleniem nowoczesnego tempa był chudy kapitan o nadmiernie długich kończynach i krótko ściętej siwej bródce. Wyciągając ku mnie suchą, rozpaloną rękę rzekł gorączkowo:

— Niech mnie diabli wezmą, jeślibym na pana czekał pięć minut dłużej. Choćby mi wszyscy kapitanowie portu...

— To już pańska rzecz — przerwałem. — Nie prosiłem wcale, aby na mnie czekano.

— Mam nadzieję, że pan nie spodziewa się kolacji! — wybuchnął. — Nie posiadam restauracji na statku. Jesteś pan pierwszym pasażerem, którego zabieram na pokład, i daj Boże, ostatnim.

Nie odpowiedziałem na to gościnne wystąpienie, kapitan nie czekał zresztą na odpowiedź, wyszedł bowiem natychmiast na swój pomost, by wydać ostatnie rozkazy.

Na pół wroga postawa, jaką zajął wobec mnie, nie uległa zmianie przez całe cztery dni, które spędziłem na jego statku. Opóźniwszy z mego powodu wyjazd o trzy godziny, nie mógł mi darować, że nie jestem znakomitszą osobistością, i jakkolwiek nie powiedział tego otwarcie, wyczuwałem urazę i zdziwienie w każdym jego słowie.

Było to wprost śmieszne.

Jako kapitan posiadał wielkie doświadczenie, którym lubił się popisywać, poza tym niepodobna wyobrazić sobie większego kontrastu z kapitanem Gilesem. Jego zachowanie się mogłoby mnie nawet bawić, gdybym był w innym usposobieniu. Ale nie miałem ochoty na krotchwile. Czułem się jak oblubieniec, który ma wkrótce ujrzeć ukochaną. Cóż mnie mogła obchodzić ludzka niechęć? Myślałem o moim nieznanym statku: to było moją rozrywką, moją pracą, moją udręką...

Kapitan, któremu nie brakło sprytu, dostrzegł moje podniecenie i żartował ze mnie na podobieństwo starego cynika wyszydającego porywy młodości. Ja zaś unikałem wszelkich pytań dotyczących mego statku, jakkolwiek wiedziałem dobrze, że kapitan zna go z widzenia, bywając prawie co miesiąc w Bangkoku. Nie mogłem przecież narażać statku — mego statku — na jakieś lekceważące uwagi.

Był to pierwszy prawdziwie antypatyczny człowiek, z jakim się spotkałem. Moja znajomość życia i ludzi pozostawiała jeszcze dużo do życzenia, chociaż nie domyślałem się tego podówczas. Jediną rzeczą, która nie uszła mej uwagi, był niechętny i prawie pogardliwy stosunek kapitana do mojej osoby. Co było przyczyną tej niechęci? Zapewne to, że musiał opóźnić dla mnie odjazd statku o całe trzy godziny. Kimże ja byłem, aby okazywano mi takie względy? On sam nie dostąpił nigdy w życiu podobnej łaski. Ze strony kapitana była to więc zazdrość zaprawiona goryczą.

Moja niecierpliwość połączona z niepokojem dochodziła do zenitu. Jakże długo wlokły się te dni podróży, a jak szybko właściwie minęły! Pewnego dnia wczesnym rankiem, kiedy słońce wschodziło w całym przepychu nad płaskim widnokregiem, minęliśmy wejście do portu. Opłynawszy liczne krzywizny wybrzeża ujrzeliśmy wielkie złożone pagody, a wreszcie samo miasto szeroko rozpostarte po obu brzegach rzeki.

Mogłem się teraz napatrzeć tej wschodniej stolicy, jedynej, która dotąd nie zaznała białego najeźdźcy. Oczom moim ukazał się nieskończony szereg brunatnych domków, skleconych z bambusów, mat i roślin wszelkiego rodzaju, wyrastający z brunatnej gleby nad błotnistym ujściem rzeki. Zdumienie ogarniało Europejczyka na myśl, że do budowy tego

miasta, którego rozległość mierzyła się na kilometry, nie użyto pół tuzina gwoździ. Niektóre domki z patyków i trawy, przyklepione do niskiego brzegu, przypominały gniazda wodnych ptaków. Inne zdawały się wyrastać z wody, jeszcze inne, powiązane z sobą jak rzędy paciorków, płynęły samym środkiem rzeki. Gdźieniedzie w oddali, sponad tego tłumu niskich, brunatnych namiotów, wyrastały wielkie budowle: pałac królewski i przepyszne, wpółrozwalone świątynie, których mury kruszały pod działaniem prostopadłych promieni słońca. Żar słoneczny, straszliwy i wszechpotężny., niemal namacalny, przenikał do nozdrzy i płuc za każdym oddechem, wciskał się we wszystkie pory ludzkiej skóry.

Nieszczęsna ofiara zazdrości musiała z jakichś niewiadomych przyczyn wydać rozkaz wstrzymania maszyny. Parostatek kołysał się łagodnie, poddając się falom przyływu. Niepomny na nowe otoczenie, oderwany od wszystkiego, co się dokoła mnie działo, krążyłem niespokojnie po pokładzie. Myśli moje były mieszaniną najromantyczniejszych marzeń i trzeźwego obrachunku z sobą. Oto zbliżała się dla mnie chwila objęcia komendy — zbliżał się moment najważniejszy, będący w naszym zawodzie probierzem wartości człowieka.

Z głębokiego zamyślenia wyrwało mnie wołanie kapitana, który dawał mi znaki ze swego pomostu.

Nie chciało mi się zrazu ruszyć, ale widząc, że ma mi coś ważnego do powiedzenia, wyszedłem po drabince na pomost.

Ujął mnie za ramię i z lekka obrócił, drugą ręką wskazując przed siebie:

— Oto wasz statek, kapitanie.

Poczułem w piersi gwałtowne uderzenie — jedno jedyne — po którym serce mi stanęło. Wzdłuż brzegu stało na kotwicy z dziesięć statków, ten jednakże, który mi wskazywano, zasłonięty był częściowo przez rufę innego statku.

— Zrównamy się z nim za chwilę — oznajmił kapitan.

Co zadźwięczało w jego głosie? Drwiny, obojętność czy groźba? Nie mogłem wymiarkować, zdawało mi się jednak, że jakaś złośliwość ukrywa się pod nieoczekiwaną uprzejmością kapitana.

Pozostawił mnie samego, ja zaś oparłem się o burtę pomostu nie mając odwagi podnieść oczu. Wiedziałem, że trzeba spojrzeć, że nie wytrzymam dłużej niepewności. Zdaje się, że trząsałem się cały.

Gdy wreszcie objąłem oczyma cały statek, obawy moje pierzchły w jednej chwili, rozwiały się jak zły sen. (Porównanie to jest o tyle nieścisle, że złe sny nie zwykły niepokoić sumienia, ja zaś uczuwałem głęboką skruchę na wspomnienie mych niecznych podejrzeń.)

Przedemną stał mój statek. Jego kadłub, jego maszty i reje napawały moje oczy

głębokim zadowoleniem. Uczucie pustki życiowej, nurtujące mnie od kilku miesięcy, straciło nagle swój gorzki posmak i zabójczą władzę nade mną, rozplynęło się w radosnym uniesieniu.

Na pierwszy rzut oka poznałem, że mam przed sobą pierwszorzędny statek, istotę harmonijną w każdym calu, o przepysznych proporcjach. Stosunek wysokości masztów do kadłuba był wręcz bez zarzutu. Jakikolwiek był wiek tego statku i jakiegokolwiek jego dzieje, zachował on piętno szlachetnego pochodzenia. Należał do tego typu statków, które dzięki swej konstrukcji i doskonałemu wykończeniu nigdy się nie starzeją. Pośród innych, znacznie od niego większych, stojących w porcie na kotwicy, mój wyróżniał się postawą i „rasą” — jak arabski rumak pełnej krwi spośród gromady koni pociągowych.

— Sądzę, że pan jest zadowolony — odezwał się tuż za mną głos kapitana.

Wyczułem w tym głosie jakieś niemiłe, dwuznaczne brzmienie i nie odwróciłem głowy. Cokolwiek by sobie mówił czy myślał ten cynik, ja już wiedziałem, że mój ukochany statek, na podobieństwo niektórych rzadkich kobiet, należy do gatunku istot, których samo istnienie budzi bezinteresowny zachwyt. W zetknięciu z nimi człowiek zaczyna godzić się z życiem — dobry jest bowiem świat, który takie istoty wydaje...

Ten ludzający pozór życia i odrębnej indywidualności, który stanowi urok każdego dzieła sztuki, każdego tworu ludzkiej ręki, promieniował z mojego statku. Zauważyłem, iż spuszczano do jego luku olbrzymią kłodę drzewa tokowego, martwą bryłę przerastającą wielkością i ciężarem wszystko, co było na statku. W chwili gdy ją zrzucano, statek ugiął się i zadrżał cały, od linii wodnej aż po szczyty masztów. Widziałem dreszcz przebiegający po delikatnych nerwach jego lin i sam zatrzęsłem się z oburzenia. Jak można było przeciążać go tak okropnie!

Wstępując w pół godziny później na pokład mego statku doznałem uczucia głębokiego, wprost fizycznego zadowolenia. Nic nie może się równać z chwilą, którą wtedy przeżyłem — szczęście moje było tym pełniejsze i tym doskonalsze, że przyszło do mnie samo, bez znojów i rozczarowań długoletniej kariery.

Szybkim spojrzeniem objąłem, przywłaszczyłem sobie każdy kształt i szczegół, wszystko, co uzmysławiało mi moją „władzę”, pojmowaną dotąd abstrakcyjnie. Mnóstwo drobiazgów dostrzegalnych tylko dla marynarza wpadło mi od razu w oko. Statek mój wydawał mi się światem samym w sobie, oderwanym od całego otoczenia i materialnych warunków bytu. Port, w którym staliśmy na kotwicy, był czymś zgoła nierealnym. Cóż mogły mnie obchodzić miasta i wybrzeża? Dla mego statku i dla mnie istniały tylko przestrzenie wodne nadające się do żeglugi. Szerokość geograficzna nie grała tu roli, nie mogła bowiem

nic zmienić w naszym wzajemnym stosunku, którego zażyłości żaden język nie wysłowi.

Morze było jedyną rzeczywistością, wszystko inne dekoracją, przemijającym epizodem. Postacie żółtych tragarzy, kręcących się teraz przy głównym luku, wydawały mi się mniej „materialne” od widziadeł nasuwanych przez wyobraźnię. Komuż by się bowiem śniło marzyć o Chińczykach?

Przeszedłem na górny pokład rufy, gdzie pod zasłoną połyskiwały miedziane części osprzętu (godnego najwytworniejszego jachtu), politurowane poręcze burt i szyby luku. W tyle po prawej stronie dostrzegłem dwóch marynarzy zajętych czyszczeniem steru. Połyski słońca odbijającego się od wody ślizgały się po ich nachylonych plecach. Pracowali w skupieniu, nie domyślając się ani mojej obecności, ani przychylnego spojrzenia, jakim objąłem ich postacie kierując się ku schodni. Rozsuwane drzwi stały szeroko otworem. Zakręt schodów zasłaniał mi widok kredensu, z którego dochodziły przytłumione głosy ludzkie. Na odgłos moich kroków wszystko od razu zamilkło.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pierwszą rzeczą, jaką tu ujrzałem, była górna połowa postaci ludzkiej wynurzająca się z otworu pod schodami. Nieznajomy patrzył na mnie w milczeniu szeroko otwartymi oczyma. W jednej ręce trzymał półmisek, w drugiej serwetę.

— Jestem waszym nowym kapitanem — rzekłem spokojnie.

Odrzuciwszy w mgnieniu oka niesione przedmioty skoczył do drzwiczek salonu i otworzył je przede mną. Gdy wszedłem do wnętrza, ulotnił się natychmiast, ale po to tylko, by ukazać się po chwili, dopinając na sobie kurtkę, w którą się przyodział z szybkością iluzjonisty.

— Gdzie jest pierwszy oficer? — zapytałem.

— Zdaje się, że we wnętrzu statku, panie kapitanie.

Widziałem, jak schodził do tylnego luku przed dziesięciu minutami.

— Powiedźcie mu, że jestem na pokładzie.

Mahoniowy stół pod iluminatorem lśnił w półmroku kajuty jak ciemna sadzawka. Poniżej lustra oprawnego w metalową ramę stały na marmurowym blacie kredensu dwie posrebrzane lampy i parę innych przedmiotów przypominających wystawy sklepowe w podrzędnym portowym mieście. Ściany salonu, wykładane drzewem dwóch odcieni, miały cechę wytwornej prostoty, charakteryzującej epokę, w której statek budowano. Usadowiłem się naprzeciwko stołu w fotelu kapitańskim, nad którym wisiał malutki kompas — symbol nieustającej czujności.

Iluż to ludzi siadywało tutaj przede mną! Uświadomiłem sobie nagle ten fakt z taką wyrazistością, jak gdyby każdy z moich poprzedników pozostawił w tych ścianach jakąś cząstkę swej istoty, jak gdyby jakaś zbiorowa dusza — dusza dowódcy — pochylała się teraz nad moją wtajemniczając ją w dzieje długich lat żeglugi.

„I ty, i ty także — zdawał się mówić ten głos — zaznasz godzin spokój u i godzin wewnętrznej udreki w wieczystym sam na sam z sobą. Nie wspierany przez nikogo, będziesz jak my stawiał czoło wiatrom i morzu, wśród obojętnego ogromu wód pochłaniających bez śladu to wszystko, co zwiemy wysiłkiem i życiem człowieka.”

W złotawym półświecie, sączącym się poprzez zasłonę, widziałem w głębi zwierciadła własną twarz wspartą na rękach. Patrzyłem na siebie jak by z wielkiego oddalenia, z pewnym zaciekawieniem nie pozbawionym uczucia sympatii dla tego najmłodszego przedstawiciela długiej dynastii kapitanów, dynastii, w której przekazywano sobie władzę nie na zasadzie

związków krwi, lecz na zasadzie zdobytego doświadczenia, „treningu” i wspólnej tradycji polegającej na jednakowym pojmowaniu obowiązków i na jednakowym — a tak cudownie prostym! — poglądzie na sprawy życia.

Pomyślałem, że ten, który patrzy na mnie teraz poważnymi oczyma (niby ja sam, a niby kto inny), nie jest właściwie człowiekiem odosobnionym. Zajął kolejne miejsce w długim szeregu ludzi, których nie znał wprawdzie nawet ze słyszenia, ale których dusze, urabiane przez te same czynniki zewnętrzne, zahartowane w tej samej pracy i tych samych trudach, nie mają dla niego tajemnic.

Drgnąłem nagle, spostrzegłszy, że nie jestem sam w kabinie. Ktoś stał za mną przypatrując mi się uważnie. Był to pierwszy oficer. Długie, rude wąsy nadawały jego fizjonomii szczególniejszy charakter — wyglądał wojowniczo i ponuro, tak ponuro, że (aż śmiesznie powiedzieć) w pierwszej chwili zrobił na mnie wrażenie upiora.

Kiedy tu wszedł i od jak dawna mi się przypatrywał? Zawstydzilem się swego snu na jawie, a byłbym prawdopodobnie zmieszał się daleko bardziej, gdybym nie był zdążył zauważyć, że wskazówka zegara, umieszczonego na wprost mnie w ramie zwierciadła, nie poruszyła się prawie wcale.

Nie siedziałem tu więc dłużej nad dwie minuty. Przypuśćmy trzy... Oficer mógł mnie zatem obserwować najwyżej przez kilkadziesiąt sekund. Ale i to nie powinno się było stać. No, trudno!

Nie dając nic po sobie poznać, podniosłem się z krzesła bez pośpiechu (jak na zwierzchnika przystało) i powitałem podwładnego z serdeczną życzliwością.

W jego zachowaniu się wyczułem od razu jakąś oporność mimo wielkiego skupienia, z jakim przysłuchiwał się moim uwagom. Nazywał się Burns. Po wyjściu z kabiny obeszliliśmy razem cały statek. W pełnym świetle twarz mego pomocnika wydała mi się wyniszczona, wychudła i mało przytomna. Jakieś nieokreślone uczucie powstrzymywało mnie od zbyt częstego spoglądania w jego stronę, on natomiast nie odrywał ode mnie ani na chwilę zielonkawych oczu, patrzących z uporem i jak by wyczekująco. Na moje zapytania odpowiadał dość skwapliwie, mimo to czułem wyraźną niechęć w jego głosie. Drugi oficer z kilkoma marynarzami krzątał się po przednim pokładzie. Burns wymienił jego nazwisko, a ja skinąłem mu głową. Był bardzo młody. „Szczeniak” — pomyślałem.

Po powrocie do salonu zasiadłem na półokrągłej, a raczej półowalnej kanapie, obitej czerwonym pluszem, która zajmowała całą głębokość kabiny. Burns na moje skinienie zajął miejsce w jednym z bujających foteli rozstawionych dookoła stołu. Nie przestawał świdrować mnie oczyma z takim wyrazem twarzy, jak by moją obecność w tej kabinie uważał za zły żart

i tylko czekał chwili, w której zerwę się z wesołym śmiechem i poklepawszy go po ramieniu wyniosę się ze statku na zawsze.

Sytuacja stawała się dziwnie naprężona i zaczynałem czuć się nieswojo. Próbowałem opanować to uczucie pocieszając się myślą, że mój nastrój wynika z braku doświadczenia. Widok człowieka z pozoru o kilka lat starszego ode mnie uprzytomnił mi moją własną młodość i ten niezbity fakt, że trzeba się z nią rozstać. Nie było to, zaiste, pociechą. Młodość jest bowiem rzeczą piękną i potężną, ale tylko dopóty, dopóki człowiek nie uświadamia sobie jej istnienia. Ja zaś wchodziłem już w okres nadmiernego kontrolowania swoich uczuć i czynów. Prawie mimo woli przybrałem wyraz ojcowskiej powagi zwracając się do oficera:

— Statek jest porządnie utrzymany. Widzę, że pan wywiązał się wcale dobrze z zadania, panie Burns.

Wymówiwszy te słowa poczułem ich niewłaściwość i byłem zły na siebie. Po co ja to, u licha, powiedziałem? Burns w odpowiedzi mrugnął na mnie okiem. Cóż to znowu miało znaczyć?

Postanowiłem teraz zadać mu pytanie, bardzo naturalne ze strony kapitana obejmującego nowy statek. Tonem na pozór swobodnym i jak by od niechcienia (niech diabli wezmą taką samowiedzę!) zagadnąłem mego pomocnika:

— No jak tam, czy nasz statek nadaje się do żeglugi?

W dwojaki sposób można odpowiedzieć na takie zapytanie: tonem ubolewania, wykazując przy tym okoliczności łagodzące, albo ze źle ukrywaną dumą, rzucając niby od niechcienia: „Ano, przekona się pan sam, panie kapitanie!” Znam również marynarzy, którzy odpowiedzieliby z brutalną otwartością: „Leniwa bestia jak żółw”, lub z prawdziwym zachwytem: „Żaden ptak mu nie dorówna!”

Ale pan Burns znalazł sposób jeszcze inny, mający tę jedyną stronę dodatnią, że zaoszczędzał fatygi zagadniętej osobie. Nie odpowiedział mianowicie ani słowa. Skrzywił się tylko, co nadało jego twarzy gniewny wyraz. Czekałem, milczenie przeciągało się.

— Jakże to? — spytałem wreszcie ostro. — Czyżby pan nie znał statku służąc na nim blisko dwa lata?

Spojrzał na mnie z takim zdziwieniem, jak by dopiero w tej chwili spostrzegł moją obecność. Trwało to zresztą krótko. Przybrał znowu wyraz doskonałej obojętności szukając jednak widocznie jakiejś odpowiedzi. Wreszcie przemówił. Zaczął mi dowodzić, że statek, tak jak człowiek, musi mieć sposobność wykazania swoich zalet, statek zaś, na którym on służy, nie znalazł się dotąd ani razu w tym szczęśliwym położeniu. Przynajmniej on, Burns, nie przypomina sobie takiej okoliczności. Poprzedni kapitan... — Tu urwał.

— No cóż? Nie miał szczęścia? — zapytałem tonem jawnie niedowierzającym. Oficer odwrócił oczy.

— Nie, nie można powiedzieć, aby nieboszczyk nie miał szczęścia. Tylko, zdaje się, że nie chciał z niego wcale korzystać...

Wyraz twarzy Burnsa przy tym oświadczeniu był nieprzenikniony, a oczy jego wpatrywały się uporczywie w drugi kąt kajuty. Samo oświadczenie brzmiało dziwnie zagadkowo. Spytałem obojętnym głosem:

— Gdzie umarł poprzedni kapitan?

— Tu, w tym salonie. Na tym samym miejscu, gdzie pan teraz siedzi — odpowiedział Burns.

Opanowałem śmieszny odruch zerwania się z kanapy, ale w gruncie rzeczy ulżyła mi ta wiadomość, większą bowiem przykrość sprawiłoby mi przypuszczenie, że mój poprzednik umarł na łóżku dla mnie przeznaczonym. Powiedziałem oficerowi, że moje zapytanie zmierzało do czego innego, chciałem mianowicie wiedzieć, gdzie kapitan został pochowany.

Pan Burns objaśnił mi, że pochowano nieboszczyka u wejścia do Zatoki. — Wystarczająca odpowiedź, i przestronny, zaiste, grób! — Nie poprzestając na tym wyjaśnieniu oficer (który łamał się widocznie sam z sobą chcąc przewyciężyć szczególniejszy wstręt do pogodzenia się z faktem mego przybycia, faktem już nieodwołalnym) począł opowiadać mi o śmierci mojego poprzednika.

Jedynym ustępstwem, jakie robił dla prawdziwych swych uczuć, było to, że przez cały czas swego opowiadania nie zwrócił się ani razu w moją stronę, wpatrując się uporczywie w przeciwległy kąt kajuty. Czynił z tego powodu wrażenie człowieka mówiącego do siebie lub do pustych ścian.

Z opowieść? jego dowiedziałem się, że z wybiciem godziny siódmej rano pierwszy oficer zarządził zbiórkę na spardeku⁵ i oświadczył załodze, że kto z obecnych chce pożegnać swego kapitana, powinien zejść do kajuty.

Śłuchając tych słów (wypowiedzianych przez Burnsa tonem opryskliwym, jakim się mówi do natręta) uprzytomniłem sobie z niezmierną nagle wyrazistością ten osobliwy ceremoniał. Oto tłum bosych, ogorzałych marynarzy, w rozchełstanych koszulach, tłoczy się nieśmiało do drzwiczek kabiny. Zbici w gromadkę, bardziej zafrasowani niżli wzruszeni widokiem śmierci, stoją bezradnie, wpatrując się w umierającego zwierzchnika poważnym, wyczekującym wzrokiem...

— Czy był przytomny? — zapytałem.

⁵ Spardek — środkowa wzniesiona część pokładu.

— Nie mógł mówić, ale przewracał jeszcze oczyma i widział ich — brzmiała odpowiedź oficera.

Opowiedział mi w dalszym ciągu, że po skończonej ceremonii kazał rozejść się całej załodze, przeznaczając dwóch starszych marynarzy do czuwania nad kapitanem, sam musiał bowiem wyjść na pokład dla zrobienia pomiarów wysokości słońca. Zbliżało się południe, trzeba więc było dokładnie wymierzyć szerokość geograficzną. Powróciwszy na dół, aby schować sekstant⁶, zauważył, że obaj marynarze wycofali się do przedsiionka kajuty. Przez otwarte drzwi kabiny ujrzał swego zwierzchnika wspartego o poduszki w tej samej niemal pozycji, w jakiej go był pozostawił. Kapitan już nie żył. Śmierć musiała nastąpić w chwili, kiedy oficer „łapał słońce” na pokładzie.

Tu Burns westchnął i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, który zdawał się mówić: „To pan jeszcze tu?” Widząc jednak, że nie odchodzę, powrócił myślami do starego kapitana, który, jako nieżyjący, nie miał przynajmniej żadnej władzy i nikomu w drogę nie wchodził. Łatwiej z nim było obcować niż z żywym intruzem.

Burns „obcował” przez dłuższy czas z nieboszczykiem. Był to szczególny człowiek: lat około sześćdziesięciu pięciu, o twardych rysach i stalowosiwych włosach, milczący i uparty. Tygodniami, bywało, lawirował po morzu bez celu, bez zrozumiałej przyczyny. Czasem niespodzianie zjawiał się w nocy na pokładzie, by wydać rozkaz zwinięcia tego lub owego żagla — Bóg wie po co i dlaczego — po czym wracał do kajuty i zaryglował drzwi zabierał się do swych ulubionych skrzypiec. Grywał na nich nieraz do białego rana. Bywały okresy, w których grał dniem i nocą, prawie bez przerwy, a była to muzyka bardzo głośna.

Doszło do tego, że Burns musiał zebrać się na odwagę i poważnie rozmówić się z kapitanem. Przedstawiał mu, że ani on sam, ani drugi pomocnik nie mogą oka zmrużyć przez całą noc, a przecie rodzaj ich służby wymaga spokojnych nerwów i wypoczętego umysłu. Nieubłagany starzec odpowiedział na to butnie, że komu jego muzyka nie dogadza, ten może spakować manatki i wynieść się, dokąd sam chce. Trzeba dodać, że statek znajdował się wówczas o sześćset mil od najbliższego brzegu.

W tym miejscu oficer przerwał opowiadanie i spojrzał na mnie z ciekawością. Pomyślałem, że mój poprzednik był jednak istotnie dziwną figurą.

Z dalszego opowiadania miałem dowiedzieć się rzeczy jeszcze dziwniejszych. Okazało się, że ten sześćdziesięcioletni, ponury, twardy i nieprzystępny żeglarz, szerniały od wichrów i morskiej soli, był nie tylko artystą, ale ofiarą miłości. W Haifongu,

⁶ Sekstant — żeglarski przyrząd nawigacyjny.

dokąd dobili po uciążliwej, a zgoła bezowocnej podróży (w czasie której ‘statek dwa razy o mało nie utonął), kapitan „zaplątał się”, według słów Burnsa, „w sieci jakiejś kobiety”. Burns nie posiadał na to istotnych danych oprócz fotografii znalezionej po śmierci kapitana w jednej z jego szuflad.

Sięgnąłem po ten ciekawy dokument (który w jakiś czas później rzuciłem rybom na pożarcie). Fotografia przedstawiała dwoje ludzi. Z rękoma wspartymi na kolanach siedział stary kapitan, łysy, szczeciniasty i przysadzisty, przypominający nieoblaskawionego odyńca, przy nim zaś stała okropna, dojrzała, bladolica wiedźma o drapieżnych nozdrzach i pospolicie złowieszczym wyrazie wielkich źrenic. Przybrana w półwschodni strój, przypominała podrzędne media albo wędrowne kabalarki wróżące z kart za lichą opłatą. Zawodowa kabalarka uliczna! A mimo to — rzecz zdawałaby się niepojęta — bił od jej postaci jakiś złowrogi urok. Wzdrygnąłem się na myśl, że ta oto kobieta była ostatnim przebłyskiem namiętności w życiu hardego żeglarza, którego dzikie, szydercze oczy patrzyły na mnie z fotografii. Zauważyłem, że trzyma w ręku jakiś instrument muzyczny: mandolinę czy gitarę. Może to było tajemnicą jej czaru?

Burns widział w tym obrazku klucz do rozwiązania wielu zagadek. Rozumiał teraz, dlaczego statek bez ładunku stał przez trzy tygodnie na kotwicy w dusznym i zapowietrzonym porcie. Załoga dusiła się po prostu, a kapitan, który rzadko pojawiał się na statku, napomynał oficerowi w czasie krótkich swych odwiedzin, że czeka na ważne listy. Brzmiało to co najmniej nieprawdopodobnie. Aż wreszcie, po nieobecności trwającej cały tydzień, zjawił się nagle późną nocą na pokładzie i z pierwszym brzaskiem dnia wyprowadził statek na morze. W świetle dziennym twarz kapitana wyglądała nieswojo i dziko. Samo oddalenie się od wybrzeża zajęło dwa dni, przy czym, nie wiadomo dlaczego, statek uderzył o skałę podwodną. Uderzenie musiało być słabe, bo nie pociągnęło za sobą żadnych złych następstw. Kapitan uznał, że „nie ma o czym mówić”, oficerowi zaś oświadczył, że zamierza wykreślić kurs na Hong—Kong, by tam remontować statek w suchym doku.

Słyszając to Burns wpadł w prawdziwą rozpacz. Rzeczywiście, pomysł żeglowania do Hong—Kongu przeciw wiatrowi w okresie najsilniejszego monsunu, przy niedostatecznym obciążeniu statku i niedostatecznych zapasach wody, zakrawał na szaleństwo. Ale kapitan przeciął dyskusję krótkimi słowy: „Trzymać się kursu!”, i zrozpaczony oficer musiał zastosować się do rozkazów mimo wściekłego wichru, który zdierał żagle, wyginał maszty i wyczerpywał do ostatka załogę, doprowadzoną do szaleństwa przeświadczeniem, że przedsięwzięcie, jako niewykonalne, musi skończyć się katastrofą.

Przez ten czas kapitan, zamknięty w swojej kajucie, wbity w sam kąt kanapy, gdzie

nie odczuwało się szalonych wstrząśnień statku, grał zapamiętałe na skrzypcach, a raczej wydobywał z nich jakieś przeraźliwe dźwięki.

Od czasu do czasu zjawiał się na pokładzie, ale nie odzywał się wtedy do nikogo i nie zawsze odpowiadał na pytania. Dla otoczenia stało się rzeczą oczywistą, że kapitan cierpi na jakąś tajemniczą chorobę i że stan jego pogarsza się z każdym dniem.

Dźwięki skrzypiec stawały się także z każdym dniem cichsze. Burns, który miał zwyczaj nasłuchiwać pod drzwiami kapitana, rozróżniał już w końcu tylko niewyraźne brzęczenia i zgrzyty.

Pewnego dnia o południu wtargnął do kajuty swego kapitana i zrobił mu taką scenę, złorzecząc przy tym i wydzierając sobie włosy, że potrafił zachwiać uporem starego żeglarza. Zaczynało brakować wody w beczkach, a statek posunął się o niespełna pięćdziesiąt mil w ciągu dwóch tygodni. Niepodobieństwem było myśleć o dotarciu do Hong—Kongu. Nieszczęsny oficer czuł, iż walczy o istnienie załogi i statku. Oczywistość tego faktu rzucała się każdemu w oczy. Toteż tracąc wszelkie panowanie nad sobą przysunął swoją twarz do twarzy zwierzchnika i krzyknął mu w same ucho:

— Pan już schodzi z tego świata, panie kapitanie! Ale ja nie mogę czekać z wykręceniem steru, aż pan raczy umrzeć! Musi pan nakazać to sam, teraz, niezwłocznie!

Chory człowiek uniósł się na kanapie i syknął wzgardliwie:

— Aa? Zdaniem pana, schodzę już z tego świata?

— Tak! Sądzę nawet, że życie pańskie liczy się na dni — odparł Burns cokolwiek spokojniej. — Dość na pana spojrzeć.

— Dość na mnie spojrzeć, proszę!... No, to wykręćcie ster, i niech was diabli biorą.

Burns skoczył na pokład, wydał rozkaz manewrowania pod wiatr, po czym, pełen stanowczości i otuchy, powrócił do kajuty.

— Wykreśliłem kurs na Pulo Kondor — rzekł. — Jeśli przeprawa się uda, a pan kapitan będzie jeszcze żył, zwrócę się do niego o wskazówki, do którego portu mam skierować statek. Rozkaz wykonam, panie kapitanie.

Starzec obrzucił go spojrzeniem dzikiej nienawiści i powoli, z naciskiem wyrzekł te okropne słowa:

— Gdyby to ode mnie zależało, ani statek, ani żaden z was nie zawiąłyby nigdy do portu. Mam nadzieję, że moje życzenie się spełni.

Burns był głęboko wzruszony, myślę nawet, że się przeląkł nie na żarty. Podobno zdobył się jednak na tak złowrogi wybuch śmiechu, że przyszła kolej przerażenia na starego kapitana. Skurczył się w sobie i odwrócił plecami do znieawidzonego oficera.

— A przytomność miał wtedy zupełną — zapewniał mnie Burns. — Wiedział dobrze, co mówi!

To były ostatnie słowa kapitana. Odtąd nie słyszano już jego głosu. Tej samej nocy zwał się ostatkiem sił i wyrzucił skrzypce przez burtę. Nikt wprawdzie nie stwierdził naocznie tego faktu, ale po śmierci kapitana nie można było instrumentu odnaleźć na całym statku. Pusty pokrowiec leżał na zwykłym miejscu, natomiast skrzypce znikły bez śladu. Gdzieżby się podziały, gdyby ich ten wariat nie był wrzucił w morze?

— No, no, wyrzucić skrzypce! — mruknąłem niedowierzająco.

— A tak! Tak! — krzyknął Burns w podnieceniu. — Jestem przekonany, że zatopiłby statek i nas wszystkich, gdyby to było w jego mocy. Najwyraźniej nie chciał, byśmy zawinęli do portu. Nie pisywał nigdy ani do właścicieli statku, ani do swojej żony, nigdy, przenigdy! Postanowił odciąć się od wszystkiego. Nie obchodziła go już ani żegluga, ani ładunek okrętowy, ani transakcje kupieckie. Byłby się tylko wtoczył i wtoczył po morzu, dopóki by nie rozbił statku i całej załogi nie wytracił.

Burns wyglądał na człowieka, który uniknął wielkiego niebezpieczeństwa. Zdawało się, że lada chwila wykrzyknie: „Ba! Gdyby nie ja!”

Miał przy tym minę niezrównaną. Oczy pałające dziecinnym oburzeniem i zadzierzyste wąsy, które ustawicznie podkrecał, a właściwie dociągał do linii poziomej, nadawały jego twarzy pocieszny wyraz.

Byłbym się może uśmiechnął, gdyby nie pochłaniały mnie własne myśli, niepodobne w niczym do tych, które snuły się po głowie Burnsa. Wszak byłem już komendantem! Moje uczucia i wrażenia musiały z konieczności odbiegać od uczuć i wrażeń reszty załogi. W obrębie tej małej społeczności czułem się niejako absolutnym monarchą, i to nie królem z wyboru, lecz dziedzicem prawej dynastii. Władza, którą dzierżyłem, nadana mi była z wyżyn tak niedostępnych dla ogółu żeglarzy, że czyniła mnie w ich oczach, jeśli nie pomazańcem bożym to namiestnikiem wyższych potęg.

Poczuwając się na tej zasadzie do jakiegoś mistycznego związku z „dynastią”, doznawałem teraz głębokiego upokorzenia na myśl o moim bezpośrednim poprzedniku.

Z wyjątkiem wieku nie różnił się w zasadzie niczym. Zmarły kapitan był takim samym człowiekiem jak ja, mimo to pod koniec życia popełnił oczywistą zdradę depreczając nakazy odwiecznej tradycji, tej tradycji, którą ja uważałem za najsilniejszy imperatyw na świecie. Człowiek może więc paść ofiarą złych mocy nawet na tym stanowisku! Uczułem na sobie złowrogie tchnienie tych mocy nieznanych, które nawet tu, na morzu, wyciągają ku nam swe okrutne szpony.

Nie chcąc, by milczenie przeciągało się zbyt długo, zapytałem Burnsa, czy zawiadomił wdowę o zgonie kapitana. Potrząsnął głową przecząco. Nie pisał do nikogo.

Twarz jego zasepiła się. Nie pisał i ani mu się śniło pisać. Dość miał kłopotu z doglądaniem przedsiębiorców ładunkowych. Skończeni łotrzy ci Chińczycy!

Jak przez uchyloną zasłonę wyjrzało z tych słów prawdziwe oblicze Burnsa, przemówiła udręczona dusza „pomocnika” tłukąca się niespokojnie w układnym ciele.

Milczał przez chwilę, po czym wybuchnął z ponurą zawziętością:

— Tak! Kapitan umarł w samo południe. Przez następne kilka godzin przeglądałem jego papiery, o zachodzie słońca odprawiłem przepisane nabożeństwo, a tegoż wieczora kazałem zwrócić statek ku północy, dzięki czemu dopłynął do przystani. To ja wprowadziłem go do portu!

Uderzył pięścią w stół.

— Trudno, istotnie, przypuszczać, aby sam wrócił — zauważyłem. — Dziwię się tylko, że pan wybrał ten port, a nie Singapur?

Powieki jego drgnęły.

— Najbliższy port... — mruknął niechętnie.

Zadałem to pytanie w zupełnej niewinności ducha (jakkolwiek różnica odległości obu portów była nieznaczna). Ale odpowiedź oficera, a zwłaszcza ton tej odpowiedzi otworzyły mi oczy na prawdziwy stan rzeczy. Burns wybrał ten port, a nie inny, sądząc, że w braku wykwalifikowanych ludzi zatwierdzą go na stanowisku kapitana, którego funkcje faktycznie pełnił. W Singapurze, jak słusznie rozumował, znalazłoby się kandydatów bez liku. W naiwnych swych rachubach przeoczył tylko jedną okoliczność, a mianowicie istnienie drutów telegraficznych na dnie tej samej Zatoki, do której wprowadził rzekomo przez siebie ocalony statek. Gorycz, którą od pierwszej chwili wyczuwałem w zachowaniu się oficera, miała więc swoje podstawy. Jego ton zaczął mi się coraz mniej podobać.

— Mój panie — rzekłem wreszcie głosem bardzo stanowczym. — Powinien pan rozumieć, że nie ubiegałem się o stanowisko kapitana. Zaproponowano mi objęcie komendy i przyjąłem ją wraz z całą odpowiedzialnością. Moim pierwszym zadaniem jest odstawić statek na miejsce, i upewniam pana, że potrafię dopilnować, aby każdy z was spełnił swój obowiązek do końca. Na razie nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

Oficer zerwał się na równe nogi, ale nie wycofał się z kajuty. Stał przede mną z trzęsącymi się wargami i patrzył mi prosto w oczy tak zabójczym wzrokiem, jak by spodziewał się, że elementarne poczucie przyzwoitości każe mi ustąpić mu natychmiast z drogi. Jak w każdym przejawie szczerych, pierwotnych uczuć, tak i w tym jego wybuchu było

coś wzruszającego. Zrobiło mi się go po prostu żal. On zaś widząc, że nie zapadam się pod ziemię, przemówił zdławionym głosem:

— Gdybym nie miał żony i dziecka, upewniam pana, że byłbym zażądał dymisji z chwilą pańskiego przybycia.

Głosem zupełnie naturalnym, jakby chodziło o trzecią osobę, odrzekłem ze spokojem:

— A ja, panie Burns, nie byłbym uwzględnił pańskiego żądania. Zaciągnął się pan jako pierwszy oficer i aż do upływu terminu przewidzianego w kontrakcie mam prawo zatrzymać pana na statku. Uprzedzam, że będę wymagał od pana sumiennego pełnienia obowiązków.

Cała pańska wiedza, całe doświadczenie muszą być oddane na usługi statku.

Spojrzał na mnie z tępym niedowierzaniem, które jednak stopniało wobec mojej przyjaznej postawy. Wzruszył tylko z lekka ramionami (co, jak się potem przekonałem, było ulubionym jego gestem) i wybiegł z kajuty.

Mogliśmy byli zaoszczędzić sobie tej nieszkodliwej szermierki słów. Nie domyślałem się wtedy, że po kilku dniach odwrócą się nasze role: że Burns będzie błagał mnie o pozostawienie go na statku, ja zaś będę zbywał go wymijającymi odpowiedziami.

Cała sprawa zaczynała przybierać obrót prawie tragiczny. Drażliwy problem — co uczynić z Burnsem? — był tu tylko epizodem, jednym powikłaniem więcej w całokształcie zagadnienia, które polegało na wydostaniu się z portu za wszelką cenę. Czuję się odpowiedzialny za wszystko, za ludzi i ładunek, za materialną powłokę mego statku i za jego duszę, zapadającą teraz w niezdrowy sen wśród wyziewów błotnistej rzeki.

Pierwszy oficer, w okresie kiedy pełnił jeszcze funkcje kapitana, podpisał był nieopatrznie kontrakt najmu statku, co mogłoby okazać się nawet korzystne, gdyby się miało do czynienia z idealnie uczciwymi ludźmi. Wystarczyło mi jednak rzucić okiem na dokument, by domyślić się od razu, że ta umowa ściągnie na nas jakąś biedę.

Burns, któremu wyjawilem swe obawy, uznał za stosowne się obrazić.

— Pan kapitan chce zapewne udowodnić, że postąpiłem jak głupiec?

Odpowiedziałem mu z dobrotliwym a niewzruszonym spokojem (który zdawał się wprawiać mego pomocnika w coraz większe zdumienie), że żadnych wniosków nie zamierzam wyciągać, co się zaś tyczy moich obaw, to przyszłość wykaże, czy były uzasadnione.

Wykazała to aż nadto dobrze. Kłopotów miałem wyżej uszu. Były dni, w których wspominałem kapitana Gilesa z zupełną nienawiścią. Jego to „przenikliwości” zawdzięczam swoje obecne położenie. Rozpamiętując jego wieszczę słowa: „Roboty tam panu nie

zabraknie”, gotów byłem przypuszczać, że naumyślnie urządził to wszystko, by spłatać złego figla naiwnemu młodzieńcowi.

Tak! Roboty tu nie brakło ani powikłań sprzyjających nabraniu życiowego doświadczenia. Ludzie mają na ogół wysokie wyobrażenie o korzyściach płynących z doświadczenia. Przekonałem się jednakże na własnej skórze to pojęcie, przeciwstawiane miłym złudzeniom wieku młodzieńczego, ma dużo mniej od nich uroku.

Moje złudzenia rozwiewały się szybko. Nie będę rozwodził się nad przeszkodami, którym swój „rozwój” zawdzięczam, dadzą się one ująć w jednym słowie „zwłoka”.

Społeczeństwo, które wymyśliło przysłowie: „Czas to pieniądz”, zrozumie moją udrękę. Okropne słowo „zwłoka” dźwięczało mi w uszach jak dzwon pogrzebowy i wciskając się w najtajniejsze zakamarki mego mózgu podcinało resztę energii. Gorzkie, zabójcze słowo.

Jedynie wyrazy ludzkiego współczucia, które wtedy słyszałem, pochodziły, jak przystało, z ust zacnego lekarza.

Lekarz powinien być „ludzkim” z obowiązku, ten człowiek był jednak „ludzkim” z natury. Jego troskliwość nie wynikała z zawodowego nałogu, czułem się bowiem zupełnie zdrów. Chorowali natomiast inni, i to było przyczyną częstych jego odwiedzin. Jako urzędowy lekarz naszej legacji tudzież konsulatu czuwał nad stanem zdrowotnym angielskich okrętów. Stan zdrowia mojej załogi był na ogół marny, a groziła nam powszechna zaraza. Ludzie zapadali jeden po drugim. W naszym położeniu czas był więcej niż pieniądzem, stawał się bowiem kwestią życia.

Nie widziałem nigdy tak wzorowego zespołu marynarzy, jakim była moja załoga. Uderzyło to nawet doktora. — Zdaje się, że pan trafił na wyjątkowo porządnym ludzi — zauważył. I rzeczywiście, moi ludzie byli nie tylko trzeźwi, ale i tak rozsądni, że z własnej inicjatywy wyrzekli się wycieczek do miasta. Ja ze swej strony nie pozwalałem przeciążać ich pracą i kazałem wszędzie rozwieszać zasłony, by ustrzec ich przed szkodliwym działaniem słońca. Zacny lekarz pochwalił moją ostrożność.

— Pańskie zarządzenia wydają mi się bardzo rozumne, panie kapitanie.

Nie umiem powiedzieć, ile dobrego sprawiły mi te słowa. Okrągła, rumiana twarz doktora, okolona jasnymi bokobrodami, wydała mi się uosobieniem powabu. Był on jedyną na świecie istotą, która okazywała mi jakiegokolwiek zainteresowanie. Po każdej wizycie lekarskiej przychodził do mojej kajuty na półgodzinną pogawędkę.

— Nie pozostaje mi chyba nic innego — powiedziałem mu w ciągu jednej z naszych rozmów — jak nadać przestrzegać pańskich przepisów, dopóki nie wyprowadzę statku na pełne morze?

Pochylił głowę i przymykając oczy poza wielkimi okularami, powtórzył bez przekonania:

— Na pełne morze?... Zapewne.

Pierwszym z załogi, którego powaliła choroba, był nasz steward, ten sam, który pierwszy mnie przywitał w dniu mego przybycia na statek. Wyniesiono go ze statku z oznakami cholery i umarł w przeciągu tygodnia. Nie zdążyłem jeszcze ochłonąć z okropnego wrażenia, jakie czynił na mnie ten pierwszy cios zadany przez zabójczy klimat, gdy z kolei Burns położył się do łóżka nie przemówiwszy słowa do nikogo. Przypuszczam, że po części nabawił się choroby z własnej winy, reszty zaś dokonał klimat, który na kształt niewidzialnego smoka zatruchiwał swym oddechem wodę, powietrze i nadbrzeżne mokradła. Burns zdawał się być z góry upatrzoną ofiarą zarazy. Znalazłem go leżącego na wznak, z ponuro wytrzeszczonymi oczyma; buchało od niego żarem jak od rozpalonego piecyka. Na moje pytania ledwo odpowiadał, mruknął tylko z podrażnieniem: — Czyż nie wolno już człowiekowi położyć się na parę godzin, gdy go głowa rozboli?

Wieczorem, siedząc w salonie po skończonym obiedzie, słyszałem ustawicznie jego pomruk dochodzący z sąsiedniej kabiny. Ransome, który zbierał naczynia ze stołu, odezwał się do mnie:

— Obawiam się, panie kapitanie, że nie będę mógł otoczyć pana Burnsa takim staraniem, jakiego wymaga stan jego zdrowia. Większą część dnia muszę spędzać w kambuzie.

Ransome był kucharzem okrętowym. W dniu, w którym obejmowałem statek, Burns wskazał mi go, stojącego na pokładzie i wpatzonego w rzekę, z rękoma skrzyżowanymi na szerokiej piersi.

Nawet z odległości zwracał uwagę proporcjonalną budową ciała i tą doskonałą równowagą postawy, która cechuje starych marynarzy. Jego oczy spokojne, a bystre, jego uprzejmy wyraz twarzy i swobodne, a zarazem wytworne obejście — czyniły go osobistością wielce pociągającą. Gdy w dodatku dowiedziałem się od Burnsa, że Ransome jest najlepszym marynarzem z załogi, wyraziłem zdziwienie, że człowiek tak jeszcze młody i obdarzony tak dzielnym wyglądem zadowala się rolą okrętowego kucharza.

— Choroba serca — objaśnił mnie Burns. — Coś tam jest nie w porządku. Każdy wysiłek może go przyprawić o nagłą śmierć.

I rzecz szczególna, Ransome był jedynym wśród załogi, którego zaraza ominęła, może właśnie dlatego, że czując w piersiach śmiertelnego wroga, nauczył się opanowywać w sobie każdy odruch i żywsze uczucie. Dla wtajemniczonych było to zupełnie widoczne. Gdy po

śmierci biednego stewarda nie mogłem znaleźć w całym porcie białego, który by objął zastępstwo po nim, Ransome podjął się pełnienia obu funkcji.

— Podołam, panie kapitanie, bylebym tylko nie potrzebował gorączkować się przy pracy — uspokajał mnie pocziwie.

Oczywiście jednak trudno było żądać, aby objął także rolę pielęgniarza. Na szczęście doktor kazał chorego oficera niezwłocznie przewieźć na ląd. Podtrzymywany z obu stron przez marynarzy, pan Burns spuścił się z drabinki okrętowej, posępniejszy niż kiedykolwiek. Opadłszy na poduszki, którymi wyłożyliśmy szalupę, zdobył się jeszcze na wysiłek wybąkania kilku słów:

— A więc postawił pan na swoim... Wyrzucono mnie ze statku...

— Myli się pan najzupełniej — odpowiedziałem spokojnie, siląc się na uśmiech.

Przewieziono chorego na ląd do rodzaju lecznicy mieszczącej się w pawilonie z czerwonej cegły na terytorium naszego poselstwa. Odwiedzałem go tam regularnie. Przez pierwsze kilka dni nie poznawał nikogo, później zaś przyjmował moje odwiedziny z gorzką rezygnacją. Zależnie od usposobienia i fantazji traktował mnie bądź jako wroga przychodzącego napawać się widokiem zwyciężonego przeciwnika, bądź jako winowajcę zabiegającego o łaskę ciężko pokrzywdzonej ofiary. Dawał mi to wyraźnie odczuć nawet w tych chwilach, kiedy wskutek nadmiernego osłabienia nie mógł ani słowa przemówić. Ja zaś przyjmowałem nieme jego wymówki z dobrotliwym spokojem.

Aż pewnego dnia chorobliwe przywidzenia przyprawiły go o napad naglej, nieopanowanej trwogi.

W najwyższym podnieceniu począł mi dowodzić, że jeśli pozostawię go w tym zabójczym klimacie, to zginie bez ratunku. Czuje to, pewien jest, że umrze. Ale ja nie będę miał serca go porzucić! Pozostawił przecie w Sydney żonę i dziecko.

Spod prześcieradła, którym był przykryty, wynurzyły się jego przeraźliwie wychudzone ręce, przypominające ptasie szpony. Złożywszy je jak do modlitwy, powtarzał w kółko jedno i to samo:

— Ja umrę tutaj, umrę bez ratunku.

Zdobył się przy tym na nieprawdopodobny wysiłek uniesienia się na łóżku. Trwało to zaledwie parę sekund, ale gdy opadł z powrotem na poduszki, sądziłem, że tym razem naprawdę umiera. Przywołałem co prędzej bengalskiego sanitariusza i wysunąłem się z pokoju.

Następnego dnia chory ponowił swoją prośbę doprowadzając mnie tym do najwyższego zdenerwowania. Odpowiedziałem wymijająco i czym prędzej wyszedłem

pozostawiając biedaka pogrążonego w czarnej rozpacz. Mimo odrazy, jaką te sceny we mnie budziły, odwiedziłem go także nazajutrz, on zaś natarł na mnie jeszcze gwałtowniej, wytaczając zdumiewającą ilość argumentów. Bronił swej sprawy z maniacką siłą i uporem, a w końcu zapytał, czy chcę mieć życie człowieka na sumieniu. Żądał ode mnie solennej obietnicy, że nie odpłyniemy bez niego.

Odpowiedziałem mu, że muszę przedtem zasięgnąć rady lekarza.

— Lekarza? — zachnął się Burns. — Nigdy! Przenigdy! To byłby wyrok śmierci!

Wyczerpany wysiłkiem, przymknął oczy nie przestając mamrotać półgłosem:

— Nienawidziłem go od pierwszej chwili. Nieboszczyk kapitan także go nienawidził. Życzył mu śmierci. Jemu i całej załodze... Po co się pan solidaryzuje z tym obmierzłym trupem? Potrafi on dosięgnąć i pana... — rzucił na zakończenie, błyskając szklanymi, nieprzytomnymi oczyma.

— Co pan gada, na miłość boską! — krzyknąłem niezmiernie wzburzony.

Chory opamiętał się, zdawało się, iż przychodzi cokolwiek do siebie.

— Nie wiem, co chciałem powiedzieć — rzekł wreszcie słabym głosem. — Proszę pana tylko, proszę na wszystko, niech się pan nie zwraca do doktora. Wszak pan jest marynarzem, tak samo jak ja. A w przyszłości zrozumie pan może także, co znaczy żona i dziecko.

Chciał za wszelką cenę wydrzeć ode mnie słowo, że nie pozostawię go na lądzie. Ja jednak zdobyłem się na tyle stanowczości, że mu żadnej obietnicy nie dałem. W końcu było to już zbyt bezczynnym okrucieństwem, gdyż sprawa była właściwie przesądzona w moim umyśle. Nie umiałem się oprzeć natarczywym prośbom tego człowieka opanowanego śmiertelną trwogą. Przy tym udało mu się uderzyć we właściwą strunę. Tak! Byliśmy obaj marynarzami. To był węzeł istotny, nie posiadałem bowiem innej rodziny. Drugi argument — żony i dziecka (w przyszłości) — nie zrobił na mnie wrażenia, brzmiał co najwyżej dziwacznie.

Nie wyobrażałem sobie, aby mogły istnieć ściślejsze więzy ponad te, które wytwarza między ludźmi wspólna służba, przynależność do tego samego okrętu i tej samej załogi, zwłaszcza w chwilach niebezpieczeństwa. Nasz statek zaś stał, na uwięzi, schwytyany jak w potrzask w ramiona zatrutej rzeki, i to z powodu marnych, kupieckich zatargów.

Mieliśmy jednak wkrótce odzyskać swobodę. Droga była utorowana, już tylko trzy dni dzieliły nas od wyjazdu. Tam, poza ławicą zamykającą wejście do portu, czekało nas morze — czyste, bezpieczne, przyjazne.

Ta myśl podtrzymywała mnie w powrotnej drodze na statek. Wszedłszy do salonu usłyszałem głos doktora, w chwilę później okazała jego postać wynurzyła się z kabiny

znajdującej się z prawej strony statku. Mieściła się w tej kabinie szafka z apteczką okrętową zajmującą miejsce koi.

Nie zastawszy mnie na pokładzie doktor zeszedł na dół, by podczas mej nieobecności zrobić przegląd lekarstw, bandaży itp. aptecznych zapasów. Wynik inspekcji był pomyślny.

Serdecznie mu podziękowałem dodając, że uprzedził moje życzenie, zamierzałem bowiem prosić go przed wyjazdem o tę przysługę.

— Za trzy dni, jak panu wiadomo, będziemy już na morzu, a tam skończą się wszystkie moje utrapienia!

Doktor wysłuchał mnie z powagą i nie wyrzekł ani słowa. Dopiero na wieść o tym, że zamierzam zabrać ze sobą Burnsa, zasepił się widocznie i kładąc mi przyjacielskim ruchem rękę na kolanie, zaczął mi przedstawiać, na jak wielkie narażam się niebezpieczeństwa.

Chory ma tyle jeszcze sił, że może być przeniesiony na statek, ale innego wysiłku nie wytrzyma, a nawrotu gorączki z pewnością nie przeżyje. Nasza przeprawa potrwa około sześćdziesięciu dni, z początku będzie prawdopodobnie bardzo uciążliwa, a pod koniec utrudniona przez burze. Czy wolno mi rachować na własne tylko siły i puszczać się w taką drogę bez pierwszego oficera, przy pomocy nieudolnego młodzieniaszka, jakim jest drugi mój pomocnik? Doktor powinien był dodać, że ja sam po raz pierwszy pełnię funkcję kapitana. Musiało mu to przyjść do głowy, bo nagle urwał w połowie zdania. Co do mnie, uświadamiałem sobie tę prawdę aż nadto wyraźnie.

Zacny doktor nalegał, abym natychmiast zatelegrafował do Singapuru o przysłanie mi innego oficera, choćby to miało odsunąć mój wyjazd o cały tydzień.

— Ani dnia dłużej nie zostanę! — krzyknąłem wzdygając się na samą myśl o nowej zwłoce. I począłem tłumaczyć doktorowi, że wobec znacznego polepszenia się stanu zdrowia mojej załogi nie powinienem ani chwili przetrzymywać jej w porcie. Na morzu nie będę już potrzebował niczego się lękać. Ono będzie najskuteczniejszym lekarstwem na troski i choroby.

Okulary doktora, utkwione we mnie jak dwa reflektory, zdawały się badać rzetelność mego postanowienia. W pewnej chwili otworzył usta, jak by zamierzał dalej się spierać, ale rozmyślił się widać i nie powiedział nic. Ja zaś nie mogłem pozbyć się wspomnienia Burnsa. Jego strach, bezradność i wyczerpanie stały mi w oczach tak żywo, że przesłaniały zupełnie rzeczywistość, którą oceniałem trzeźwo przed godziną. Prześladowająca mnie natrętna wizja musiała być odbiciem jakichś podświadomych stanów jego duszy i dlatego narzucała się z taką siłą mojej wyobraźni.

— Panie doktorze — rzekłem wreszcie. — O ile pan nie powie mi kategorycznie, że

chorego nie można pod żadnym pozorem ruszyć z łóżka, to wydam zarządzenie, aby przeniesiono go na pokład. „Uczynimy to jutro, pojutrze zaś wyruszą o świcie, choćbym po wyjściu z portu musiał na parę dni zarzucić kotwicę dla ukończenia niezbędnych przygotowań.

— Ach, zarządzenie sam wydam najchętniej — przerwał mi żywo doktor. — Jeśli pana ostrzegał, to tylko jako przyjaciel, jako człowiek życzliwy, nic więcej.

Wstał z miejsca i ze zwykłą sobie, pełną godności prostotą uściśnął moją rękę serdecznie, może cokolwiek uroczyście. Tak mi się przynajmniej wydało. Wierny danemu przyrzeczeniu, zjawił się w chwili przenoszenia Burnsa i towarzyszył noszom do przystani. Ułożony przez nas program uległ tej tylko zmianie, że przewiezienie chorego odroczyliśmy na ostatnią chwilę, tj. na sam dzień wyjazdu.

Było to w jaką godzinę po wschodzie słońca. Doktor, stojący na brzegu, wymachiwał czas jakiś wielką łapą, po czym z wolna zawrócił ku bryczce, która towarzyszyła mu od miasta aż do brzegu rzeki. Burns, którego przenoszono w tej chwili przez tylny pokład, robił wrażenie nieżywego. Ransome zajął się przygotowaniem dlań kabiny, ja zaś pozostałem na pokładzie, by czuwać nad pracą załogi, holownik pochwycił już bowiem linę naszego statku.

Plusk cum okrętowych osuwających się do wody wywołał we mnie nagłą zmianę uczuć. Jak człowiek budzący się z dręczącego snu, odczułem rodzaj ulgi, wszakże niezupełnej. Gdy oddalając się od wyziewów tej okropnej wschodniej stolicy, dziób statku zakotłosał się nad wylotem rzeki, nie doznałem uczucia radosnej dumy, jakiego spodziewałem się w tym upragnionym momencie. To, co odczułem, było raczej złagodzeniem napięcia wewnętrznego przejawiającym się w ogromnym znużeniu; wyobrażam sobie, iż podobnych uczuć doznawać musi zapaśnik po niesławnym boju.

Około południa zarzuciliśmy kotwicę o milę od portu. Reszta dnia zeszła na wyteżonej pracy, w której brała udział cała załoga. Doglądając pracujących dostrzegałem w ich ruchach tę dziwną omdłałość, którą wynieśli z sześciotygodniowego pobytu w porcie, wśród upalnych wyziewów rzeki. Pocieszałem się myślą, że pierwszy powiew wiatru zwieje resztki tej niemocy — tymczasem jednak panowała niezmacona cisza. Nietrudno było zauważyć, iż drugi mój pomocnik, gołowąs o mało obiecującej twarzy, nie ma (ogłędnie mówiąc) tych bezcennych przymiotów, jakich się wymaga od oficera ubiegającego się o godność prawej ręki komendanta. Otuchy dodawały mi natomiast dostrzegane tu i ówdzie uśmiechy marynarzy kręcących się po głównym pokładzie. Dotąd nie miałem sposobności przyjrzeć im się z bliska. Zrzuciwszy z siebie balast „ziemskich” spraw czułem się wśród tych ludzi swojsko i zarazem obco, jak wędrowiec, który po długiej tułaczce powraca do rodziny.

Szczególną przyjemność sprawiał mi widok Ransome'a kręcącego się ustawicznie pomiędzy kambuzem a salonem okrętowym. Ten człowiek miał w sobie niezaprzeczony urok. On jeden z całej załogi nie chorował ani razu w czasie naszego pobytu w zapowietrzonym porcie. Jednakże ciągła świadomość, że nosi w piersi zagrożone serce, czyniła go powściągliwym w ruchach, krępując przyrodzoną zwinność jego ciała. Czynił wskutek tego wrażenie człowieka, któremu powierzono cenny a kruchy przedmiot lub substancję wybuchową i który ustawicznie pamięta o ciężkiej na nim odpowiedzialności.

Zagadnąłem go mimochodem raz i drugi. Odpowiadał miłym, spokojnym głosem, przy czym na jego ustach pojawiał się nikły, przenikliwy uśmiech. Zapytany o pana Burnsa, objaśnił mnie, że pan porucznik leży i ma się na pozór zadowolająco.

Gdy po zachodzie słońca wyszedłem na pokład, uczułem, że objęła mnie cisza i próżnia. Cienkiej, bezkształtnej skorupy wybrzeża nie można było już rozeznąć. Ciemność, ogarniająca statek ze wszystkich stron, wydawała się tajemniczą emanacją wód niemych i samotnych. Wsparłszy się o burtę wyteżyłem słuch, by pochwycić bodaj najlżejszy szmer wśród mroków nocy. Znikąd żadnego dźwięku. Odnosiło się wrażenie, że unoszący nas statek jest planetą mknącą zawrotnie po wytkniętej sobie drodze wśród wiekuistej, nieskończonej ciszy. Uczułem, że chwytam się kurczowo poręczy burty, jak by w obawie utracenia równowagi. Cóż za niedorzeczność! Nie panując nad zdenerwowaniem krzyknąłem:

— Jest tam kto?

Natychmiastowa odpowiedź: — Jestem, panie kapitanie — przerwała tajemniczą ciszę. Marynarz z kotwicznej wachty wdrapał się zwinnie na schodnię rufy. Poleciwszy mu, aby w razie pojawienia się najlżejszego wiatru doniósł mi o tym niezwłocznie, zeszedłem w głąb statku.

Po drodze zajrzałem do izdebki Burnsa. Drzwiczki kabiny stały otworem, trudno go więc było nie dostrzec. Jakkolwiek jedyną rzeczą, która uderzała w postaci chorego na tle białych ścian i białej pościeli, były jego rude, sterczące wąsiska. W ostrym świetle lampy przytwierdzonej do grodzi wyglądały jak para sztucznych wąsów z witryny balwierza. Podczas gdy wpatrywałem się w niego z rodzajem osłupienia, otworzył oczy i skierował je w moją stronę. Poruszył się przy tym nieznacznie.

— Martwa cisza, panie Burns — rzekłem z rezygnacją.

Ocknąwszy się nagle, Burns począł mówić głosem nadspodziewanie silnym i wyraźnym. Nie był to głos człowieka chorego, pomimo to brzmiał dziwnie grobowo. O ile mogłem zrozumieć, prześladowająca nas cisza morska była sprawką starego (tj. nieboszczyka kapitana), który, zdaniem Burnsa, czyhał tylko na nasz statek śledząc z głębi morza każde

jego poruszenie.

Wysłuchałem do końca tej piekielnej historii, po czym przystąpiwszy do chorego położyłem mu rękę na czole. Głowa jego była chłodna. Bredził z nadmiernego osłabienia. Poznawszy mnie nagle, zapytał zwykłym głosem, niezmiernie słabym i żalonym:

— Czy są widoki ruszenia w drogę?

— Nie na wiele by się to zdało, bo i tak będziemy dryfować — odrzekłem z niechęcią.

Burns westchnął, ja zaś poszedłem do siebie pozostawiając go w samotności i bezwładzie. Nic wiążąca go z życiem była równie słaba jak przebłyski jego świadomości. Zrozumiałem, że na mnie jednym spoczywa odpowiedzialność, i uczułem niezmierny jej ciężar. Zamknąłem się w kabinie, chcąc pokrzepić się bodaj paru godzinami snu, ledwo jednak przyłożyłem głowę do poduszki, marynarz z wachty przyszedł mi oznajmić, że zrywa się wiatr, „lekki wprawdzie, lecz dostatecznie silny, by pod nim żeglować”.

Rzeczywiście można było pod nim żeglować — nic ponadto. Obsadziłem ludźmi winde, kazałem rozluźnić żagle i podnieść topsle. Nim zdołano wykonać moje rozkazy, wiatr uciszył się prawie zupełnie. Nie dając mimo to za wygraną kazałem postawić reje i wszystko wciągnąć na statek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ustrojony w żagle aż po szczyty masztów, z podniesioną kotwicą, statek mój stał tak nieruchomo jak model statku na marmurowym blacie, po którego lśniącej powierzchni igrają połyski i cienie. Niepodobna było odróżnić ładu od wody w tej zagadkowej i bezmiernej ciszy, w której roztopiły się potężne żywioły. Opanował mnie nagły gniew:

— Czyż ster już wcale nie działa? — zapytałem zniecierpliwionym głosem, zwracając się do sternika dzierżącego koło sterowe. Silne, brunatne jego ręce w oświetleniu kompasowej lampki wyglądały na ciemnym tle jak wiekuisty symbol ludzkiego zmagania się z losem.

— Działa, panie kapitanie — odpowiedział sternik. — Posuwamy się powolutku.

— Wykręcić na południe.

— Rozkaz, panie kapitanie.

Przechadzałem się czas jakiś po rufie. W ciszy słychać było tylko odgłos moich kroków, dopóki sternik nie odezwał się z ciemności:

— Idzie na południe.

Noc była cicha, wyiskrzona, ociążała od rosy. Uczułem lekki skurcz w sercu, uświadamiając sobie, że oto tej nocy podałem pierwszy kurs dla pierwszego statku, którym dane mi było dowodzić. Od tej chwili miała się rozpocząć dla mnie ta nieustanna czujność, na jaką skazany jest komendant statku w samotności swojego zawodu.

— Tak trzymać! — rzuciłem sternikowi. — Kurs na południe.

— Na południe, panie kapitanie — powtórzył marynarz jak echo.

Odesłałem drugiego oficera i wachtę na spoczynek, sam zaś pozostałem na posterunku, przechadzając się po pokładzie, aby odegnąć senność i chłód, które zwykle opadają człowieka w godzinach poprzedzających świtanie.

Od czasu od czasu zrywał się lekki powiew, a ilekroć udało mu się zbudzić czarną, nieruchomą powierzchnię morza, szum wody wywołany posuwaniem się statku budził w moim sercu jakieś rozkoszne drżenie, które zamierało wraz z uciszeniem się wiatru. Czułem się śmiertelnie zmęczony. Nawet gwiazdy zdawały się przygasać ze znużenia w oczekiwaniu na upragniony świt. Pojawił się wreszcie na horyzoncie — mieniący się i blady, jak koncha perłowa — przepyszny, lecz w niczym niepodobny do tych promiennych wschodów słońca, do których oko przywykło na podzwrotnikowych morzach. Budził raczej wspomnienie odległych, bardzo odległych krajów...

Z przedniego pokładu rozległ się głos wartownika:

— Łąd ukazał się po lewej stronie dziobu.

— Dobrze.

Wsparty o burtę, nie podniosłem nawet oczu. Posuwanie się statku było niedostrzegalne. Po pewnym czasie Ransome przyniósł mi śniadanie. Wypiłem kawę i wtedy spojrzawszy przed siebie zobaczyłem płaski zarys łądu. Odcinał się od świetlanej smugi jak wycięty z czarnego papieru i zdawał się unosić nad wodą jak pływający korek. Dopiero wschodzące słońce zatarło ciemną sylwetę przeistaczając ją w bezkształtny, masywny cień, roztopiony w drgającym blasku.

Wachta kończyła szorowanie pokładu. Zeszedłszy w głąb statku przystanąłem na chwilę przed drzwiami Burnsa, które stały zawsze otworem, chory nie znosił bowiem drzwi zamkniętych. Zawahałem się, czy przemówić do niego, ale widząc, że porusza oczami, przywitałem go nowiną:

— Przylądek Liant ukazał się o wschodzie słońca. W odległości mniej więcej piętnastu mil.

Wargi chorego poruszyły się bezdźwięcznie. Pochyliwszy się nad nim usłyszałem gniewny pomruk:

— Marny los... wlecemy się jak żółwie...

— Lepsze to w każdym razie niż stanie na jednym miejscu — rzuciłem z rezygnacją, pozostawiając go na pastwę beznadziejnych myśli i przywidzeń, które roily się w jego chorym mózgu.

W jakiś czas później, zluzowany przez drugiego oficera, runąłem na łóżko i zasnąłem kamiennym snem, który przyniósł mi całkowite zapomnienie. Ocknąwszy się po trzech godzinach, nie wiedziałem w pierwszej chwili, gdzie się znajduję. Odetchnąłem z niezmierną ulgą, gdy sobie przypomniałem, że wypłynęliśmy z portu, że wreszcie jesteśmy na morzu!

Poprzez szybę luku dostrzegałem martwy, rozżarzony od słońca widnokrąg, zwiastujący dzień bez wiatru. Jednakże sama rozległość tego widnokregu dawała mi radosne uczucie wyzwolenia, uczucie odzyskanej swobody. Dawno nie było mi tak lekko na duszy.

Przeszedłszy do salonu zastałem tam Ransome'a nakrywającego do stołu. „Pierwszy obiad na morzu!” — pomyślałem z głębokim zadowoleniem. Lecz w tej chwili steward odwrócił głowę i coś w wyrazie jego oczu zmroziło mój radosny nastrój.

— Cóż tam znowu? — zapytałem odruchowo, nie spodziewając się usłyszeć odpowiedzi, której udzielił mi Ransome z całym zresztą spokojem i niewzruszoną pogodą:

— Obawiam się, że nie wszystkie jeszcze biedy pozostały za nami.

— No? Cóż tam takiego?

Objął mnie, że dwóch ludzi z załogi zapadło w ciągu nocy na gorączkę. Jeden trząsł się z zimna, od drugiego aż buchało żarem, ale, zdaniem Ransome'a, były to objawy tej samej choroby. Przypuszczenie jego wydało mi się słuszne. Uczułem się głęboko wstrząśnięty tą nowiną.

„Dreszcze i żar”, pomyślałem zadumany. — Tak, nie skończyły się widać nasze biedy. A czy stan ich wydaje się ciężki?

— Dostyc ciężki, panie kapitanie.

Ransome spojrzał mi przenikliwie w oczy i uśmiechnęliśmy się do siebie. Jego uśmiech był jak zwykle ujmujący — mój zniechęcony i cierpki, jak nurtujące mnie uczucie. Po chwili spytałem:

— Czy nie było wcale wiatru przed południem?

— Nie, wiatru właściwie nie było. Posuwamy się jednak, panie kapitanie, i zdaje się, żeśmy się trochę przybliżyli do lądu.

Trochę, tylko trochę! Przy odrobinie wiatru, a choćby najsłabszego powiewu, można było do tej pory wyminąć przylądek i tym samym zwiększyć odległość dzielącą nas od zapowietrzonego wybrzeża. Nie chodziło tu zresztą o samą odległość. Byłem przekonany, że jeden silniejszy podmuch zmiótłby ze statku zarazę, którą najwidoczniej wlekliśmy za sobą. Dwóch ludzi w ciągu jednej nocy! Dreszcze i gorączka! Uczułem odrazę na myśl, że wypadnie mi tych chorych odwiedzić. I cóż im z tego przyjdzie? Zarazek pozostanie zarazkiem, a podzwrotnikowa febra podzwrotnikową febrą. Bezczelnością, i to niesłychaną, wydał mi się fakt, że choroba pozwoliła sobie wyciągnąć po nas szpony przez morze. Tłumaczyłem sobie, że oznacza to co najwyżej ostatni wysiłek tej zarazy, od której powinno nas być przecie uchronić czyste morskie powietrze. Ach! Gdybyż jeden powiew wiatru! W najgorszym razie pozostawała nam chinina. Przypomniawszy sobie o jej istnieniu zeszedłem do kabiny, w której mieściła się apteczka, z zamiarem przygotowania dwóch dawek lekarstwa. Otworzyłem szafkę z takim namaszczeniem, z jakim człowiek nabożny otwiera cudowny relikwiarz. Górna półka zajęta była mnóstwem czworograniastych butelek, ustawionych rzędem i podobnych do siebie jak szereg ziaren grochu. Poniżej mieściły się dwie szuflady wypchane szczelnie torebkami, bandażami, pudełkami kartonowymi zaopatrzonymi w etykiety itp. Jedna z przegródek dolnej szuflady zawierała zapas chininy.

Cenne to lekarstwo zamknięte było w pięciu okrągłych słojkach jednakowego kształtu i wielkości. Z tych jeden tylko był w dwóch trzecich napoczęty, inne — spowite w papier i zalakowane. Niespodzianką był dla mnie widok leżącej na nich nie zaklejonej koperty kwadratowego formatu, pochodzącej niewątpliwie z okrętowego biurka.

Obróciwszy ją w palcach przekonałem się, że adresowana jest do mnie. Wyjmując z jej wnętrza arkusik zapisanego papieru miałem wrażenie, że wkraczam w sferę nadprzyrodzonych wydarzeń, co mnie zresztą wcale nie wzruszyło. Zachowywałem się jak we śnie.

Pismo zaczynało się od słów: „Kochany Panie Kapitanie...” Spojrzawszy przede wszystkim na podpis przekonałem się, że autorem listu jest nasz doktor. Sądząc z daty, pisał go w tym samym dniu, kiedy czekając na mój powrót z lecznicy przeprowadzał inspekcję apteczki okrętowej. Szczególny człowiek! Wiedział wszak, że nadejdę lada chwila, a mimo to zabawiał się pisanem do mnie listu — po czym usłyszawszy moje kroki wsunął go zapewne do szuflady. Dość niezrozumiała historia. Z ciekawością zabrałem się do czytania.

List kreślony był pośpiesznie, pismem dużym i czytelnym. Pocziwy i sympatyczny doktor ostrzegał mnie, abym zbytnio nie ufał dobroczynnemu działaniu morza. Dotychczas nie wiem, co go do tego kroku skłoniło, czy przyrodzona dobroć, czy też (jeszcze prawdopodobniej) nieprzeparta potrzeba wyrażenia swej opinii, którą w rozmowach ze mną wypowiadał bardzo oględnie. „Nie chciałem odbierać Panu odwagi przez zbytnie podkreślanie moich obaw — pisał. — Jako lekarz muszę Pana jednakże uprzedzić, że wasze troski nie skończą się z wyjazdem na morze.” Innymi słowy, spodziewał się najwidoczniej nawrotu febry podzwrotnikowej i przygotowywał mnie do tej możliwości. Na szczęście, miałem spory zapas chininy. Postanowiłem dawać ją chorym regularnie i nie tracić nadziei, że ten niezawodny środek uleczy moją załogę.

Zmiałem list i wsadziłem go do kieszeni, podczas gdy Ransome wynosił z apteczki dwie duże dozy chininy dla obydwu chorych. Przed wyjściem na pokład zajrzałem do kabiny Burnsa, bo powiedzieć mu, co zaszło.

Niepodobna opisać wrażenia, jakie uczyniła na chorym ta wiadomość. Zrazu myślałem, że mu odjęło mowę. Głowa jego zapadła w poduszki, a gdy wreszcie poruszył wargami, by oznajmić mi, że czuje się znacznie lepiej, oświadczenie to w zestawieniu z obrazem, jaki miałem przed oczyma, wyglądało na niewłaściwy żart.

Po południu wróciłem na swój posterunek. Groźna, upalna cisza obejmowała nas zewsząd, zdając się trzymać statek w zupełnym bezruchu, wśród pałającej żarem atmosfery, złożonej z dwóch odcieni błękitu. Mdłe, gorące podmuchy powietrza bezsilnie odbijały się o żagle. A jednak statek się posuwał. Posuwał się z pewnością, o zachodzie słońca bowiem podpłynęliśmy pod sam przylądek Liant i wkrótce pozostawiliśmy go poza sobą. Cofał się przed nami jak wielki, złowrogi cień, aż rozplynął się w blaskach gasnącej zorzy.

Wieczorem, jak zwykle, odwiedziłem Burnsa. Przy ostrym świetle lampy wydawał się

mniej bezwładnie zanurzony w pościeli, wyglądał jak człowiek, z którego zdjęto przygniatający go ciężar. Po przywitaniu wdał się ze mną w rozmowę, a to, co mówił, świadczyło o pewnej ciągłości myśli. Przy końcu zauważył, że czuje się znacznie silniejszy.

— Jeżeli ten piekielny upał mnie nie zadusi, to sądzę, że najdalej za kilka dni wyjdę na pokład i będę mógł pana wyręczyć.

Spoglądając na niego drżałem z obawy, aby nie skonał w mych oczach z nadmiernego wysiłku. Nie mogę wszakże zaprzeczyć, że ta jego zuchowatość dodała mi otuchy. W odpowiedzi potwierdziłem oczywiście jego przypuszczenie, dodając przy tym, że najskuteczniejszą pomocą i jedynym dla nas wyjściem byłoby pojawienie się wiatru, porządnego wiatru!

Żachnął się na to niecierpliwie, tarzając głowę po poduszce. Doznałem niemiłego uczucia, gdy po chwili znów zaczął majaczyć. Ta sama historia: nikt inny, tylko stary kapitan zagradza nam drogę. Leży przecie u wejścia do Zatoki, pod szerokością 8°20'.

— To pan ciągle powraca jeszcze do nieboszczyka, panie Burns? Nie wierzę, aby umarli chowali urazę do żywych. Nie zajmują się nimi z pewnością.

— Nie znał pan tego człowieka — odrzekł z cichym westchnieniem.

— Nie znałem go i on mnie nie znał. Czemuż by miał mnie prześladować?

— Prócz pana jest przecie reszta załogi — upierał się chory.

Uczułem, że mój zdrowy rozsądek, który uważałem dotąd za niezdobytą twierdzę, jest poważnie zagrożony przez te wstrętne, chorobliwe przywidzenia. Odezwałem się więc:

— Nie powinien pan tak dużo mówić, to pana męczy.

— A prócz załogi jest przecie i .statek... — dodał szeptem.

— Dość! Ani słowa więcej! — przerwałem niecierpliwie, podchodząc do chorego i przykładając rękę do jego chłodnego czoła. Miałem oto dowód, że ta myśl natrętna nie jest wynikiem gorączki, lecz że jej przyczyna tkwi w samym mózgu nieszczęsnego Burnsa. Nawet choroba, która odjęła mu wszystkie władze umysłowe i fizyczne, nie potrafiła wydrzeć mu tej manii.

Przez następne dni unikałem wszelkiej rozmowy z chorym rzucając mu tylko mimochodem wesołe pozdrowienie. Gdyby mu starczyło sił, byłby z pewnością wołał za mną dopraszając się dłuższych odwiedzin, ale nie pozwalało mu na to niezmierne wyczerpanie. Mimo to Ransome zauważył, że „pan porucznik robi zadziwiające postępy”.

— Czy nie gadał żadnych niedorzeczności w ostatnich dniach? — zapytałem obcesowo.

— Nie, panie kapitanie.

Ransome zdawał się być nieco zaskoczony moim pytaniem, lecz po chwili namysłu rzekł poważnie:

— Rozmawialiśmy dziś rano. Pan porucznik bardzo ubolewa, że musiał nieboszczyka pochować u wejścia do Zatoki, na samej naszej drodze.

— I to wam nie wystarcza? — zawołałem spoglądając nań porozumiewawczo. Rozumna i spokojna jego twarz, na którą utajona choroba rzucała niedostrzegalny cień troski, zawsze dodawała mi otuchy.

Ransome sam nie wiedział, co ma o tym myśleć.

— Przyznaję, że się dotąd nie zastanawiałem nad tą sprawą—dodał z łagodnym uśmiechem. Czynny jak zwykle, oddalił się po tych słowach, by powrócić do swych licznych zajęć.

Upłynęły znowu dwa dni. Przebyliśmy nieznaczną przestrzeń, bardzo nieznaczną, pozwoliło nam to jednak wypłynąć na szersze wody Zatoki Syjamskiej.

Czując jeszcze w pełni radosną dumę, jaką napawało mnie stanowisko komendanta, tak niespodzianie otrzymane za pośrednictwem kapitana Gilesa, miałem jednak niejasne poczucie, że to wielkie szczęście trzeba będzie czymś okupić. Byłem dość biegły w sprawach morskich, aby móc spokojnie rozważać swoje szansę. Przynajmniej uważałem się za doświadczonego marynarza. Trzeba kochać swój zawód, aby móc bezstronnie zdać sobie sprawę ze swego przygotowania w danym zakresie, ja zaś kochałem swój zawód prawdziwie. Uczucie to wydawało mi się czymś tak naturalnym, jak to, że oddycham, wprost nie wyobrażałem sobie egzystencji poza zawodem żeglarskim.

Nie umiałbym dziś powiedzieć, czego oczekiwałem w chwili, kiedy miałem objąć po raz pierwszy komendę nad statkiem. Może tylko owej szczególnej intensywności życia, która stanowi najistotniejszy cel wszystkich dążeń młodzieńczych. Nie mogłem spodziewać się huraganów wiedząc, że w Zatoce Syjamskiej nigdy nawałnic nie bywa, nie spodziewałem się jednak również drugiej ostateczności: tego beznadziejnego spętania rąk i nóg, które z dniem każdym bardziej dawało mi się we znaki.

Nie można powiedzieć, aby zły urok trzymający nas w swej mocy skazywał statek na zupełne unieruchomienie. Przeciwnie. Tajemnicze niczym nie wytłumaczone prądy popychały nas podstępnie to w tę, to w ową stronę, o czym świadczyły zmieniające się ustawicznie zarysy wysepek rozsianych wzdłuż wschodniego wybrzeża Zatoki. Od czasu do czasu zrywały się kapryśne, zwodnicze podmuchy wiatru. Dawały nam one złudzenie posuwania się naprzód, złudzenie kończące się gorzkim rozczarowaniem, okazywało się bowiem najczęściej, że statek nie tylko się nie posunął, lecz, przeciwnie, cofnął się. Wiatr

zamierał w głębokim westchnieniu, roztopiał się w głuchej ciszy, my zaś stwierdzaliśmy tylko swoją bezsilność, zdani na łaskę i niełaskę złośliwych prądów.

Wyspa Koh-ring, wielka wyniosła góra, której ciemny kadłub leżał na szklanej tafli wód wśród małych wysepek, jak cielsko trytona wśród roju kielbików, wydawała mi się ośrodkiem tego błędnego koła. Niepodobna było tej wyspy wyminąć. Dzień po dniu mieliśmy ją przed oczyma. Mijając o zmroku jej pelengi myślałem a każdym razem, że czynię to po raz ostatni. Zwodnicza nadzieja! Jedna noc przeciwnych wiatrów pozbawiała nas dorobku osiągniętego w ciągu dnia wśród chwilowo sprzyjających okoliczności, i przy wschodzącym słońcu czarny kadłub Koh-ringu rzucał nam się znowu w oczy, posępniejszy niż kiedykolwiek w swej jałowości i martwocie.

— Czary jakież, słowo daję — rzekłem pewnego razu, zatrzymując się, jak zwykle, pode drzwiami Burnsa.

Ten ostatni powracał z wolna do świata żyjących. Daleko mu jeszcze było do czynnego udziału w życiu okrętowym, ale siedział już na łóżku, wyciągając ciekawie kruchą, kościstą szyję. W odpowiedzi na moje słowa pokiwał tylko głową tajemniczo i porozumiewawczo.

— Ach, wiem już, co pan chce powiedzieć — wybuchnąłem. — Niechże pan nie żąda ode mnie, abym wierzył, że prawa meteorologii podlegają woli jednego nieboszczyka! Inna rzecz, że się w tej meteorologii stanowczo coś popsulo. Wiatry morskie i lądowe zachowują się tak dziwacznie, że niepodobna polegać na nich ani przez pięć minut.

— Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł wyjść na pokład — mruknął Burns. — Wtedy zobaczymy...

Czy była to zapowiedź podjęcia walki z nieczystymi siłami? Trudno odgadnąć. W każdym razie pomoc, jakiej mógł udzielić mi Burns, nie była tym, czego potrzebowałem w tej chwili. Prawda, że od szeregu dni i nocy nie schodziłem prawie z pokładu, chcąc wyzyskać każdą sposobność posunięcia się ku południowi. Ale dość było spojrzeć na nieszczęsnego oficera, by przekonać się, jak bardzo jest osłabiony, przy tym nie opuściła go mania prześladowcza, której nie umiałem wytłumaczyć sobie inaczej, jak trawiącą go jeszcze chorobą. Nie chcąc, mimo wszystko, odbierać biedakowi nadziei rzekłem:

— Z radością powitamy pana na pokładzie. Jeśli rekonwalescencja pańska pójdzie takim trybem, będzie pan wkrótce najzdrowszym człowiekiem z załogi.

Przyjął moje słowa z zadowoleniem i próbował się uśmiechnąć, ale uśmiech ten wskutek nadmiernego wychudzenia jego twarzy przemienił się w okropny grymas. Ujrzałem tylko szereg długich zębów pod ognistorudym wąsem.

— Jakże się miewają inni chorzy? — zapytał niepewnie, przy czym zauważyłem w jego oczach wyraz utajonego strachu.

Uczyliem ręką nieokreślony gest i wycofałem się pośpiesznie. Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Choroba igrała sobie z nami równie kapryśnie jak pogoda. Przechodziła od jednego do drugiego zostawiając na każdym swoje piętno; z niektórymi przekomarzała się tylko, innych ścinała z nóg niemiłosiernie, zdawało się, że nie oszczędzi już nikogo. Jakoż po pewnym czasie wszyscy ludzie wyglądali jak cienie i wyraz utajonego lęku malował się we wszystkich spojrzeniach. Ransome i ja — jedyni, których zaraza pominęła — kręciliśmy się wśród tej gromadki chorych, sumiennie rozdzielając chininę.

Musiałem teraz walczyć na dwa fronty. Jeden przeciwnik, wiatr, spychał nas ku lądowi, drugi w postaci zarazy nacierał na nas od tyłu. Muszę oddać sprawiedliwość moim ludziom, że wśród tych ciężkich warunków zachowywali się wzorowo. Żmudną pracę ustawiania rej wykonywali bez szemrania. Widziałem jednak, że członki ich nie mają sprężystości, i przypatrując się im z pokładu rufy doznawałem przykrego wrażenia, że poruszają się w zatrutej atmosferze.

Pan Burns czynił natomiast zadziwiające postępy. Już nie tylko podnosił się na łóżku, ale spuszczał nawet nogi. Kiedy obejmował kolana kościstymi rękami, podobny do żywego szkieletu, wzdychał raz po raz głęboko i niecierpliwie.

— Najważniejszą rzeczą — mawiał do mnie przy każdej sposobności — najważniejszą rzeczą, mówię, jest wydostanie się poza 8°20' szerokości geograficznej. Z chwilą gdy ten stopień wyminiemy, wszystko pójdzie inaczej.

Z początku śmiałem się z tych jego bredni, jakkolwiek Bóg mi świadkiem, nie było mi wtedy wesoło. Ale w końcu straciłem cierpliwość:

— Wiem, wiem! Szerokość geograficzna 8°20'! Tameś pan pochował swego kapitana.
— I dodałem surowo: — Czy nie pora, by już zaniechać tych bredni, panie Burns?

Błysnął ku mnie swymi głęboko zapadniętymi oczyma z wyrazem tępego uporu.

— Nie dziwiłbym się wcale... zobaczy pan... spleta nam jeszcze piekielnego figla...
— mamrotał ledwo dosłyszalnym głosem.

Nie mogę powiedzieć, aby te nastroje oddziaływały dodatnio na moje samopoczucie. Zaczynałem słabnąć pod naporem przeciwności, a jednocześnie uczuwałem rodzaj pogardy dla tych objawów wewnętrznej rozterki. Wmawiałem w siebie butnie, że na to, aby zachwiać siłą mego ducha, trzeba by niepowodzeń zupełnie innej miary!

Nie przeczuwałem, jak rychło moja odporność miała być wystawiona na próbę, ani z której strony groziło mi niebezpieczeństwo. Miałem, niestety, przekonać się o tym już na

drugi dzień.

Słońce wyszło w pełnym blasku spoza południowego zbocza wyspy Koh—ring, która wlokła się za nami tak nieodstępnie jak eskorta za więźniem. Widok jej przejmował mnie niewysłowioną nienawiścią. Noc zeszła nam na ustawianiu rej, jakkolwiek podmuchy wiatru, które pragnęliśmy wyzyskać, istniały bodaj tylko w naszej wyobraźni. Dopiero o wschodzie słońca zerwał się niczym nie wytłumaczony stały wiatr, który dmuchał nam w twarz przez całą godzinę. Ten rodzaj wiatru nie licował ani z porą roku, ani z wyglądem nieba — przeczył zaś wszystkim obserwacjom, jakie doświadczeni marynarze kiedykolwiek notowali w swych zapiskach. Tylko złą wolą można było wytłumaczyć to zjawisko. Gdybyśmy odbywali przejażdżkę dla przyjemności, rozkoszny wydałby się nam ten powiew, od którego w mgnieniu oka roziskrzyło się morze i który wreszcie wprowadził statek w ruch orzeźwiający przy tym zastygłe powietrze. Dla nas jednak był fatalny, zbił nas bowiem z drogi, oddalając od właściwego kursu. I oto nagle, jak by uprzykrzywszy sobie niemądry żart, wiatr ucichł w przeciągu niespełna pięciu minut. Dziób statku wykręcił się w stronę przechyłu i zastygł w tej postawie, a uciszone morze przybrało dawny połysk wygładzonej stali.

Zeszedłem w głąb statku, nie tyle w zamiarze udania się na spoczynek, ile po prostu dlatego, że nie mogłem znieść dłużej widoku morza. Niestrudzony Ransome krzątał się przy kredensie. Wedle ustalonego zwyczaju zdawał mi co rano raport ze stanu zdrowotnego załogi. Powitał mnie swym miłym, pogodnym spojrzeniem. W pierwszej chwili nie dostrzegłem ani cienia troski na mądrym jego czole.

— Mamy dziś wielu chorych, panie kapitanie — oznajmił mi spokojnie.

— Co? Wszyscy gorączkują?

— Położyło się właściwie dwóch, ale...

— Ostatnia noc ich dobiła. Mocowaliśmy się z żaglami do samego rana.

— Słyszałem, panie kapitanie. Bardzo mi się chciała wyjść na pokład i pomóc, ale jak pan wie...

— Wiem, wiem. Mowy o tym nie ma. Ale słuchajcie.

Zauważyłem, że marynarze wylegają się w nocy na pokładzie. To bardzo niezdrowo.

Ransome przyznał mi słuszność. Ale jakże temu przeciwdziałać? Trudno mieć za złe ludziom, że chcą zaczerpnąć trochę powietrza. Nie są przecież dziećmi. On oczywiście wie dobrze, że nie należy tego czynić...

Ransome był człowiekiem wyjątkowo rozważnym. Na ogół i reszta załogi zachowywała się rozsądnie. Ostatnie dni były jednak piekielnie gorące, żyliśmy w istnym piecu ognistym. Najpierwotniejszy instynkt, głuchy na wszelkie przestrogi, kazał udręczonym

ludziom szukać chwilowej ulgi w pozornym chłodzie nocy, przy świetle gwiazd migocących poprzez ciężkie powietrze przesycone rosą. Większość marynarzy była przy tym tak osłabiona, że każdy manewr wymagał zmobilizowania wszystkich ludzi zdolnych jeszcze do wysiłku. Nie! Upominanie nie prowadziło do niczego. Pozostawała jedynie chinina.

Całą moją nadzieję złożyłem w tym cudownym leku. Miał on, w mym mniemaniu, ocalić statek i załogę, odzegnać złe uroki, ba! uniezależnić nas nawet od pogody i wynagrodzić stracony czas. Wierzyłem, że chinina, jak czarodziejska jakaś mikstura usuwająca wszystkie niemoce, uchroni mój pierwszy statek w czasie pierwszej przeprawy od groźących mu niebezpieczeństw: zarazy i morskiej ciszy. Toteż patrzyłem na nią jak na skarb droższy od złota, aczkolwiek dostępniejszy — wiadomo bowiem, że złota nigdzie nie ma pod dostatkiem, my zaś posiadaliśmy zapas chininy zupełnie wystarczający na nasze potrzeby.

Poszedłem do apteki z zamiarem przygotowania dawek dla moich chorych. Ruchem człowieka, który sięga po niezawodne panaceum, wyciągnąłem rękę po nowy, nie napoczęty słoik, gdy nagle, rozwijając go z papieru, dostrzegłem, że papierowa osłonka nie jest zaklejona...

Nie będę opisywał przebiegu strasznego odkrycia. Miałem oto w ręku słoik wypełniony białym proszkiem, ale proszek ten wcale nie był chininą! Wystarczyło jedno spojrzenie, aby się o tym przekonać. Przypominam sobie, że zanim nawet zdążyłem rozerwać osłonkę, już sama waga przedmiotu trzymanego w ręku tknęła mnie złym przeczuciem. Chinina jest lekka jak puch — a moje nerwy wskutek ciągłego podniecenia stały się nadmiernie wrażliwe. Słoik wysunął mi się z rąk i rozprysnął na drobne kawałki. Tajemnicza jego zawartość zazgrzytała jak piasek pod podeszwą mego buta. Chwyciłem drugi słoik, potem trzeci, czwarty. Sam ciężar tych słoików był wystarczającym świadectwem. Padały, krusząc się na podłogę, jeden po drugim, choć nie rzucałem ich rozmyślnie. Wyślizgiwały mi się po prostu z rąk, jak gdyby fatalne odkrycie odjęło mi nagle resztę sił.

Faktem jest, że przy wielkich wstrząśnieniach moralnych sama gwałtowność wstrząśnienia dopomaga do zniesienia ciosu, wywołując chwilowe znieczulenie. Wyszedłem z kabiny tak ogłuszony, jak by mi jakiś ciężki przedmiot spadł na głowę.

Wtargnąłem do salonu. Ransome, który stał ze ścierką od kurzu po przeciwnej stronie stołu, otworzył usta na mój widok. Nie przypuszczam, abym robił wrażenie wariata, musiałem raczej wyglądać na człowieka, który dokądś dąży w szalonym pośpiechu. Rzeczywiście, spieszyłem się na pokład. Wiadomo, że gdy statek znajduje się na morzu, cała załoga w razie alarmu lub niebezpieczeństwa instynktownie wybiega na pokład. Mój odruch był więc potwierdzeniem zasady, że długoletnie nawyknięcie przeradza się w instynkt; we

mnie zaś instynkt wziął górę nad zastanowieniem, co mogło być dowodem, że na chwilę postradałem zmysły. Tylko chwilową utratą równowagi mogę wytłumaczyć odruch, który kazał mi zawrócić ze schodni i wpaść do kabiny Burnsa.

To, co tu ujrzałem, było tak przerażające, że wytrzeźwiło mnie natychmiast. Chory siedział w swej koi z głową lekko przechyloną i zastygłą w nienaturalnym bezruchu. Postać jego wydała mi się dziwnie wydłużona, w drżącej, przeraźliwie chudej ręce dzierżył błyszczące nożyce, którymi najwyraźniej godził we własną szyję.

Doznałem na ten widok okropnego wstrząsu, jednakże przestraszony nie był widocznie dominującym uczuciem w tym momencie, nie zdobyłem się bowiem na żaden okrzyk zgrozy, na żadne: „Stój!”, „Co robisz?!”, „Na Boga!”

To, co czynił pan Burns, było w rzeczywistości rzeczą dosyć zwykłą. Przeceniając ledwo odzyskane siły próbował oto w sposób bardzo niezgrabny usunąć bujny zarost swej ognistej brody. Na jego kolanach leżał wielki ręcznik, na który za każdym cięciem nożyczek opadały kłaczki twardych włosów, przypominających cienkie zwoje miedzianego drutu. Zdumione oblicze, które zwrócił w moją stronę, przechodziło w swej cudaczności najdziksze fantasmagorie chorej wyobraźni. Na jednym z policzków jeżyła się bujna, płomienista szczecina, podczas gdy na drugim, oczyszczonym już z włosów i przeraźliwie zapadniętym, sterczał nie tknięty przez nożyce, długi i samotny wąs. Chory wpatrywał się we mnie zdumionymi oczyma, ja zaś z całym okrucieństwem oznajmiłem mu swoje odkrycie, w kilku słowach bez komentarza.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Usłyszałem tylko brzęk nożyczek osuwających się na podłogę i zdążyłem zauważyć ryzykowny ruch chorego, który wychylił się z łóżka do połowy ciała w poszukiwaniu upuszczonego narzędzia. Pozostawiając go losowi wybiegłem na pokład. W pierwszej chwili poraził mnie blask roziskrzonego morza. Leżało przede mną wspaniałe i złowrogie, monotonne i beznadziejne, pod pustą kopułą niebios. Żagle zwisły tak bezwładnie, że ich nieruchome fałdy czyniły wrażenie wykutych w granicie. Marynarz siedzący przy sterze drgnął z lekka na mój widok. Nad naszymi głowami zaskrzypiał z niewytłumaczonej przyczyny jakiś blok; zabrzmiało to wśród ciszy jak przeciągły gwizd ptaka. Cóż, u licha, mogło go poruszyć? Długo, bardzo długo wpatrywałem się w pustkę, pochłonięty przez bezmiar milczenia, podczas gdy słońce z czyjegoś tajemniczego nakazu prażyło nas zabójczym żarem. Za mną odezwał się głos stewarda:

— Położyłem pana Burnsa z powrotem do łóżka, panie kapitanie.

— Czy tak?

— Pan porucznik dźwignął się o własnych siłach, ale wychyliwszy się z koi stracił równowagę i upadł. Mimo to zdaje się być przytomny.

— Pewnie — odburknąłem ponuro, nie odwracając nawet głowy.

Ransome milczał przez chwilę, po czym, jak by bojąc się mnie urazić rozpoczął ostrożnie:

— Nie powinniśmy marnować tego lekarstwa. Ja je zbiorę do najmniejszej okruszyny, panie kapitanie. Można też będzie przesiać to, co zostało w potłuczonych słojach. Zaraz się tym zajmę. Opóźni to śniadanie najwyżej o dziesięć minut.

— A niech tam! — odrzekłem z goryczą. — Zbierzcie to paskudztwo do ostatniego źdźbła i wyrzucicie przez burtę!

Zapadło znowu milczenie, a gdy odwróciłem głowę, przekonałem się, że Ransome, mądry i pogodny mój przyjaciel, ulotnił się z pokładu. Straszliwa samotność wiejąca od morza działała zabójczo na mój chory mózg. Zwróciłem oczy na statek — i oto nagle, jak w przelotnej wizji, ujrzałem ten mój statek przemieniony w pływający cmentarz. Któż nie słyszał o okręgach z wymarłą załogą, unoszonych przez kapryśne fale? Uczulem potrzebę przemówienia do kogokolwiek bądź i odruchowo podszedłem do marynarza siedzącego przy sterze. Jak by odgadując mój zamiar, przybrał postawę wyczekującą, ja jednak rozmyśliłem się i odszedłem w głąb statku, by przez chwilę jeszcze pozostać sam na sam z ciężarem mojej

troski.

Przeszkodził mi w tym oczywiście Burns. Dostrzegłszy mnie przez otwarte drzwi, zagadnął posepnie:

— No, cóż tam, kapitanie?

— Nic dobrego — odparłem wchodząc do kabiny.

Ułożony z powrotem w pościeli, rekonwalescent osłaniał sobie dłonią nie ogolony policzek.

— To przeklęte bydlę zabrało mi nożyce — oznajmił po chwili milczenia.

W stanie napięcia nerwów, w jakim się znajdowałem, pocieszna skarga Burnsa sprawiła mi rodzaj ulgi. Biedak zdawał się być naprawdę rozżalony na stewarda.

— Czy on myśli, że ja zwariowałem, czy co, u licha?

— Nie sądzę, panie Burns — odrzekłem spoglądając nań z rodzajem podziwu, wydał mi się bowiem w tej chwili wzorem panowania nad sobą. Prócz resztki brody, zdradzającej pokrewieństwo z pospolitym światem materii, posilac tego człowieka doszła do takich granic dematerializacji, których żadna żyjąca istota nie może już przestąpić. Z zazdrością patrzyłem na jego zakłęśnięte skronie, na nienaturalną ostrość jego nozdrzy, wydawało mi się bowiem rzeczą oczywistą, że dni jego są policzone. Szczęśliwy człowiek! Odejdzie sobie lada dzień — ja natomiast będę musiał borykać się nie wiedzieć jak długo z nadmiarem zwątpień, wewnętrznych rozterek, nade wszystko zaś z uczuciem niewypowiedzianego wstrętu do spojrzenia w oczy ohydnej prawdzie.

— Obawiam się, że ja także wariuję — wyrwało mi się mimo woli.

Burns spojrział na mnie wzrokiem upiora zachowując przy tym zadziwiający spokój.

— Zawsze mówiłem, że ten zbrodniarz splata nam jeszcze piekielnego figla — rzekł z naciskiem.

Doznałem przykrego wstrząsu, ale nie zdobyłem się na odpowiedź. Objawem mojej choroby było zubożenie. Postępujący paraliż serca, duszy i mózgu, beznadziejny pogląd na świat. Patrzyłem bezmyślnie na Burnsa, on zaś ciągnął dalej:

— Co? Jeszcze pan nie wierzy? Czymże pan sobie tłumaczy ten wypadek? Jakże inaczej to się stać mogło?

— Jak? — powtórzyłem głucho. — I ja się pytam, jak, do kroćset tysięcy diabłów, taka rzecz mogła się wydarzyć?

Rzeczywiście, po głębszym zastanowieniu sprawa stawała się jeszcze bardziej zagadkowa. Komu mogło zależeć na opróżnieniu słoju po to tylko, aby je następnie wypełnić mną miksturą, opakować i odstawić na miejsce? Wyglądało to na jakiś ohydny podstęp, na

uplanowaną zemstę (za co? za co? lub wreszcie na piekielny żart. Pan Burns po swojemu rozwiązał ten problem.

— Musiano mu zapłacić w Haifongu około piętnastu funtów szterlingów za tę ilość chininy — rzekł głucho i uroczyście.

— Panie Burns! — wykrzyknąłem.

Pokiwał głową z uśmiechem politowania, wpatrując się przy tym w swoje nogi podobne do dwóch żerdzi przybranych w pizamę, a zakończonych nieprawdopodobnych rozmiarów bosymi stopami.

— Czemu nie? Chinina Jest bardzo droga w tej części świata, a w Tonkinie brakło jej prawie zupełnie. Czy ten człowiek miał jakie skrupuły? Pan go nie znał, ale ja go znałem i nieraz skakałem mu do oczu. On nie bał się ani Boga, ani diabła, ani ludzi, ani wiatru, ani morza, najmniej zaś własnego sumienia. Mam wrażenie, że nienawidził wszystkich i wszystkiego. Jeśli obawiał się czego, to chyba śmierci. Byłem jedynym bodaj człowiekiem, który mu się przeciwstawiał. Ścierałem się z nim, gdy był chory, w tej samej kajucie, w której pan teraz mieszka, i udało mi się go nastraszyć. Myślał wtedy, że mu szyję ukreć. Ba, gdybym go nie był obezwładnił, borykalibyśmy się z północno—wschodnim monsunem do samej jego śmierci, jeśli nie do dzisiejszego dnia. Latający Holender na Morzu Chińskim! ładna historia! Cha! Cha! Cha!

— Po cóż by odstawiał słoje na miejsce? — wtrąciłem.

— A czemu nie? Któż mu je kazał wyrzucać? Pasowały do szuflady, należały do apteczki okrętowej...

— Były przecież zawinięte! — krzyknąłem.

— No tak, papier był pod ręką. Uczynił to widać z przyzwyczajenia. Co się zaś tyczy zastąpienia chininy inną miksturą, nie przedstawiało to 'również •trudności,

przysyłano nam bowiem wiecznie jakieś proszki w papierowych torebkach, które się potem rozlatywały. Cóż zresztą można wiedzieć? Czy pan kosztował tego świństwa? No oczywiście, musiał pan sprawdzić...

— Nie — odparłem — przyznaję, że nie przyszło mi to na myśl. Teraz już wszystko wyrzucone.

— Ja kosztowałem, panie poruczniku — odezwał się za nami dźwięczny, łagodny głos stewarda. — Dziwna mikstura, słodka, a razem gorzka, bardzo paskudna!

Ransome, krzątając się w przyległej spiżarni, wysłuchiwał całej naszej rozmowy, czego mu zresztą nie można było mieć za złe.

— Szkaradny figiel — mruknął pan Burns. — Zawsze mówiłem, że tak będzie.

Moje oburzenie nie miało wprost granic. Ach, i ten doktor! Taki zacny, taki sympatyczny, jedyny prawdziwie sympatyczny człowiek, z jakim się zetknąłem! Czemuż zamiast bawić się w układanie listu pełnego wyrazów współczucia i subtelnych ostrzeżeń nie przeprowadził sumiennej inspekcji? Jednakże nie! Nie miałem prawa jego winić. Zawartość apteczki okrętowej jest rzeczą raz na zawsze ustaloną przez urzędowe przepisy; butelki i słoje stały na swoim miejscu, nie było więc powodu do najmniejszych podejrzeń. Jedynym winowajcą byłem ja sam. Przekonałem się poniewczasie, że we wszystko trzeba wejrzeć samemu. Wyrzut sumienia miał od tej chwili stać się nieodstępnym moim towarzyszem.

— To moja wina! — wykrzyknąłem. — Moja, i tylko moja! Wiem o tym dobrze i nigdy sobie tego nie przebaczę.

— Pańskie rozumowanie jest niedorzeczne — wycedził wyniośle Burns.

Po tym wysiłku opadł bezwładnie na poduszki. Oczy miał przymknięte i oddychał ciężko; fatalne odkrycie musiało mimo wszystko uczynić na nim wrażenie. Wychodząc z kabiny dostrzegłem Ransome'a, którego twarz wydała mi się zmieniona i pobladła. Pojął on niewątpliwie doniosłość tego, co się stało, potrafił jednakże przed odejściem uśmiechnąć się do mnie po swojemu. Wybiegłem znowu na pokład. Chciałem przekonać się, czy przez ten czas nie zerwał się choć najłżejszy podmuch wiatru, czy nie odświeżyło się powietrze, czy nie nastąpiła jakakolwiek zmiana, która by dawała cię nadziei. Powitała mnie ta sama głucha cisza. Nic się dokoła nie zmieniło, zauważyłem tylko, że przy sterze siedzi inny człowiek. Wyglądał na ciężko chorego. Ciało jego zwisało bezwładnie, a ręce wpijały się kurczowo w szprychy koła, jak by szukając w nich podpory. Widać było, że biedne człowieczysko nie panuje nad ruchami steru.

— Nic tu po was, przyjacielu — rzekłem do niego.

— Dam radę, panie kapitanie — odpowiedział słabym głosem.

Właściwie nie było sposobu manewrowania sterem. Statek stał niemal na miejscu, dziobem zwrócony na zachód, a rufą ku wyspie Koh-ring. Rozsiane dokoła tej wyspy drobniutkie wysepki migotały w blasku przed mym olśnionym wzrokiem jak czarne, pływające krążki. Poza tymi okruchami lądu nie było na morzu i niebie żadnej plamki, żadnej mgielki, żadnego żagla ani łodzi, żadnego śladu życia, nie było absolutnie nic, co by przypominało o istnieniu człowieka.

Pierwszym pytaniem, jakie cisnęło się do mózgu, było: co robić? Tak, co teraz robić? Obowiązek nakazywał mi powiedzieć ludziom prawdę. Uczyniłem to tego samego dnia. Nie mogłem przecie pozwolić, aby bez mego udziału wieść rozeszła się między załogą. Postanowiłem oznajmić ją ludziom wprost, i w tym celu nakazałem zbiórkę na pokładzie rufy.

W chwili poprzedzającej bezpośrednio moje przemówienie uczułem, iż życie zawiera w sobie straszliwe momenty. Żaden kryminalista przekonany o swej zbrodni nie może doznawać okrutniejszych wyrzutów sumienia, ale może właśnie dlatego wystąpiłem surowo i bezwzględnie. Twardym, obojętnym głosem oświadczyłem załodze, że w zakresie pomocy lekarskiej nic już nie mogę dla nich uczynić, co się tyczy innych potrzeb załogi, to będą one uwzględniane, jak zwykle, w miarę możliwości.

Gdyby po tym oświadczeniu marynarze rzucili się na mnie i rozdarli mnie na sztuki, wcale bym się temu nie dziwił. Cisza, która nastąpiła po moim przemówieniu, trudniejsza była do zniesienia od wybuchu najdzikszej wściekłości. Czuję się zgnębiony tym potwornym milczeniem tłumacząc je sobie (jak się później okazało) zupełnie błędnie.

— Przypuszczam, chłopcy — rzekłem na koniec, usiłując nadać swemu głosowi stanowcze brzmienie — przypuszczam, żeście pojęli moje słowa i że rozumiecie dobrze, co to znaczy?

Kilka głosów odezwało się z gromadki:

— Tak jest, panie kapitanie, rozumiemy...

Postawa ich nie była wroga, milczeli dla tej prostej przyczyny, że nie czuli się upoważnieni do zabierania głosu. Gdy oznajmiłem im, że zamierzam kierować się na Singapur i że tylko wspólny wysiłek wszystkich, zdrowych i chorych, może dać rękojmię ocalenia statku, słowa moje spotkały się z przychylnym pomrukiem całej załogi. Jakiś śmielszy głos wybił się ponad inne:

— No tak, musi się przecie znaleźć wyjście z tej przeklętej matni!

*

Przytoczę tu ustęp z dzienniczka, który pisałem w tym czasie:

Straciliśmy wreszcie Koh-ring z oczu. W ciągu ostatnich kilku dni spędziłem w mej kajucie najwyżej dwie godziny. Dzień i noc jestem na pokładzie, a te dni i noce toczą się jedno za drugimi — krótkie? długie? Któż zdoła odgadnąć? Poczucie czasu zanika w niezmiernej monotonii, na którą składa się ustawiczne oczekiwanie, przebłyśki nadziei i gorące pragnienie zawarte w tych paru słowach: „Wykręcić statek na południe! Wykręcić statek na południe!” W otaczającej nas przyrodzie ta sama jednostajność: zdawałoby się, że jakaś niewidzialna ręka wprawiała w ruch mechanizm kręcąc korbą za widnokretem. Słońce podnosi się i obniża, po dniu nastaje noc, po nocy dzień — jakież to śmieszne i bezcelowe! W

ciszy słyszę tylko odgłos własnych kroków, dudnią one ustawicznie po pokładzie i sam nie umiałbym powiedzieć, ile mil przebiegłem w ten sposób. Jediną przerwą w tej niestrudzonej pielgrzymce, mającej zagłuszyć wewnętrzny niepokój, są krótkie wizyty składane przeze mnie choremu. Zdaje mi się (oby i to nie okazało się złudzeniem), że Burns rzeczywiście powraca do zdrowia. Mówi wprawdzie niewiele, ale trzeba przyznać, że położenie, w jakim się znajdujemy, nie usposabia do wymiany próżnych słów. Tę samą małowówność obserwuję u marynarzy; nie rozmawiają ze sobą ani w czasie pracy, ani w chwilach kiedy wylegują się na pokładzie. Przyszło mi kiedyś na myśl, że gdyby istniało niewidzialne ucho wsłuchujące się w odgłosy ziemi, to nasz statek wydawałby się najcichszym punktem na całym obszarze świata...

Nie, stanowczo Burns nie ma mi wiele do powiedzenia. Siedzi w swojej koi z wyrazem zaciętego uporu na kredowo białej twarzy, od której śmiesznie odbijają płomieniste wąsy. Ransome twierdzi, iż rekonwalescent pożera do ostatniej okruszyny wszystko, co mu przynoszą, ale sypia bardzo niewiele. Spostrzeżenie to jest słuszne. Ilekroć schodzę w nocy w głąb statku, by nabić sobie fajkę, widzę, że Burns nie śpi, mimo iż leży na wznak w nieruchomej pozycji. Na jego twarzy maluje się ten sam wyraz niezłomnej determinacji, a z ukośnych spojrzeń, jakie rzuca w moją stronę, wnoszę, iż drażni go moja obecność, zżyma się jak człowiek, któremu przerywają wątek jakichś zawyłych obliczeń. Zniechęcony, powracam na pokład i tu oczy moje spotykają się ze spojrzeniem przezczystych gwiazd, wiecznie jednak rozsianych po firmamencie, a zabójczo nużących przez swą monotonię. Słońce i gwiazdy, powietrze i woda, światło i ciemność — majestatyczne dzieło siedmiu dni stworzenia, w które nieszczęsna ludzkość wtargnęła nieproszona. Czy wtargnęła z dobrej woli?... Może zwabiono ją podstępem, a ona łatwowiernie zaufała losowi, tak jak ja, gdy oddano mi komendę nad tym strasznym, upiornym statkiem?

*

Jedynym światelkiem, jakie w nocy jarzyło się na statku, była lampka kompasowa oświetlająca postać sternika; reszta statku pozostawała w ciemności; ja najczęściej przechadzałem się po rufie, ludzie zaś wylegiwali się na wszystkich pokładach. Załoga była tak uszczuplona, że nie mogło być mowy o wyznaczaniu wachty. Wszyscy, którzy jeszcze jako tako trzymali się na nogach, musieli ciągle być na służbie, choć przeważnie leżeli wyciągnięci w mroku na głównym pokładzie, gotowi zerwać się na zawołanie. Wezwani do

pracy, krzżeli się posłusznie, bez szemrania, nie zamieniając między sobą ani słowa. Wydawanie rozkazów w tych warunkach było dla mnie męką, serce i sumienie buntowało się we mnie przeciwko tej konieczności.

Okolo godziny czwartej rano zapalało się nikłe światelko w kambuzie. To niestrudzony Ransome (jedyny, którego mimo zagrożonego serca ominęła zaraza) przygotowywał poranny posiłek dla żeglarzy. Po wypiciu czarnej kawy, którą sam przynosił mi na pokład, pozwalałem sobie wyciągnąć się na leżaku i zasnąć na parę godzin. Być może, że i w ciągu nocy zdarzało mi się zdrzemnąć na stojąco przy burcie, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy, i tylko przykre, konwulsyjne wstrząsy, których doznawałem nawet chodząc po pokładzie, kazały przypuszczać, że jednak sen morzył mnie chwilami. Natomiast od godziny piątej do siódmej chrapałem już jawnie, pod gasnącym spojrzeniem gwiazd. Zapowiedziawszy sternikowi, by obudził mnie w razie potrzeby, rzucałem się na leżak i zamykałem oczy, z poczuciem, że nigdy, póki życia, nie zasnę.

W chwilę później nie wiedziałem już o świecie bożym i trwałem w tej nieświadomości, dopóki (między siódmą a ósmą) ktoś nie dotknął mego ramienia. Otworzywszy powieki dostrzegałem pochylającą się nade mną postać Ransome'a, jego blady, przenikliwy uśmiech i siwe oczy, które z rodzajem rozrzewnienia wpatrywały się w moją rozspaną fizjonomię.

Od czasu do czasu pojawiał się na pokładzie drugi oficer, by zastąpić mnie w komendzie. W gruncie rzeczy było to zbyteczne, gdyż na morzu panowała śmiertelna cisza, jeśli zaś niekiedy zdarzały się podmuchy wiatru, to tak słabe i zmienne, że nie warto było nawet brasów⁷ przekręcać. Wiedziałem, iż w razie ustalenia się wiatru mogę liczyć na czujność sternika, który wydawał wtedy triumfalny okrzyk, działający na mnie jak pobudka bojowa. Sądzę, że szczególna intonacja, jaką wtenczas głos jego przybierał, byłaby zdolna wyrwać mnie z wieczystego snu. Niestety, zdarzało się to rzadko. Słońce wschodziło zazwyczaj wśród tak martwej ciszy, jakiej do tej pory nigdy nie widziałem. Z drugiego oficera (którego raz na trzy dni opuszczała gorączka) stanowczo nie miałem pociechy. Zwlekał się na pokład, ogłupiały i półprzytomny, siadał na luku i godzinami wpatrywał się w jeden jakiś przedmiot: linę, klubkę czy pierścień do przytwierdzenia lin.

Sporo mieliśmy kłopotu z tym niedowarzoną dzieciakiem, którego choroba wyzwała do reszty z rozsądku. W okresie gorączki, kiedy powinien był leżeć spokojnie w swej kajucie, wymykał się jak na złość i znikał gdzieś bez śladu. Za pierwszym razem byliśmy tym poważnie zaniepokojeni, wszczęliśmy natychmiast poszukiwania, i wreszcie Ransome

⁷ Brasy — liny służące do manewrowania żaglami w płaszczyźnie poziomej.

odnalazł go leżącego w komorze żaglowej połączonej rozsuwanymi drzwiami ze spiżarnią. Skarcony przeze mnie, warknął opryskliwie: „Bo mi tu chłodniej”, co było zresztą nieprawdą. W komorze było ciemniej, ale wcale nie chłodniej niż w kajucie.

Sinoblade, jednostajne zabarwienie cery nie dodawało uroku jego rysom, mało pociągającym z natury. Na ogół obserwowałem zjawisko wprost odwrotne: choroba zdawała się upiększać ludzkie twarze podkreślając w nich cechy najistotniejsze: godność, siłę i szlachetność wyrazu. W jednym tylko wypadku splatała figła swej ofierze, czyniąc z niej uosobienie komizmu. Ofiarą tą był mały, żwawy człowieczek, rudy jak wiewiórka, z zadartym nosem i brodą pajaca. Koledzy, nie wiadomo dlaczego, nazywali go Frenchy. Może był rzeczywiście Francuzem, nie słyszałem jednak nigdy, aby się po francusku odzywał.

Sam widok tego chłopaka, gdy raźnie podążał do steru, wprawiał patrzących w dobry humor. Granatowe spodnie z indyjskiej tkaniny podwinięte do połowy łydek (przy czym jedna noga wydawała się dłuższa od drugiej), kraciasta koszula i biała płócienna czapka własnego wyrobu nadawały mu szczególnie dziarski wygląd, a wesołość nie opuszczająca go nawet wtedy, kiedy już ledwo trzymał się na nogach, świadczyła o niespożytej sile jego ducha. Odmiennym typem był Gambrill, jedyny wśród załogi, którego wiek przyprószył już siwizną. Pamiętam do dziś dnia jego posępną twarz, jak zresztą wszystkie prawie twarze, na których śledziłem w owym czasie tragiczne postępy choroby. Natomiast większość nazwisk zatarła się już w mojej pamięci.

Mówiliśmy ze sobą mało, dziecinnie bowiem brzmiała ludzka mowa w sytuacji, w jakiej znajdowaliśmy się wtedy. Musiałem wprost zadawać sobie przymus, by patrzeć w oczy moim ludziom. W ich spojrzeniach nie dostrzegałem wprawdzie wyrzutu, ale wyraz cierpienia, nad którym nie mogli zapanować, był dla mnie dostatecznym wyrzutem. Do dziś dnia nie wiem, czy to przyrodzony umiar, czy wyobraźnia umiejąca wczuć się w cudze położenie czyniła ich tak wyrozumiałymi — to tylko wiem, że do końca życia zachowam dla nich niewygasłą wdzięczność.

Ja sam dawno nie panowałem już ani nad swym usposobieniem, ani nad wyobraźnią. Były chwile, w których czułem, że obłąd mnie ogarnia na dobre, i nie śmiałem otworzyć ust w obawie zdradzenia się jakimś nieprzytomnym okrzykiem. Na szczęście, stanowisko komendanta zmuszało mnie do wydawania rozkazów, wiadomo zaś, że rozkaz umacnia wewnętrznie człowieka, który go wydaje. Mój rozstrój nerwowy kończył się tam, gdzie zaczynała się rola żeglarza i dowódcy. Podobny byłem do obłąkanego cieśli, który sumiennie odrabia swą robotę: choćby wyobrażał sobie, że jest królem Jerozolimy, skrzynia przez niego wykonana będzie solidną, dobrze obrobioną skrzynią. Najmniej ufałem własnemu głosowi,

czując, iż jedna ostrzejsza nuta mogłaby mnie wytrącić z równowagi. Na szczęście, nie zachodziła prawie nigdy potrzeba podniesienia głosu. Wśród zastygłej ciszy każdy dźwięk, każdy najłżejszy szmer wywoływał echo jak w akustycznej galerii: słowo wypowiedziane na rufie słyszane było na całym statku. Najbardziej drażniła mnie ta okoliczność, iż moje własne słowa były jedynymi, które się rozlegały wśród tej ciszy; czyniło to przygnębiające wrażenie, zwłaszcza w nocy, gdy mój głos tłukł się samotnym echem wśród nieruchomych żagli.

Pan Burns nie opuszczał jeszcze łóżka. Z jego oczu wycierało niezłomne jakieś postanowienie, którego nie wyrażał słowami, natomiast zrzędził na wszystkich i na wszystko. Nasze rozmowy, nie przeciągając się nigdy dłużej ponad pięć minut, stały się dosyć częste, ponieważ zbiegałem ustawicznie do mojej kabiny po zapalki. Paliłem wtedy niewiele, lecz fajka gasła mi co chwila, byłem zaś tak roztargniony, iż zdarzało mi się raz po raz pocierać zapalkę i trzymać ją zapaloną dopóty, dopóki nie poparzyła mi palców. Zbiegałem wtedy w głąb statku, co stanowiło jedyną bodaj odmianę i przerywało, choć na chwilę, nużący wysiłek myśli. Burns śledził, oczywiście, przez otwarte drzwi każde moje poruszenie.

Z brodą opartą na chudych kolanach i przenikliwym wejrzeniem zielonkawych źrenic wyglądał dość niesamowicie, a że przy tym mania prześladowcza wcale go nie opuszczała, nic dziwnego więc, że nie czułem szczególniejszego pociągu do jego towarzystwa. Trzeba jednak było zamienić z nim parę słów od czasu do czasu. W jednej z takich rozmów zwierzył mi się z przygnębiającego wrażenia, jakie sprawia na nim cisza panująca na statku. „Godzinami całymi — mówił mi — nie słyhać najmniejszego odgłosu, a to przecie człowieka skazanego na beczynne leżenie może doprowadzić do rozpaczyl!”

— Ilekroć Ransome odejdzie do kambuza, mam wrażenie, że cała załoga wymarła — skarżył się posepnie. — Jedyne dźwięk ludzkiej mowy, jaki czasem słyszę, to pański głos, panie kapitanie, a to doprawdy za mało! Czyż żaden z marynarzy nie potrafi już zaśpiewać przy ciągnięciu lin?

— Nie, panie Burns — odparłem. — Nikogo na tym statku nie stać na niepotrzebny wysiłek. Czy pan uwierzy, iż są dni, w których rozporządzam zaledwie trzema parami rąk do pracy?

Chory zapytał znienacka głosem pełnym trwogi:

— Nikt jeszcze nie umarł?

— Jak dotąd, nie.

— No, to dobrze. — I dodał z energią: — Nie powinniśmy żadną miarą do tego dopuścić. Gdyby mu się udało powalić jednego człowieka, byłoby już po wszystkich.

Żachnąłem się niecierpliwie. Być może, iż skląłem go nawet za te słowa, które mogły

człowieka w moim położeniu pozbawić resztki zimnej krwi. Dość miałem własnych przywidzeń, nasuwanych mi przez wyobraźnię w ciągu nie kończących się dni i nocy, spędzanych na suwaniu w obliczu wrogich sił. Nieraz prześladowała mnie wizja okrętu ze skazaną na śmierć załogą, wymierającą z wolna na wszystkich pokładach: widziałem go oczyma wyobraźni, jak, zdany na łaskę prądów i mdłych podmuchów powietrza, słania się wśród śmiertelnej ciszy. Takie wypadki zdarzały się przecież w dziejach żeglugi.

Burns zbył mój wybuch gniewu tajemniczym milczeniem.

— Panie poruczniku! — dodałem po chwili. — Pan sam nie wierzy w to, co pan mówi. Nie może pan wierzyć. To niepodobieństwo. Mam prawo wymagać od pana jako od oficera trzeźwiej j szych poglądów. Moje położenie jest zbyt trudne, abym pozwalał zawracać sobie głowę podobnymi bredniami.

Burns pozostał niewzruszony. Ponieważ twarz jego znajdowała się w półcieniu, nie mogłem stwierdzić, czy się na moje słowa uśmiechnął, czy nie. Rozpocząłem z innego tonu:

— Niech mnie pan wysłucha uważnie. Położenie nasze stało się tak rozpaczliwe, że rozmyślałem nad tym, czyby nie obrócić się na zachód, skoro ku południowi płynąć niepodobna? Kursuje tam pocztowy statek, który mógłby przynajmniej dostarczyć nam chininy. Jak pan sądzi?

— Nie, nie, nie! — wykrzyknął Burns z najwyższym przerażeniem. — Niech pan, na litość boską, nie myśli nawet o tym! Temu staremu zbójowi musimy stawić czoło do ostatniej chwili. Gdyby poczuł swoją przewagę, no, to z nami koniec.

Wyszedłem z kabiny. Człowiek ten stał się niemożliwy — było to już istne opętanie. Nie mogę wszakże zaprzeczyć, że miał zupełną słuszość sprzeciwiając się memu projektowi. Pomysł żeglowania w stronę zachodniego wybrzeża, oparty na dosyć problematycznej nadziei napotkania parowca pocztowego, nie wytrzymał w gruncie rzeczy krytyki. Po wschodniej stronie Zatoki zrywały się — przynajmniej od czasu do czasu — podmuchy wiatru umożliwiając żeglugę. To wystarczyło dla podtrzymania w nas iskry nadziei. Cóż by się jednak stało, gdybym, wyzyskując te kapryśne powiewy, wysunął się na zachód i natrafił tam na zupełną ciszę trwającą dni i tygodnie? Widmo statku z wymarłą załogą mogłoby wtedy przemienić się w ponurą rzeczywistość, pokutującą długo w pamięci tych żeglarzy, którym odkrycie upiornego okrętu przypadłoby w udziale.

Tego samego dnia po południu Ransome przyniósł mi jak zwykle filizankę herbaty na pokład i, stojąc przy mnie z tacą w ręku, odezwał się tonem, w którym drgała nuta tak potrzebnego mi wówczas współczucia:

— Pan się dzielnie trzyma, panie kapitanie.

— Tak — odrzekłem — zostaliśmy obaj pominięci.

— Pominięci, panie kapitanie?

— No tak, przez tę zarazę piekielną, która rozpanoszyła się na statku.

Ransome obrzucił mnie bystrym, przenikliwym spojrzeniem i oddalił się w stronę kambuza. Wydało mi się teraz, że moje słowa trąciły cokolwiek manierą Burnsa, i uczułem niesmak z tego powodu. Już poprzednio zauważyłem, iż zdarza mi się przybierać wobec grożących niebezpieczeństw taką postawę, jaką się przybiera wobec żywego nieprzyjaciela.

„Piekielna zaraza” nie położyła jeszcze ręki ani na mnie, ani na Ransome, ale mogło to przecież stać się lada dzień. Była to jedna z tych myśli, które musiałem zwalczać ustawicznie, bronić im przystępu do siebie za wszelką cenę. Cóż by się bowiem stało, gdyby Ransome, gospodarz statku, położył się nagle do łóżka albo gdybym ja zachorował? Nie mogłem przecież liczyć ani na Burnsa, który nie mógł jeszcze utrzymać się na nogach bez chwytania się za poręcz, ani na drugiego oficera, doprowadzonego przez chorobę do stanu zupełnego zidiocenia. Niepodobna sobie wyobrazić, c[®] by się stało wtedy ze statkiem, a raczej, przeciwnie, zbyt łatwo to sobie wyobrazić...

Resztę popołudnia spędziłem na pokładzie rufy sam, odesławszy nawet sternika, któremu poradziłem, aby sobie gdzieś w cieniu wypoczął. Ster zupełnie nie działał, a biedne człowieczysko było tak wyczerpane, że należało oszczędzać mu niepotrzebny wysiłek. Sternikiem był tego dnia ponury, siwobrody Gambrill. Odszedł dość ochoczo, jednakże przy schodzeniu z drabinki siły odmówiły mu posłuszeństwa i musiał, obróciwszy się bokiem, obu rękami uchwycić się mosiężnej poręczy. Serce ścisnęło mi się na ten widok, choć wiedziałem, że Gambrill nie jest ani słabszy, ani silniejszy od reszty nieszczęśliwszych ofiar zarazy, które przecie codziennie zapędzałem do pracy na pokładzie.

Dokoła nas panowała tego popołudnia straszliwa martwota. Od kilku dni gromadziły się na widnokręgu niskie chmury, białe z ciemnymi wgłębieniami i ciemnym obrzeżeniem, leżące tak nieruchomo na wodzie, iż czyniły wrażenie zakrzepłych brył. Mimo to zmieniały ustawicznie swoje kształty, powoli, w sposób ledwo dostrzegalny. Pod wieczór znikwały zazwyczaj zupełnie.

Tego dnia zdawały się ociągać jak by w oczekiwaniu na odejście słońca, które dogasało wśród nich długo i posepnie, aż wreszcie zgasło za widnokręgiem. „W górze nad wierzchołkami masztów, ukazały się konstelacje gwiazd (znienawidzone przeze mnie za punktualność, z którą zapalały się na niebie), mimo to powietrze pozostało nieruchome i okropnie duszne.

Ransome, który wszedł na pokład, by zapalić lampki kompasowe, przysunął się do

mnie jak cień.

— Pan kapitan powinien zejść do kajuty i czymkolwiek się posilić — rzekł tonem perswazji.

Cichy jego głos wyrwał mnie ze stanu odrętwienia. Jakiś zły urok zdawał się trzymać mnie w swej mocy — stałem nieruchomo przy burcie, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni, bez myśli, bez czucia, nie uświadamiając sobie nawet bolesnego znużenia członków.

— Ransome! — spytałem zniechęta. — Jak dawno jestem na statku? Tracę już poczucie czasu.

— Czternaście dni, panie kapitanie. W poniedziałek upłynęło dwa tygodnie, jak opuściliśmy miejsce kotwiczne.

W jego opanowanym głosie zadźwięczała nuta smutku. Milczał przez chwilę, po czym dodał:

— Po raz pierwszy, zdaje się, będziemy dzisiaj mieli deszcz.

Zauważyłem istotnie, że szeroki, ciemny wał chmur pogasił gwiazdy nad widnokregiem, te zaś, które świeciły wysoko nad naszymi głowami, wyglądały jak przesłonięte dymem.

Skąd wzięły się te chmury i jak potrafiły tak szybko wypełznąć? Wygląd ich był złowrogi i nic dobrego nie wróżył. Powietrze pozostawało duszne, nie poruszone najbliższym powiewem. Na ponowne nalegania ze strony Ransome'a zeszedłem do kajuty, by wedle jego rady czymkolwiek się posilić. Nie zdaje mi się, aby próba całkowicie się powiodła. Musiałem niewątpliwie i w tym okresie jakoś się odżywiać, ale odbywało się to widać bez udziału mojej świadomości, gdyż wspominając te czasy gotówem przysiąc, że jedyną rzeczą, która podtrzymywała mnie przy życiu, była nieprzewyciężona trwoga, trwoga podniecająca i wyniszczająca zarazem jak piekielny jakiś narkotyk.

W tym to okresie po raz pierwszy uczułem potrzebę pisania pamiętnika — po raz pierwszy, ale nie jedyny, gdyż po wielu latach, w epoce wielkiego osamotnienia duchowego, powróciłem do tego nałogu notując nasuwające się wtedy wydarzenia i myśli. Ale to sprawa późniejsza. Skąd teraz wzięła się we mnie ta potrzeba, kto podsunął mi notatnik i ołówek, nie mogę pojąć do dziś dnia. Nie wyobrażam sobie chwili, w której bym świadomie szukał przyborów do pisania. A jednak temu tylko zawdzięczam, że nie wpadłem w śmieszny nałóg rozmawiania głośno z samym sobą.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w obydwu wypadkach rozpocząłem pisanie w tzw. sytuacji bez wyjścia, kiedy nie mogłem się spodziewać, aby mnie mój dziennik przeżył. Czyniłem to więc nie przez egotyzm, lecz w poszukiwaniu chwilowej ulgi.

Przytoczę tu małą próbkę ówczesnych moich notatek, kilkadziesiąt wierszy, które mnie samemu wydają się dziś „z innego świata”, a które kreśliłem owego wieczoru, kiedy nad statkiem gromadziły się chmury.

*

Coś niezwykłego dzieje się na niebie, coś jak by rozkład powietrza, które mimo wszystko pozostaje niewzruszone. Chmury, których obecność tak mnie niepokoi, mogą być zapowiedzią groźnej nawałnicy równie dobrze, jak nieszkodliwego deszczu. Mimo to uczuвам taką trwogę, jak by osaczyły mnie dawne grzechy. Przypisuję swoje zdenerwowanie poczuciu bezradności, statek bowiem nie słucha rozkazów i do tej chwili stoi bez ruchu. Wyobraźnia natomiast nie próżnuje ukazując mi w najczarniejszych barwach to, co stać się może. Co będzie z nami za chwilę? Prawdopodobnie nie wydarzy się nic, z równą jednak słusnością można spodziewać się najgorszego. Lada chwila może zerwać się huragan i połamać wszystkie maszty. Rozporządzam zaledwie pięciu ludźmi, których siła i żywotność starczą, przypuścmy, za dwóch. To samo niebezpieczeństwo grozi naszym żaglom. „Wszystkie co do jednego są podniesione, i to od chwili, kiedyśmy przed piętnastu dniami (czy wiekami może?) wypłynęli z ujścia rzeki Menam. Wydaje mi się teraz, że całe moje życie aż po ten pamiętny dzień usunęło się w niezmierną dal i stało się odległym, gasnącym już wspomnieniem jakiejś pogodnej krainy leżącej po tamtej stronie cienia. Tak! Żagle mogą być zerwane, a zerwanie żagli to wyrok śmierci dla załogi. Nie stać nas absolutnie na wciągnięcie nowych — rzecz pozornie nie do wiary, a jednak prawdziwa. Jeszcze groźniejsze byłoby strzaskanie masztów. Takie wypadki zdarzają się w czasie wichury przy nie dość sprawnej obsłudze statku, my zaś nie mamy nawet siły potrzebnej do przebrasowania rej!

Znajdujemy się w położeniu człowieka, któremu przed poderżnięciem gardła spętano ręce i nogi. Uświadamiam sobie — i to mnie przeraża ponad wszystko — że ja, kapitan, nie mam odwagi spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy. Powinienem w tej chwili znajdować się na pokładzie, jest to elementarnym moim obowiązkiem tak wobec statku, jak wobec załogi, tej nielicznej garstki wyczekującej mojego przybycia, by na jedno moje skinienie wyteńczyć resztę sił. Ja zaś się wzdragam przy pierwszej próbie mającej wykazać moją wartość jako komendanta, cofam się przed samym widmem niebezpieczeństwa. Teraz rozumiem, dlaczego w przeszłości nigdy sobie nie ufałem. Mam oto dowód, kim naprawdę jestem. Tchórzem i niedołągą!

*

W chwili kiedy pisałem te słowa, czy może w parę minut później, uświadomiłem sobie wyraźnie obecność drugiego człowieka w kabynie. Przy mnie stał Ransome, w wyrazie jego twarzy musiało być coś niezwykłego, gdyż drgnąłem na jego widok. Nie mogłem zrozumieć, co ten szczególny wyraz oznacza.

— Ktoś umarł! — wyrwało mi się mimo woli.

Teraz on z kolei wytrzeszczył przerażone oczy.

— Umarł? Nic o tym nie wiem. Wyszedłem z kasztelu przed dziesięciu minutami i wszyscy żyli, panie kapitanie.

Głos jego o niezmiernie miłym dźwięku działa na mnie kojąco. Ransome począł się tłumaczyć, że zeszedł na dół, aby zamknąć drzwi od kabiny Burnsa na wypadek deszczu. Nie wiedział, że jestem u siebie.

— A co tam słyszać na morzu? — spytałem.

— Okrutnie czarno, panie kapitanie. Będzie coś z tego na pewno.

— Z której strony nadciągają chmury?

— Ze wszystkich stron na raz, panie kapitanie.

— Ze wszystkich stron... — powtórzyłem bezmyślnie, nie zdejmując łokci ze stołu.

Ransome ociągał się z wyjściem, jak by jeszcze na coś czekał, a tymczasem nie bardzo wiedział, co począć ze sobą. Zapytałem go zniecierpliwiony:

— Myślicie, że powinienem być na pokładzie, co?

Odpowiedział bez wahania, ale i bez szczególnego nacisku:

— Sądzę, że tak, panie kapitanie.

Zerwałem się z krzesła, on zaś skwapliwie usunął mi się z drogi. W przedkajuciu usłyszałem głos Burnsa: — Zamknijcie moje drzwi — i zdziwioną odpowiedź stewarda: — Natychmiast, panie poruczniku.

Zdawało mi się, że moje nerwy doprowadzone są do stanu zupełnego znieczulenia, tymczasem przekonałem się po wyjściu na pokład, że trudniej mi niż kiedykolwiek utrzymać je na wodzy. Nieprzenikniona ciemność ogarniała nas z tak bliska, że zdawało się dość wyciągnąć rękę poza burtę, aby dotknąć się jakiejś namacalnej, tajemniczej substancji. Sprawiało to wrażenie niewysłowionej grozy. Nieliczne gwiazdy, które potrafiły przebić się jak żądła poprzez czarną zasłonę chmur, rzucały słaby połysk na pokład statku nie oświetlając

wcale powierzchni morza. Nigdy, jak żyję, podobnej ciemności nie widziałem. Ogarniała ona nas zewsząd jak sadza nie pozwalając zorientować się w położeniu, nie pozwalając nawet przeczuć, z której strony nadciąga niebezpieczeństwo.

Przy sterze nie było jeszcze nikogo. Statek zastygł w zupełnym bezruchu. Odnosiło się wrażenie, iż powietrze przeobraziło się w czarną ciecz, a woda w ciało stałe. Nie można było znikąd spodziewać się znaku ani obliczyć chwili, w której nadejdzie katastrofa. Wiedziałem, że bliska jest godzina, w której mrok pochłonie resztę poświaty spływającej na statek ze słabo tlejących gwiazd, a wtedy nadejdzie nieunikniony koniec. Nasze serca staną tak nagle, jak staje popsuty zegar, i niczyj jęk, niczyje westchnienie nie zdoła już zamącić wiekuistej ciszy.

To uczucie końca górowało we mnie nad wszystkimi innymi uczuciami. Opanował mnie z wolna spokój będący przedsmakiem nicości. Ślepa, milcząca wieczność przestała mnie przerażać, pogodziłem się z nią w duszy i to Sprawilo mi ulgę.

Jednakże instynkt żeglarza okazał się silniejszy ponad wszystko. Zeszedłem na główny pokład i spokojnym głosem spytałem:

— Jesteście, chłopcy?

Mimo iż gwiazdy nad naszymi głowami gasły jedna po drugiej, oczy moje potrafiły rozróżnić kilka ludzkich cieni majających w mroku. Jakiś głos odpowiedział: — Wszyscy obecni, panie kapitanie — drugi zaś poprawił go nieśmiało: — Wszyscy, co się jeszcze na nogach trzymają.

Oba głosy były spokojne i bezdźwięczne, nie zdradzały ani szczególnej gorliwości, ani zniechęcenia. Ogromnie „trzeźwe” głosy.

— Musimy postawić wielki żagiel w kierunku wiatru — rzekłem.

Cienie rozpięchły się bez słowa. Ludzie ci podobniejsi byli do własnych widm niż do ludzkich istot, a wszyscy razem ciągnąc linę ważyli tyle co wiązka bezcielesnych duchów. Śmiem twierdzić, iż postawienie tego żagla dokonane zostało tym razem mocą ducha, bez udziału mięśni, nie było bowiem na naszym statku fizycznej siły, która by takiemu zadaniu mogła sprostać. Oczywiście, sam stanąłem na czele roboty. Marynarze posuwali się za mną, potykając się i ciężko dysząc. Wysiłek ich przy ciągnięciu lin był wręcz tytaniczny. Praca zajęła nam przeszło godzinę, a przez cały ten czas w otaczającej nas ciemności nie było drgnienia ni szelestu. Gdy ostatnia linka została wreszcie umocowana, oczy moje, nawykłe do ciemności, poczęły rozglądać się po pokładzie. Rozpoznawałem sylwetki poszczególnych ludzi przewieszonych przez burtę lub skulonych na luku — jeden z nich wsparł się całym ciałem o kołowrót i nie mogąc złapać oddechu szlochał po prostu z wysiłku. Stałem wśród nich jak uosobienie siły — nie tknięty przez zarazę, a mimo to zbolący i chory, chory do głębi

duszy. Milczałem czas jakiś zmagając się z osaczającymi mnie wyrzutami sumienia, z poczuciem własnej niegodności, wreszcie rzekłem:

— No, chłopcy, musimy jeszcze skantować reje wielkiego masztu. To wszystko, co możemy zrobić dla statku. A potem... potem nie pozostanie już nic innego, jak zdać się na jego odporność.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po wyjściu na pokład rufy pomyślałem, że nie można jednak steru zostawiać dłużej bez obsługi. Na mój rozkaz, wypowiedziany głosem niewiele donośniejszym od szeptu, wyłonił się z ciemności milczący duch w wyniszczonym przez gorączkę ciała, z głęboko wpadniętymi oczyma, które jarzyły się w świetle lampki kompasowej na tle nieprzeniknionej nocy. Obnażone przedramię, które wyciągnął ku szprychom koła, zdawało się świecić własnym fosforycznym światłem.

Zwróciłem się do tego fosforyzującego widma:

— Ster na wprost.

Upiór odpowiedział zbolalym głosem:

— Rozkaz, panie kapitanie.

Zeszedłem znów na główny pokład. Niepodobna było przewidzieć, kiedy zerwie się wichura, ciemność bowiem uniemożliwiała wszelką obserwację; gdziekolwiek zwróciłem oczy, zdawało mi się, że spoglądam w czarną, bezdenną jakąś studnię. Trzeba się jednak było upewnić, czy wszystkie liny zostały uprzątnięte z pokładu, co można było stwierdzić jedynie za pomocą dotyku. Posuwając się niezmiernie powoli i ostrożnie, natknąłem się na jakiegoś człowieka, w którym z samej budowy ciała rozpoznałem Ransome'a. Nikt inny wśród naszej załogi nie posiadał tak jędrnej muskulatury. Wsparty o kołowrót, dyszał ciężko nie odzywając się ani słowem. Spotkanie go w tym miejscu było dla mnie rewelacją — on to był ową nieszczęsną, skuloną postacią, którą zauważyłem przed odejściem na rufę. Jakże się wtedy zmagał nie mogąc pochwycić oddechu!

— Pomagaliście przy stawianiu żagla! — krzyknąłem stłumionym głosem.

— Tak, panie kapitanie — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Człowieku! Jak można było? Nie wolno wam robić takich wysiłków!

Milczał przez chwilę, po czym skinął głową:

— Wiem, że nie powinienem — i po krótkiej przerwie dodał: — Teraz mi już dobrze — czemu zresztą przeczył przyspieszony jego oddech.

Zdawało się wśród ciszy i ciemności, że oprócz nas dwóch nie ma nikogo na pokładzie, jednakże na moje zawołanie od razu wynurzyło się z mroku kilka ludzkich cieni manifestując swą obecność smutnym pomrukiem. Wydałem rozkaz ściągnięcia wszystkich Szkotów na pokład, aby je mieć pod ręką w razie potrzeby. Ransome pierwszy zgłosił się na ochotnika.

— Już ja się tym zajmę, panie kapitanie — rzekł swoim miłym głosem, którego brzmienie zawsze dodawało mi otuchy budząc jednocześnie rodzaj szczególnego współczucia. Człowiek ten był tak wyczerpany, że pierwszym moim obowiązkiem było odesłać go na spoczynek. Nie czując się jednakże na siłach do przewyciężenia jego uporu, w razie gdyby rozkazu nie usłuchał, poprzestałem na napomnieniu:

— Spokojnie, Ransome, nie trzeba się wysilać.

To rzekłszy powróciłem na rufę i podszedłem do Gambrilla, któremu był poprzednio pozostawił przy sterze.

W oświetleniu lampki kompasowej twarz jego z wydrążonymi oczodołami wyglądała po prostu okropnie. Robiła wrażenie maski pośmiertnej. Zapytałem go, jak się czuje, nie spodziewając się zresztą odpowiedzi od starego mruka, toteż zdziwiła mnie względna jego wielomówność:

— Po tych poszkodnych dreszczach to człowiek czuje się słaby jak kociak — rzekł omdlałym głosem, zachowując przy tym, jak przystało na sternika, wyraz obojętności na wszystko, co nie łączyło się bezpośrednio z jego funkcją. — A co się trochę skrzepię, to znów przychodzi gorączka i resztę sił odbiera.

Westchnął. W głosie jego nie było skargi, ale same słowa aż nadto mnie oskarżały. Przez chwilę przejmujące uczucie skruchy odjęło mi zdolność mowy i dopiero po otrząśnięciu się z przykrego wrażenia spytałem:

— Czy potraficie utrzymać ster w razie cofania się statku? Złe by z nami było, gdyby się teraz coś popsuło w mechanizmie. Dość mamy trudności i bez tego.

Odpowiedział z odcieniem zniechęcenia w głosie, że steru z rąk nie wypuści, poza tym nic obiecywać nie może.

W tej samej chwili zjawił się przy nas Ransome, którego postać wynurzyła się z cienia tak niespodziewanie, jakby ją Stwórca zniecka wywołał z nicości. Stojąc w pełnym blasku lampki kompasowej ze spokojnie uśmiechniętą twarzą oznajmił miłym, harmonijnym głosem:

— Szkoty są już na pokładzie gotowe do użytku. Ściągnęliśmy je po omacku, bo nie widać nic. Frenchy umieścił się na dziobie statku: to zuch, panie kapitanie, upewnia, że stać go jeszcze na parę podskoków.

Blady uśmiech przewinął się po wargach Ransome'a łagodząc mocny ich zarys. Z niezmaconą pogodą w wejrzeniu siwych, poważnych oczu, z nieugiętym hartem ducha dorównującym sile jego mięśni, Ransome był człowiekiem wprost nieocenionym, a przy tym jedynym, na którego sile fizycznej można było polegać. (Drugi wyjątek pod tym względem stanowiłem ja sam, ale wobec konieczności zachowania swobody poruszania się nie mogłem

siebie brać w rachubę.) Przyszło mi na myśl, czyby mu teraz nie powierzyć steru. Poniechałem jednak tego zamiaru przypomniawszy sobie w porę o ukrytym wrogu, jakim było chore jego serce. Nie znając wcale zasad fizjologii sądziłem, iż każdy nadmierny wysiłek może sprowadzić nagłą śmierć, i to w najkrytyczniejszym momencie.

Przyszło mi to na myśl w chwili, kiedy już miałem wydać zarządzenie, i słowa zamarły mi na ustach. Tymczasem Ransome wycofał się z oświetlonej części pokładu równie cicho, jak się był ukazał.

Dziwny niepokój ogarnął mnie po jego odejściu, Jak by pozbawiono mnie nagle ostatniej podpory. Ruszyłem także ku przodowi statku, przechodząc z oświetlonego kręgu w nieprzejrzaną ciemność, która opasywała nas zewsząd jak mur. Zostałem przez nią wchłonięty w jednej chwili. Nie inaczej musiały wyglądać ciemności przed stworzeniem świata. Ledwo postąpiłem parę kroków, a już stałem się niewidzialny dla marynarza przy sterze, gdyż noc zamknęła się za mną jak wierzeje. Musiał teraz czuć się osamotniony, podobnie jak osamotniony czułem się ja sam i każdy człowiek znajdujący się na tym statku. Zniknęły, zatarły się nawet kształty poszczególnych przedmiotów: oko nie rozróżniało już ani masztów, ani rej, ani burt — wszystko zapadło w otchłań nieprzeniknionej ciemności.

Ukazanie się błyskawicy byłoby w tej chwili ulgą, ulgą dla mego fizycznego ustroju. Modliłbym się o nią, gdyby nie lęk przed hukiem piorunu. Zdawało mi się, że przy napięciu nerwowym, w jakim się znajduję, napięciu wywołanym nadmiarem ciszy, wystarczy jednego grzmotu, by zetrzeć mnie na proch. Zerwanie się burzy z piorunami zdawało się teraz rzeczą nieuniknioną. Czekałem jej z zapartym oddechem, zeszywniały, skamieniały ze zgrozy. A tu nic! Wciąż ta sama grobowa cisza, od której można się wściec! W pewnej chwili uczułem głuchy, wzmagający się ból w dolnej szczęce, wskazujący, że musiałem zgrzytać zębami, i to od dłuższego czasu. Jakkolwiek dziwne się to może wydawać, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co czynię, i teraz potrzeba było ogromnego wysiłku z mojej strony, aby ruch szczęki opanować. Mimo skupienia uwagi w tym kierunku, w pewnej chwili usłyszałem jakiś szczególniejszy szelest, który natychmiast zbudził moją czujność. Były to dziwne, nieregularne odgłosy jak by cichego stukania w pokład. Odgłosy pojedyncze, parzyste, to znów zlewające się w jakiś monotony pomruk. Zanim zdołałem zorientować się, co to być może, otrzymałem lekkie uderzenie w okolice lewego oka i uczułem wielką łzę spływającą po moim policzku. Deszcz! Olbrzymie krople deszczu, zwiastunki nadchodzącej burzy. Tap, tap, tap... Zwróciłem się natychmiast do Gambrilla przestrzegając go, aby mocno trzymał koło. Głos mój łamał się ze wzruszenia. Nie ulegało już wątpliwości, iż fatalna chwila nadchodzi. Wstrzymałem oddech. Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu wszystko nagle umilkło i nastął

znowu moment nieznośnego zawieszenia — zdawało mi się, iż leżę rozciągnięty na łożu tortur, wsłuchując się w powolne przykręcanie śruby. Nie wyobrażałem sobie nigdy, aby można było krzyczeć z rozdrażnienia, w tej chwili jednakże nasuwała mi się myśl: „Nie pozostaje nic innego, jak krzyczeć na cały głos!” Nagle — jakże to wyrazić słowami? — ciemność przemieniła się w wodę. Innego porównania nie znajduję. Ulewa, a choćby rześisty deszcz, przychodzi przy akompaniamencie szumu; wyczuwa się nadsięgnięcie takiej nawałnicy po plusku wody, po ochłodzeniu się powietrza. Tu było inaczej. Bez żadnej zapowiedzi, bez szumu i plusku, bez wyczuwalnego zetknięcia się z deszczem, zostałem w jednej chwili skąpany w potokach wody. Ponieważ miałem na sobie tylko piżamę, nic dziwnego, że nie było na mnie suchej nitki. Woda spływała mi po całym ciele, wsiąkała we włosy, napelniała nos, uszy i oczy. W ciągu niespełna minuty połknąłem jej chyba parę wiader.

Biedny Gamibrill o mało się nie udusił. Prychał niemiłosiernie, zanosząc się co chwila kaszlem, urywanym kaszlem chorego człowieka. Widziałem go teraz jak poprzez mętne szkło: przypominał rybę w akwarium, jakąś dziwną, fosforyzującą stworę oglądaną przy świetle elektrycznym. Na szczęście, nie ciskał się jak ryba, przeciwnie, siedział nieruchomo. Nie wiedzieliśmy jeszcze obaj, jaka nas czeka niespodzianka: oto nagle lampki przy kompasie zgasły prawie równocześnie. Woda musiała wdrzeć się pod szkło, co wydawało się rzeczą niemożliwą, były bowiem na pozór obsadzone bardzo szczelnie.

Znikł ostatni przeblysłk światła, a zniknięciu jego towarzyszył cichy okrzyk zgrozy wydany przez sternika. Odnalazłem po omacku jego ramię. Jakże strasznie było wychudzone!

— To nic — rzekłem siląc się na spokój. — Światło nie jest nieodzowne. Skoro tylko wiatr się zerwie, manewrujcie tak, aby dmuchał wam prosto w ciemność. Nic więcej nie trzeba. Rozumiecie?

— Rozumiem, panie kapitanie... Ale jakże tu bez światła?... — bąkał zdenerwowanym głosem.

Przez cały ten czas statek stał nieruchomo jak wmurowany w wodę. Szum ulewy spływającej z żagli i rej, rozlewającej się po pokładzie rufy, nagle umilkł całkowicie. Woda bulgotała jeszcze przez chwilę w dziurach odpływowych, co brzmiało jak głośnie szlochanie, po czym znów nastąpiła cisza połączona z absolutnym bezwładem.

Zły urok najwidoczniej nie został przełamany! Równie jak przedtem bezsilni, staliśmy wobec grozy jakiegoś niewiadomego jeszcze, a już bliskiego rozwiązania, którego tajemnicę znała tylko ta noc opasująca nas murem ciemności.

Nie mogąc ustać na miejscu, ruszyłem niespokojnie przed siebie. Nie potrzeba mi było światła, aby rozeznąć się na pokładzie mego nieszczęsnego statku. Każda stopa kwadratowa

tego pokładu wyryta była w moim mózgu, znałem każdy sęk, każdą chropowatość deski. Jednakże nagle potknąłem się o coś i runąłem jak długi, głową naprzód. Przedmiot ten był olbrzymi, żywy. Nie pies, raczej baran — ale na statku nie było zwierząt! Skądże więc? Przerażenie wprost nieludzkie podniosło mi włosy na głowie. Zerwałem się, oszalały ze strachu — nie jak człowiek, którego zdrowy rozum usiłuje zapanować jeszcze nad sytuacją, ale jak małe, bezbronne, nieprzytomne dziecko.

Ciemność, jak gdyby splukana przez ulewę, przeredziła się o tyle, że mogłem rozróżnić kształty okropnej stwory mającej przede mną w mroku. Niedźwiedź — nie niedźwiedź?... Wśród najfantastyczniejszych przypuszczeń, jakie podsuwała mi rozszalała wyobraźnia, jedno tylko absolutnie nie przyszło mi do głowy: że Burns wyłazi na czworakach ze schodni! Gdy się nagle wyprostował ruchem niedźwiedzia stojącego na tylne łapy pochwyliłem go wpół, on zaś ryknął jak prawdziwy zwierz. Ledwo można było domacać się jego chudych członków pod fałdami olbrzymiego płaszcza z grubej włochatej wełny, pod którego ciężarem po prostu załamywał się. Jednakże głos, jaki ze siebie wydobył, miał siłę brzmienia zupełnie nieoczekiwaną:

— Przeklęty statek z tchórzliwą, niemą załogą! Czemu ci ludzie stąpają na palcach, czemu żaden z nich nie tupnie nogą, nie otworzy gęby przy ciągnięciu brasów?

Czyż wśród tej gromady niedołęgów nie znajdzie się ani jeden, który by potrafił siarczyście zakląć?

A zwracając się wprost do mnie:

— Przekradanie się do niczego nie prowadzi. Nie można przemknąć się cichaczem obok takiej cwanej bestii. Nic nie wskóracie tym sposobem. Trzeba stanąć mu do oczu śmiało, zuchwale, tak jak ja to dawniej robiłem. Zdobądźcie się wreszcie na odwagę! Wziąć się za bary z napastnikiem, pokazać mu, że drwimy sobie z jego sztuk diabelskich, oto jedyny sposób!

— Na miłość boską, co pan wygaduje, panie Burns! — krzyknąłem w najwyższej pasji. — Po co pan w takim stanie wyłaził na pokład?

— Odwagi, powtarzam, odwagi! Inaczej nie pokonamy tego zbója!

Popchnąłem go ku burcie.

— Trzymaj się pan poręczy — rzekłem brutalnie.

Nie wiadomo było, co począć z tym człowiekiem. Pozostawiłem go losowi kierując się w stronę steru, skąd dochodziło mnie słabe wołanie Gambrilla. Oznajmił mi, że górą zrywa się wiatr; rzeczywiście usłyszałem w tej chwili, het, wysoko nad naszymi głowami, szczęk łańcuszka w ożaglowaniu i lekkie łopotanie mokrych płacht.

Nieuchwytne, ostrzegawcze dźwięki rozlegały się raz po raz wśród śmiertelnej ciszy. Powietrze wkoło nas pozostawało nieruchome. Wszystkie opowiadania, które słyszałem kiedykolwiek o niezwykłych wybrykach wiatru, ożyły teraz w mej pamięci. Zdarzało się przecież, że wiatr ciągnący górą druzgotał wierzchołki masztów nie muskając nawet pokładu, na którym panowała taka cisza, że zapalona zapalka paliła się równym płomieniem.

— Nie widzę wcale górnych żagli, panie kapitanie — skarżył się Gambrill roztrzęsionym głosem.

— Wszystko będzie dobrze, nie poruszajcie tylko steru — uspokajałem go sugestywnym tonem.

Nerwy tego biedaka odmawiały posłuszeństwa. I ze mną nie było lepiej, choć przełomowa chwila właściwie już nadeszła. Statek ruszył z miejsca, czego dowodem było dziwne uczucie, że pokład usuwa mi się spod nóg. Słyszałem wyraźnie poświst wiatru nad głową i trzeszczenie górnych rej pod naporem powietrza, mimo iż najlżejszy nawet powiew nie musnął mojej twarzy zwróconej ku rufie, twarzy niewidomej i zastygłej jak maska ślepego człowieka.

Nagle silniejszy łopot napełnił nasze uszy, a ciemność, jak by zbudzona z odrętwienia, otarła się o nas z bliska, wywołując przejmujące uczucie chłodu. Zatrzęśliśmy się obaj z zimna w naszych przemokłych bawełnianych kurtkach. Rzekłem do Gambriila:

— Wszystko dobrze, bracie. Starajcie się tylko tak manewrować, aby wiatr dmuchał wam prosto w ciemność. Na ten wysiłek was stać. Nawet dziecko potrafiłoby kierować statkiem przy tak spokojnej wodzie.

— Ej, zdrowe dziecko, panie kapitanie — odparł z cichym westchnieniem. Mnie zaś ogarnęło uczucie głębokiego wstydu. Choroba, wysysająca bezlitośnie siły całej załogi, pominęła mnie jednego jak by rozmyślnie po to, by zaostrzyć moje wyrzuty sumienia, by wykazać mi niegodność i cięższym jeszcze uczynić brzemię odpowiedzialności.

Statek tymczasem uzyskał gwałtowny pęd, mimo iż powierzchnia morza pozostała spokojna. Czulem jego posuwanie się, słyszałem cichy, tajemniczy szmer rozstępującej się wody. Poza tym nie odczuwało się ani bocznego, ani podłużnego kołysania się statku. Ta nieruchomość wody sprawiała przygnębiające wrażenie, tym bardziej iż od osiemnastu dni nie widzieliśmy ani razu rozkołysanego morza. Zauważywszy, iż powietrze nagle się ochłodziło, pomyślałem, że byłby najwyższy czas zająć się usunięciem Burnsa z pokładu. Ten człowiek stał się moją zmorą. Odnosiłem się do niego jak do szaleńca, po którym wszystkiego można się spodziewać. Któż mógłby mi rzeczywiście zaręczyć, że ten wariat nie zacznie nagle rzucać się po pokładzie, nie połamie sobie rąk i nóg lub nie wyskoczy za burtę?

Toteż doznałem niemałej ulgi dostrzegłszy, że stoi nieruchomo w tym samym miejscu, w którym zostawiłem go przed chwilą. Uwieszony u burty, gadał sam ze sobą wydając złowrogie pomruki. To mnie znów zaniepokoiło. Odezwałem się głosem jak najnaturalniejszym:

— Nie mieliśmy ani razu takiego wiatru, odkąd opuściliśmy szlaki wodne.

— Bardzo pocieszająca okoliczność — mruknął tonem człowieka przytomnego i zupełnie świadomego sytuacji.

Lecz zaraz dodał:

— Już był najwyższy czas, abym zjawił się na pokładzie. Na to tylko czekałem, na to gromadziłem siły, rozumie pan nareszcie?

Upewniłem go, że rozumiem, starając się przy tym namówić go, aby udał się na spoczynek do kabiny.

— Do kabiny?! — wykrzyknął z najwyższym oburzeniem. — Nie, panie. Przytomnego mnie tam nie sprowadzicie.

Wesoła perspektywa! Nie wiedziałem już zgoła, co czynić z tym wariatem, którego na domiar ogarnął szal mówienia. Ciemność nie pozwalała mi widzieć jego twarzy, ale sam dźwięk głosu zdradzał szalone podniecenie:

— Pan nie wie, jak trzeba postępować, bo skądże by pan mógł wiedzieć? Te szepty, to chodzenie na palcach nie prowadzą do niczego. Niepodobna przemknąć się niepostrzeżenie koło tak czujnej i drapieżnej bestii, jaką był ten zbój. Pan nie słyszał go nigdy mówiącego! Włosy stawały nagłowię... Nie, nie, to wcale nie był wariat, a tylko do gruntu zły, do gruntu przewrotny człowiek. Terroryzował ludzi złością. Ja panu powiem, co to był za typ:

złodziej i morderca, jeśli nie w czynach swoich, to w zamysłach. Tak! Złodziej i morderca. Pan może myśli, że zmienił się po śmierci? Ani trochę! Tacy ludzie nie zmieniają się nigdy. I cóż z tego, że jego trup leży na sto sążni pod nami, pod 8°20' szerokości północnej?... On pozostał takim, jakim był...

Burns urwał i prychnął wyzywająco. Ogłuszony jego wymową, zauważyłem z rezygnacją, że wiatr się trochę uciszył. Nieszczęsny maniak wrócił do swego tematu:

— Powinienem być wyrzucić go za burtę, jak się wyrzuca zdechłego psa! Powstrzymał mnie tylko wzgląd na ludzi. Czy może pan wyobrazić sobie odczytywanie modlitw nad takim zwierzęciem? „Nasz brat, spoczywający w Bogu.” Ach, jakże mi się chciało śmiać! Trzeba zaś panu wiedzieć, że tej jednej rzeczy absolutnie nie mógł znieść — właśnie śmiechu. Byłem jedynym człowiekiem, który mu się w oczy śmiał. Gdy był chory, drażniło go to w okropny sposób. Brat! Ładny brat! Wołałbym rekina nazwać bratem.

Wiatr ustał w tej chwili tak nagle, że mokre płachty żagli, odrzucone przez pęd statku, ciężko uderzyły o maszt. Klątwa bezwładu znowu zawisa nad nami. Zdawało się, że nie ma już wyjścia z zaczarowanego koła.

— Halo! Cisza! — zawołał Burns ze zdumieniem. Ja zaś, zapominając na chwilę o nieszczęsnej jego manii, odrzekłem z głęboką goryczą:

— Ma pan próbę tego, z czym walczę od siedemnastu dni. Podmuchał wiatru, potem cisza, a za chwilę, zobaczy pan, statek wykręci się zniecka, jak człowiek na pięcie, i diabli go poniosą, nie wiadomo dokąd!

— Nie diabli, lecz zawsze ten sam stary przeklęty bies! — wykrzyknął przeraźliwym głosem i nagle zaniósł się śmiechem tak okropnym, jakiego nigdy przedtem nie słyszałem. Był to istny atak śmiechu, drwiący, wyzywający rechot, od którego cierpła skóra i włosy powstawały na głowie.

Na głównym pokładzie wnet się zakotłowało. Wśród ciemności odezwały się strwożone głosy, z których jeden wybił się ponad inne:

— A tam co znowu? Zwariował kto, u licha?

Myśleli może, biedacy, że to ja, ich kapitan. Słowo „pośpiech” nie da się zastosować do najszybszych nawet poruszeń tej nieszczęsnej gromadki, jednakże w zadziwiająco krótkim czasie wszyscy ci, co jeszcze jako tako trzymali się na nogach, znaleźli się przy mnie na rufie.

— To porucznik! — zawołałem do nadbiegających. — Niech kilku ujmie go pod pachy...

Spodziewałem się, iż wszystko skończy się okropną jakąś bójką. Tymczasem szyderczy rechot Burnsa umilkł nagle, on zaś zwrócił się wyniośle w stronę marynarzy i począł im urągać:

— A co? Odnaleźliście języki w gębie? Chowaliście się dotąd jak psy! Myślałem, żeście wszyscy oniemieli, że nie ma na statku żywego chłopca. No, więc śmieJCie się teraz, śmieJCie się, mówię! Wszyscy razem! ŚmieJCie się! Raz, dwa, trzy!...

Nastąpiła chwila ciszy, ciszy tak zupełnej, że słyszałoby się szpilkę osuwającą się na pokład. Po pewnym czasie rozbrzmiał w ciemności spokojny głos Ransome'a:

— Zdaje się, że zemdłał, panie kapitanie.

Wśród zebranych dało się słyszeć westchnienie ulgi.

— Trzymam go wpół — rzekłem — a niech tam który ujmie go za nogi.

Tak, stanowczo doznaliśmy ulgi. Wariat był obezwładniony, przynajmniej na jakiś czas. Byłem najgłębiej przekonany, że moje nerwy nie zniosłyby absolutnie drugiej takiej sceny. Ledwo to sobie pomyślałem, kiedy Gambrill, nasz milczący i posepny Gambrill,

uczęstował nas drugą serenadą. Śpiewnym głosem, który żałośnie rozbrzmiewał wśród ciemności, wzywał ratunku:

— Chodźcie tu! Niech ktokolwiek mnie wyręczy! Nie mogę już wytrzymać. Za chwilę statek się wykręci...

Sam skoczyłem mu na pomoc. Uczułem na twarzy silny podmuch wiatru, którego zbliżanie się pochwycił czujny słuch Gambrilla. Wiatr wzdął w jednej chwili żagle wielkiego masztu, wśród których dało się słyszeć głucho łopotanie, zmieszane ze skrzypieniem rej. Nadbiegłem w porę, ledwo bowiem zdążyłem pochwycić za koło, Gambrill zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie podtrzymały go ramiona towarzysza. Frenchy, on to bowiem dopadł ślaniającego się Gambrilla, złożył go na pokładzie rufy i nakazawszy mu zupełny spokój przyszedł zastąpić mnie przy sterze.

— Jak mam manewrować, panie kapitanie? — spytał naturalnym głosem.

— Na razie zupełnie pod wiatr. Przyślę wam tu zaraz światło.

Skierowałem się ku przodowi statku i tu, oczywiście! spotkałem Ransome'a niosącego zapasową lampkę. Ten człowiek wszystko dostrzegał, na wszystko znajdował radę. Każdym swym poruszeniem dodawał ludziom otuchy. Przechodząc teraz koło mnie zauważył pogodnym, kojącym głosem, że ukazały się na niebie gwiazdy. Tak było w istocie. Wiatr rozdarł chmury, przesłaniające niebo powłoką gęstej sadzy, i nareszcie rozkołysał nieruchome morze.

Strasliwe milczenie, opasujące nas od tak dawna, zostało ostatecznie przełamane. Czuję to wyraźnie. Osunąwszy się na ławeczkę przy luku, przypatrywałem się majaczącej w ciemności białej wstędze piany. Po raz pierwszy od wieków — od wieków! Byłbym chyba krzyczał z radości, gdyby nie przytłaczające mnie poczucie winy. Przedemną stanął znowu Ransome.

— Co się dzieje z porucznikiem? — spytałem niespokojnie — czy ciągle nieprzytomny?

— Szczególna rzecz, panie kapitanie, nie mówi ani słowa i oczy ma ciągle zamknięte. Ale mnie się zdaje, że po prostu śpi.

Ransome wyglądał na człowieka szczerze zdumionego. Zgodziłem się na jego hipotezę tym skwapliwiej, że to przypuszczenie pociągało za sobą najmniej kłopotu. Nie mogłem żadną miarą zajmować się teraz osobą Burnsa. Musiał być pozostawiony własnemu losowi bez względu na to, czy obecny jego stan oznaczał zdrowy sen, czy głębokie omdlenie.

— Pan powinien się czymś okryć, panie kapitanie — zauważył nagle Ransome.

— I ja tak myślę — odpowiedziałem z westchnieniem, ale nie ruszyłem się z miejsca.

Potrzeba mi było czegoś więcej niż ciepłego okrycia, a mianowicie nowych rąk i nóg. Moje stały się zupełnie bezużyteczne, choć bólu w nich nie czułem. Gdy Ransome przyniósł mi płaszcz, stwierdziłem z pewnym zdziwieniem, że mogę jeszcze wstać i naciągnąć go na siebie, słysząc zaś, że idzie „ściągnąć Gambrilla na główny pokład”, nie zawahałem się z ofiarowaniem mu swojej pomocy.

Okazało się, że stać mnie i na ten wysiłek. Dźwignęliśmy chorego na nogi. Biedak starał się stąpać o własnej mocy, ale przez całą drogę nagabywał nas żałością:

— Nie upuśćcie mnie tylko z drabiny! Na miłość boską, nie upuśćcie mnie z drabiny!

...

*

Wiatr stawał się coraz chłodniejszy i dął ze wzmożoną siłą. O świcie udało nam się dzięki ostrożnemu manewrowaniu sterem sprawić, że reje skantowały się same, a potem osiągnąć zwrot przez naciągnięcie lin. Z czterech ludzi, którzy pracowali ze mną w ciągu nocy, pozostało nad ranem tylko dwóch; nie śmiałem dopytywać się o nieobecnych pocieszając się myślą, że musieli zasnąć chwilowo.

Praca na przedzie statku zajęła nam dobrych parę godzin, gdyż dwaj pozostali marynarze poruszali się jak żółwie i co chwila musieli wypoczywać. Jeden z nich zauważył ze zdziwieniem, że „każdy przedmiot na statku waży teraz sto razy więcej niż dawniej”. Była to zresztą jedyna skarga, jaką z ich ust usłyszałem. Nie wiem, czybyśmy byli sprostali zadaniu, gdyby nie pomoc nieocenionego stewarda. Pracował z nami bez wytchnienia, nie mówiąc ani słowa, z bladym uśmiechem zastygłym na wargach. Od czasu do czasu upominałem go łagodnie:

— Nie wysilajcie się, Ransome. Powoli, powoli... — na co odpowiadał mi szybkim, pojętnym spojrzeniem.

Dokonawszy wszystkiego, co można było uczynić dla zabezpieczenia statku, Ransome wycofał się do kambuza. W jakiś czas później dostrzegłem mimochodem jego postać poprzez uchylone drzwi. Siedział na skrzynce naprzeciwko pieca, wyprostowany, z głową w tył przechyloną i wspartą o ścianę, z zamkniętymi oczyma. Sprawne jego ręce odgarniały z piersi cienką, bawełnianą koszulę, odsłaniając tragicznym gestem potężną klatkę piersiową podnoszoną ciężkim, mozolnym oddechem. Nie zauważył mojej obecności.

Wycofawszy się jak najciszej, poszedłem na pokład rufy, aby wyręczyć sternika, który

przez ten czas osłabł zupełnie. Biedny Frenchy usiłował dopełnić wszystkich formalności przy oddawaniu mi steru i wykazać sprężystość kroku, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i odchodząc zatoczył się dwa razy jak pijany.

Pozostałem przy sterze sam, kierując opustoszałym statkiem, który mknął pod pełnym wiatrem, unosząc się i opadając, a nawet z lekka kołysząc się na boki. Po pewnym czasie ujrzałem Ransome'a zbliżającego się do mnie z tacą w ręku. Na widok jadła uczułem zwierzęcy głód. Oddawszy ster stewardowi, usadowiłem się na tylnym luku, by spożyć przyniesione śniadanie.

— Ten wiatr nie przysłużył się naszym ludziom — mruknął Ransome. — Położył ich co do jednego.

— Tak — rzekłem — zdaje się, że już tylko my dwaj ruszamy się jako tako.

— Frenchy twierdzi, że stać go jeszcze na parę podskoków. Nie wiem, nie wyobrażam sobie, aby to mogło być wiele... — tu Ransome uśmiechnął się po swojemu.

— Dzielny z niego chłopiec, w każdym razie. — A po chwili milczenia dodał: — Co będzie, panie kapitanie, jeśli zbliżymy się do lądu, zanim wiatr przycichnie?

— Co będzie? Ha! Nie unikniemy strzaskania masztów albo rozbicia się o brzeg. Może nawet nastąpić i jedno, i drugie. Nic na to nie poradzimy. Statek mknie teraz jak strzała, i jedyna nadzieja w tym sterze. Nie mamy przecie załogi!

— Tak, cała załoga powalona — powtórzył spokojnie steward. — Zaglądam do chorych od czasu do czasu, ale w czymże ja im mogę pomóc? W niczym, doprawdy w niczym.

— Przeciwnie, Ransome. I ja, i statek, i załoga, wszyscy, ilu nas jest, zawdzięczamy wam nieskończenie wiele — rzekłem z prawdziwym wzruszeniem.

Udał, że mnie nie słyszy, i milcząc sterował dalej, dopóki nie przejąłem od niego steru. Wówczas podniósł tacę zostawioną na luku i zabierając się do odejścia powiedział:

— Pan Burns już się obudził, panie kapitanie, i ma ochotę powrócić na pokład. Nie wiem, jak temu zapobiec, bo doprawdy nie mogę przy nim siedzieć.

Oczywiście, nie było mowy o pilnowaniu nieszczęsnego Burnsa. Jakoż ujrzałem go wkrótce, jak z trudem gramolił się na rufę, uginając się pod ciężarem ogromnego płaszcza. Widok tego człowieka nappełnił mnie zrozumiałą trwogą. Perspektywa słuchania jego bredni o podstępnych knowaniach nieboszczyka, w chwili kiedy trzymałem ster statku pędzącego z zawrotną szybkością, a unoszącego konających ludzi, przechodziła wytrzymałość moich nerwów.

Pierwsze uwagi Burnsa były jednak rozsądne i utrzymane w tonie zupełnie

spokojnym. Nie pamiętał zapewne o niedawnym zajściu, a przynajmniej nie wspominał o nim ani jednym słowem. Usposobiony był raczej małomównie. Obserwując go siedzącego nieruchomo na luku przerażony byłem w pierwszej chwili okropnym jego wyglądem. Zauważyłem jednak ze zdziwieniem, że gwałtowny wicher, który tak zabójczo oddziaływał na innych chorych, jemu, przeciwnie, zdawał się przywracać siły. Można było niemal śledzić powolne odradzanie się tego nieszczęsnego organizmu pod wpływem ożywczych podmuchów wiatru.

Chcąc przekonać się, w jakimi stanie umysłu znajduje się mój rekonwalescent, zagadnąłem go podstępnie o nieboszczyka kapitana. Ku memu zdziwieniu Burns nie okazał szczególniejszego zainteresowania się tym przedmiotem. Opowiedziawszy mi raz ‘jeszcze od początku, nie bez mściwego upodobania, historię „starego zbrodniarza”, zakończył swą opowieść zwrotem zgoła nieoczekiwanym:

— Była to niewątpliwie choroba umysłowa, która musiała nurtować go od roku, jeśli nie od kilku lat.

Postęp niesłychany! W innych okolicznościach wyznanie to przejęłoby mnie prawdziwym zachwytem, ale w tej chwili nie odczułem całej jego doniosłości mając umysł zaprzątnięty wyłącznie sterowaniem.

W porównaniu z beznadziejną martwotą poprzednich dni szybkość, z jaką posuwaliśmy się teraz, była wprost zawrotna. Spod dzioba statku wykwitwały dwie wstęgi piany, a wiatr huczał nieustannie nad naszymi głowami, zawodząc zuchwałą pieśń, której dzika melodia wydałaby mi się w innych okolicznościach najwyższym wyrazem potęgi i radości życia. Ilekroć podniesiony wielki żagiel wzdymał się pod naporem wiatru, grożąc rozerwaniem na strzępy w swym olinowaniu, Burns podnosił głowę i spoglądał na mnie z niepokojem.

— Cóż ja na to poradzę, panie Burns? Nie możemy ani zwinąć żagla, ani go rozciągnąć. Już bym wolał, aby wichura zupełnie go zerwała, nie byłoby przynajmniej tej piekielnej muzyki.

Burns załamał nagle ręce i wykrzyknął:

— Jakże pan wprowadzi statek do portu nie mając ludzi do obsługi?

Nie mogłem mu na to odpowiedzieć.

A jednak w czterdzieści godzin później stało się to faktem dokonany. Egzorcyzmy Burnsa okazały się skuteczne. Piekielny jego śmiech pokonał złośliwego upiora, zły urok został przełamany, klątwa zdjęta. Jakaś dobra i energiczna opatrzność ujęła w swoje ręce losy nieszczęsnego statku, popychając go naprzód z szybkością wprost zawrotną.

Nie zapomnę nigdy ostatniej nocy, ciemnej, wietrznej, gwiazdzistej. Siedziałem przy sterze. Burns, po otrzymaniu ode mnie solennej obietnicy, że w razie potrzeby nie pożałuję mu kopniaka, ułożył się na pokładzie obok szafki kompasu i zasnął kamiennym snem rekonwalescenta. Ransome, wsparty plecami o bezanmaszt, siedział zupełnie nieruchomo, szczelnie owinięty kocem; o ile mogłem zauważyć, nie zmrużył oka przez całą noc. Żwawy i odporny Frenchy pod wpływem, złudzenia, że stać go jeszcze na parę podskoków, uparł się dotrzymać nam kompanii, ale posłuszny rozkazowi, położył się na drugim końcu rufy, gotowy na każde wezwanie. Sterowałem w milczeniu, bez przerwy, tak wyczerpany fizycznie, że nie stać mnie było ani na refleksje, ani na uczucie trwogi. Miewałem chwile posępnej egzaltacji, po której następowało straszne przygnębienie, nie mogłem bowiem zapomnieć, że tam, w przednim kasztelu, leżą ludzie trawieni gorączką, może już w agonii — z mojej winy, z mojej wielkiej winy. Odganiałem te myśli. Na później wyrzuty sumienia! Teraz całą uwagę trzeba było skupić na sterowaniu.

Pod koniec nocy wiatr się uspokoił, po czym ucichł zupełnie. Około godziny piątej uczułem znowu lekki powiew, umożliwiający nam żeglowanie w kierunku redy.

Świt zastał nas przy pracy. Sternikiem był Burns, którego przymocowaliśmy sznurem do kraty luku; białe, kościste jego ręce, wydobywające się z olbrzymich rękawów, kierowały biegiem statku, podczas kiedy reszta załogi (tj. Ransome i ja) uwijała się po pokładzie, luzując żagle i szkoty. Uporawszy się z tą robotą skoczyliśmy w stronę kasztelu. Trzeba było także przygotować kotwice. Z nadmiaru wysiłku i nerwowego napięcia pot lał się strugami z naszych twarzy. Nie śmiałem spojrzeć na Ransome'a, gdyśmy tak pracowali ramię przy ramieniu, zamieniając od czasu do czasu urywane słowa. Słyszałem przy sobie chrapliwy jego oddech i mimo woli odwracałem głowę, zdawało mi się bowiem, że ten niestrudzony pracownik runie lada chwila na pokład i umrze w moich oczach. Dla kogo i dla czego narażał swoje życie? Dla odległego chyba ideału, bo przecież nie dla celów osobistych.

Ocknął się w nim stary wytrawny marynarz, nie potrzebujący niczyich wskazówek. Każdy jego ruch, każdy wysiłek mięśni był aktem nieustającego heroizmu. Czułem się wprost niegodnym współpracy z tak natchnionym człowiekiem.

Gdy już wszystko było gotowe, towarzysz mój odezwał się stłumionym głosem:

— Może pora zejść na dół i otworzyć kompresory, panie kapitanie?

— Tak, trzeba to zrobić — odrzekłem nie mając odwagi i teraz podnieść na niego oczu. Po pewnym czasie głos jego rozbrzmiał na śródokręciu:

— Wszystko w porządku u windy, panie kapitanie.

Skinąłem na Burnsa, aby przestał sterować, sam zaś spuściłem kotwice, jedną po

drugiej, oddając tyle kotwicznego łańcucha, ile go statek potrzebował. Obluzowane żagle opadły, i natychmiast ustał nieznośny łopot nad naszymi głowami. Na statku zapanowała cisza. Gdym stał nieruchomo, oszołomiony tym nagłym milczeniem, uszu moich doszły urywane wyrazy i ciche jęki chorych leżących w przednim kasztelu.

Ponieważ poprzednio jeszcze wywiesiliśmy na bezanmaszcie sygnał wzywający pomocy sanitarnej, zanim jeszcze zdążyliśmy całkowicie unieruchomić statek, już trzy łodzie motorowe, należące do okrętów wojennych, podpłynęły ku nam od strony lądu, wioząc aż pięciu lekarzy wojskowych.

Ci ostatni rozejrzeli się naprzód ze zdumieniem po pustym pokładzie, po czym skierowali wzrok ku rufie, gdzie również nie było żywej duszy. Wyszedłem wtedy na ich spotkanie — śmieszna, samotna figurka, przyodziana w korkowy hełm i pasiastą pizamę. Na twarzach doktorów odmalował się widoczny zawód, spodziewali się bowiem niezwykle zabiegów chirurgicznych i w tym celu przywieźli narzędzia. Trzeba było jednak pogodzić się z sytuacją. W niespełna pięć minut później jedna z łodzi motorowych odpłynęła w stronę portu, by przysłać nam większą łódź i sanitariuszy, niezbędnych do transportowania chorych, druga zaś skierowała się ku okrętom wojennym celem przywiezienia nam marynarzy do obsługi żagli. Z całej gromady doktorów pozostał na miejscu tylko jeden. Gdy po zbadaniu chorej załogi wynurzył się z kasztelu, spojrzałem na niego .niespokojnym wzrokiem, nie mogąc nic wyczytać z niewzruszonej jego twarzy.

— Nikt nie umarł, jeśli o to chodzi — oznajmił mi szorstko, a po chwili dodał kręcąc głową ze zdumieniem:

— Cała załoga, no, no!

— I wszyscy ciężko chorzy?

— Doprawdy ciężko chorzy!

Oczy jego błądziły czas jakiś po pokładzie:

— O nieba! A to co znowu?

— Pan Burns, mój pierwszy oficer — odpowiedziałem obejrzawszy się poza siebie.

Z głową upiora, chwiejącą się jak na lodydze na długiej, cienkiej szyi, Burns mógł istotnie każdego przestraszyć swym wyglądem.

— A więc jeszcze jeden kandydat do szpitala? — spytał doktor.

— Co to, to nie! — zaprzeczyłem wesoło. — Pan Burns musi tu pozostać, dopóki ożaglowanie wielkiego masztu nie przestanie działać. Jestem z niego bardzo dumny! To jedyny mój rekonwalescent.

— No, ale pan także... — zaczął doktor przyglądając mi się spod oka.

Przerwałem mu niecierpliwie:

— Nie jestem wcale chory.

— Nie? Wygląda pan jakoś dziwnie.

— Cóż pan chce? Od siedemnastu dni wciąż jestem na pokładzie.

— Od siedemnastu dni? Musiał pan przecie spać?

— Może i spałem. Nie zaprzeczam. Pewien tylko jestem, że przez ostatnie czterdzieści godzin nie zmrużyłem oka.

— Fiu!... Wybiera się pan na ląd?

— Gdy tylko się da. Tysiące spraw czeka na mnie w porcie.

Doktor uwolnił moją rękę, którą był ujął niepostrzeżenie w czasie naszej rozmowy, i wyciągnawszy z kieszeni notatnik coś w nim pośpiesznie zapisał.

— Bardzo panu radzę zamówić sobie w aptece to lekarstwo — rzekł wręczając mi wydartą kartkę. — O ile się nie mylę, będzie ono panu przed nocą potrzebne.

— Cóż to jest? — zapytałem nieufnie.

— Środek nasenny — odrzekł i skłoniwszy mi się z lekka, zwrócił się z zaciekawieniem do Burnsa, z którym wdał się w dłuższą rozmowę.

Gdy zeszedłem na dół, aby przebrać się przed wycieczką do miasta, Ransome podążył za mną do kajuty.

— Przepraszam najmocniej pana kapitana... Chciałbym być odesłany do portu wraz z resztą załogi, przyszedłem więc prosić o wypłacenie mi poborów.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem, on zaś z widocznym niepokojem czekał mojej odpowiedzi.

— Jak to? Chcecie opuścić statek? — zawołałem.

— Tak jest, panie kapitanie. Postanowiłem odejść i wypocząć — wszystko mi jedno gdzie, chociażby w portowym szpitalu.

— Ależ, Ransome! Nie macie pojęcia, jak mi przykro z wami się rozstawać!

— Muszę, iść! — wybuchnął. — To moje prawo! Oddychał z trudem. Po jego twarzy przebiegł wyraz dzikiej determinacji: miałem przez chwilę wrażenie, że stoi przede mną inny człowiek. Spod maski tak zwykle spokojnej i pogodnej wyjrzała żalosna rzeczywistość. Zrozumiałem, że ten nieszczęsny skazaniec nade wszystko kocha życie i drży przed jego utratą.

— Oczywiście, wypłacę wam pobory, skoro życzyście sobie tego — odpowiedziałem skwapliwie. — Muszę was jednak prosić, abyście nie opuszczali statku do wieczora. Nie mogę pozostawić pana Burnsa samego, bez żadnej opieki.

Ransome zdążył się już opanować. Uśmiechając się do mnie po dawnemu, oświadczył swoim miłym melodyjnym głosem, iż to się rozumie samo przez się.

Powróciłem teraz na pokład, gdzie kończono właśnie przygotowania do transportu chorych. Za chwilę miał rozegrać się ostatni akt dramatu, tego dziwnego dramatu, w którym bez mojej wiedzy i świadomości urabiał się i dojrzewał mój charakter.

Widok przenoszenia chorych był żaloszny. Zabierano ich w moich oczach, jednego po drugim, ja zaś patrzyłem na każdego z tych biedaków jak na wcielony wyrzut sumienia, który napawał mnie taką goryczą, że w końcu zbuntowałem się wewnętrznie przeciwko tym uczuciom. Biedny Frenchy, którego stan nagle się pogorszył, był już zupełnie nieprzytomny, gdy wynoszono go ze statku. Dyszał chrapliwie, a twarz jego, rozpalona i nabrzękła, przypominała teraz zupełnie maskę pajaca, paskudnie nietrzeźwego w dodatku.

Posępny Gamibrill zdawał się natomiast rzeświejszy. Uparł się, że dojdzie na własnych nogach do burty, oczywiście przy pomocy dwóch sanitariuszy podtrzymujących go z obu stron. W chwili kiedy miano spuścić go do łodzi, ogarnął go jednakże paniczny strach i począł jęczeć żałośnie:

— Niech pan każe mnie trzymać, panie kapitanie! Oni mnie upuszczą, panie kapitanie! — na co ja odpowiadałem tonem najgłębszego przekonania:

— Nie bójcie się, Gamibrill! Nie upuszczą was na pewno!

Musiała to być niezwykle pocieszna scena. Marynarze, obecni na pokładzie, jawnie szczyrzyli zęby, i nic dziwnego, skoro nawet Ransome, poważny i przykładowy Ransome (który znalazł się oczywiście wśród niosących pomoc), nie umiał powstrzymać się od uśmiechu.

Znalazłszy się w chwilę później na pokładzie łodzi motorowej odpływającej w stronę portu, obejrzałem się poza siebie. Burns stał na pokładzie otulony w swój ogromny płaszcz z puszystej wełny. Jasne światło słoneczne podkreślało jeszcze upiorny jego wygląd. Można go było wziąć za okropne, specjalnie obmyślane straszdyło, ustawione na rufie zadżumionego okrętu dla odstraszenia ptaków od ludzkich zwłok.

Historia naszych przygód zdążyła już obieć całe miasto, i wszyscy prześcigali się w okazywaniu nam współczucia. Kapitanat zwolnił mnie z opłaty portowej, że zaś w schronisku dla marynarzy przebywała w tym czasie załoga rozbitego statku, nie miałem więc trudności w zamówieniu sobie tylu ludzi, ilu ich mój statek potrzebował. Nie dane mi było natomiast oglądać kapitana Ellisa. Na moje zapytanie, czy mogę się z nim zobaczyć, odpowiedziano mi tonem ubolewania, iż zastępca Neptuna podał się do dymisji i wyjechał do kraju w niespełna trzy tygodnie po moim odjeździe. Być może, iż moja nominacja była ostatnim ważniejszym

wydarzeniem jego urzędowego żywota.

Widok miasta i ludzi czynił na mnie bardzo silne wrażenie. Uderzała mnie sprężystość kroku, żywotność i zdrowie każdego napotkanego przechodnia. W liczbie znajomych, na których natknąłem się w porcie, znalazł się oczywiście i kapitan Giles. Byłoby rzeczą niezwykłą, gdybym się był z tym człowiekiem nie spotkał, kapitan nie odstępował bowiem od swoich przyzwyczajęń, te zaś nakazywały mu odbywanie codziennej przechadzki po bulwarze, przy którym mieściły się biura i urzędy portowe.

Już z daleka dostrzegłem połysk złotego łańcuszka na jego szerokiej piersi. Postać zacnego kapitana promieniała przychylnością.

— Co słyszę? — zawołał ściskając moją rękę z uśmiechem z dobrego wujaszka. — Dwadzieścia jeden dni z Bangkoku?

— Nie powiedziano panu nic więcej? — spytałem. — No, to musi mi pan kapitan dotrzymać towarzystwa przy śniadaniu. Chcę, aby pan wiedział dokładnie, w jaką mnie pan kabałę wpakował.

Zawahał się przez jedną krótką chwilę.

— Dobrze, służę panu — rzekł wreszcie z łaskawą rezygnacją.

Skierowaliśmy się do najbliższego hotelu. Przy śniadaniu stwierdziłem ze zdziwieniem, że apetyt służy mi wcale niezłe. Po skończonym posiłku pozostaliśmy we dwóch przy stoliku, z którego zdjęto zastawę, i wtedy to opowiedziałem kapitanowi wszystkie moje przygody od dnia, w którym objąłem komendę nad statkiem, aż do chwili wylądowania. Słuchał mnie cierpliwie, zdając się rozważać te moje przeżycia i od strony fachowej, i od strony emocjonalnej, wreszcie, zaciągnąwszy się raz i drugi dymem wielkiego cygara, którym go poczęstowałem, zauważył w zamyśleniu:

— Musi pan być ogromnie zmęczony...

— Nie, nie czuję zmęczenia — odrzekłem. — Co innego panu powiem, panie kapitanie — czuję się po prostu stary. I tak musi być naprawdę. Wszyscy, których tu na lądzie spotykam, robią na mnie wrażenie płochych młodzieńców, ludzi, którzy w swoim życiu nie zaznali troski.

Kapitan Giles nie uśmiechnął się, zachowywał się nadal nieznośnie powściągliwie. Wreszcie zawyrokował:

— To oczywiście przejdzie. Ale że pan się postarzał, to fakt, któremu trudno zaprzeczyć.

— A co! — podchwyciłem.

— Nie ma się zresztą wcale czym przejmować. Człowiek nie powinien przywiązywać

nadmiernej wagi do tego, co go w życiu spotyka, czy to będzie złe, czy dobre...

— Słowem, żyć połowicznie — odparłem z przekąsem — nie każdego na to stać.

— Z biegiem lat nauczy się pan cenić umiejętność zachowania równowagi! — rzekł tonem mędrca przekonanego o swej cnocie. — Więcej panu powiem: obowiązkiem naszym jest stawiać czoło zarówno przeciwnościom losu, jak własnym błędom, a nawet drażliwościom sumienia. Inaczej bowiem z czymże byśmy walczyli?

Nie odpowiedziałem nic. Nie wiem, co kapitan Giles wyczytał w mojej twarzy, dość, że spytał znienacka:

— Czyżby pan był człowiekiem słabym?

— Bóg jeden wie, panie kapitanie — ‘brzmiała moja szczerza odpowiedź.

— Tak, toś pan słusznie powiedział. Nauczysz się, przyjacielu, wyrabiać w sobie wolę. Wszystkiego, wszystkiego musi się człowiek uczyć, a to jest prawda, której wielu młodych nie rozumie.

— Przestałem zaliczać się do rzędu młodych.

— Hm, tak. A kiedyż pan zamierza odjechać?

— Wracam niezwłocznie na statek — odparłem. — Czekam tylko na załogę, aby podnieść jedną kotwicę, a drugą wyciągnąć do połowy łańcucha. Chciałbym wyruszyć jutro przed wschodem słońca.

— No tak — mruknął Giles z uznaniem. — Bardzo dobrze! Tak być powinno.

— Cóż pan przypuszczał, panie kapitanie. Że będę przez tydzień zażywał wywczasów? — zachnąłem się niecierpliwie, zirytowany jego mentorskim tonem. — Nie spocznę, dopóki statek nie znajdzie się na Oceanie Indyjskim, no, a i wtedy trudno mówić o wypoczynku.

Kapitan Giles wypuścił kłęb dymu z cygara i poruszył się gniewnie, jakby pod wpływem moich słów nastąpiła w nim nagła przemiana.

— Tak, tak. Do tego ostatecznie sprowadza się wszystko... — rzekł tonem głębokiej zadumy. Wydało mi się w tej chwili, że rozchyliła się zasłona, spoza której wyrzało rzeczywiste, a nie znane mi dotąd oblicze kapitana Gilesa. Wrażenie to trwało zaledwie parę sekund. Zdołał jeszcze dorzucić:

— Nie masz wypoczynku na tym świecie — dla nikogo. Lepiej nie zastanawiać się nad tym...

Wstaliśmy od stołu i wyszedłszy z hotelu pożegnaliśmy się na ulicy gorącym uściskiem dłoni. Nie przestanę żałować, że musieliśmy rozstać się w momencie, kiedy osoba kapitana Gilesa zaczęła mnie po raz pierwszy zaciekawiać.

Powróciłem na statek, i tu pierwszą postacią, która rzuciła mi się w oczy, był Ransome siedzący nieruchomo na pokładzie rufy, na własnym, starannie osznurowanym kufierku.

Wezwałem go do kajuty, by przed rozstaniem doręczyć mu list polecający do jednego z wpływowych ludzi w porcie, z którym łączyły mnie bliższe stosunki. Ukończywszy pisanie zwróciłem się do stewarda podając mu kartkę przez stół:

— To polecenie może wam się przydać, gdy już wyjdziecie ze szpitala.

Ransome wziął list i wsunął go do kieszeni. Oczy jego unikały mego wzroku, patrzyły gdzieś w pustkę, a twarz wyrażała bolesne napięcie.

— Jakże się czujecie? — spytałem.

— Nie mogę powiedzieć, abym czuł się źle, panie kapitanie — odpowiedział z pewnym przymusem. A po chwili dodał: — Boję się tylko o serce. Nikt nie wie, jak się strasznie o nie boję... — przy czym na mgnienie oka uśmiechnął się po dawnemu, mądrym, przenikliwym uśmiechem.

Podszedłem do niego z wyciągniętą ręką. W jego oczach, które nie patrzyły w moją stronę, malował się wyraz ogromnej udręki. Czynił wrażenie człowieka, który wyteża słuch w oczekiwaniu na umówiony sygnał ostrzegawczy.

— Jakże to, Ransome? Nie chcecie się ze mną pożegnać? — spytałem miękkim głosem.

Cichy okrzyk wyrwał się z piersi stewarda. Zaczerwienił się po uszy i uchwyciwszy moją rękę uścisnął ją w swej potężnej dłoni.

W chwilę później pozostałem w kajucie sam, nasłuchując oddalających się kroków Ransome'a. Stapał po schodach powoli, ostrożnie, w śmiertelnej obawie, aby nierozważnym ruchem nie rozjątrzyć ukrytego wroga, tego wroga, którego Przeznaczenie zamknęło w męźnej jego piersi, każąc obcować z nim świadomie, dzień po dniu aż do chwili ostatecznej rozprawy...

KONIEC